Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 19,60 zł w tym 8% VAT ● NR 17–18 (1857–1858) ● 24 kwietnia–7 maja 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Podwójny numer!

STOWARZYSZENIE UMARŁYCH PISOWCÓW

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 1638912431

Podwójny numer na czerwone święto i na grilla. A w nim:

3: **Pierdolę, nie robię** – o prawie człowieka do lenistwa

4: **Czerwona w ciemnościach** – wspomnienie głuchej i ślepej lewaczki Helen Keller

5: **Osierocone święto** – ludzie pracy mają coraz bardziej przejebane; **Mrożonki z Dino** – jak hulająca sieć sklepów kręci lody z pracowników

6: **Paradoks bezpieczeństwa** – ekonomiczne i ekologiczne skutki militarnego amoku; **Sklepik z narodami zamknięty** – czy Ameryka zrozumie, że przestała rządzić światem?

7: **Nędza przed rewolucją** – prawdziwy obraz kubańskiego dobrobytu za Batisty; **Majowa lista przebojów** – co lud śpiewa dziś o panach magnatach

8: **Wszyscy ludzie prezydenta** – kto tłumaczy Nawrockiemu kondycję mediów; **Kliknij tutaj, żeby uratować partię** – nieudany romans Polski 2050 z netem

9: **Nowy ZBoWiD** – co łączy Pełczyńską-Nałęcz z Morawieckim

10: **Dzwon hipokryzji** – jak nowa lewica udaje, że nie ma poglądów; **Dramat ogólnej niemożności** – panika rządu przed transkrypcją aktów małżeństw jednopłciowych

11: **Łapacze propagandowej wody** – oczka wodne kontra susze; **Ziemiańskość z nadania państwa** – ziemia fetyszem władzy: starej i nowej

12: **Koniec brania po pysku** – chwalimy projekt ustawy antymobbingowej; **Zupa wciąż za słona** – czy bicie żony jest znikomo szkodliwe społecznie?

13: **Zdanowska na miotle** – Łódź się chwali, że sprząta

14: **Oddajcie nam naszą uwagę** – rewolucyjny pomysł: przestańmy pozwalać reklamom prać nasze mózgi; **Ciemna dupa cyfryzacji** – kto nas obroni przed sztuczną inteligencją? Spoiler: nie Tusk.

15: **Cztery koła Apokalipsy** – drogowy populizm penalny

16: **Fakty zamiast inwektyw; Do urażonych pip** – polemika między tygodnikiem „NIE" i Stowarzyszeniem na rzecz Chłopców i Mężczyzn

17: **Kij paragrafu** – uważaj, gdzie chodzisz z bachorem; **Pozdrowienia do więzienia** – osadzeni też ludzie, wbrew pozorom

18: **Big pharma liże Trumpowi** – przez tego fiuta wszyscy się pochorujemy

19: **Niewidzialna ręka nie poda leku** – koncerny farmaceutyczne kontra ludzkość; **Dobijanie systemu** – rząd Tuska kontra chorzy Polacy

20: **Cyfrowy carat pod wezwaniem Świętego PIP-a** – jak ZUS dyma pracowników; **Nie wolno kantować** – to nie ZUS, to pracodawcy

21: **Żabka w owczej skórze** – franczyza robi dobrze kapitalistom, franczyzobiorcom niekoniecznie; **Rencista wróg ojczyzny** – w Polsce bardziej się opłaca stracić nogi niż młodość

22: **Konfa żeruje, „Wyborcza" pompuje** – jak dziennikarka od Michnika broni wyzyskiwanych kamieniczników; **Bajki Sakiewicza** – właściciel Telewizji Republika tłumaczy kosmos

23: **Zakochany Ziemkiewicz** – prawicowy publicysta uległ Chinom Ludowym

24: **Bomby i pokój** – jak Amerykanie zaprowadzali wolność i demokrację na całym świecie

25: **Z dala od frontu** – byliśmy we Lwowie

26: **Noblista odchodzi** – czy demokracja uda się w Bangladeszu?

27: **Oblicza demokracji** – czy między Fideszem i TiSzą zmieści się węgierska wspólnota narodowa?; **Gospodarze i przybysze** – Palestyna nigdy nie była „ziemią bez ludu dla ludu bez ziemi"

28: **Końcowy przystanek katolicyzmu** – Kościół przesunął komunię z drugiej do trzeciej klasy, żeby rok dłużej zarabiać na religii w szkołach

29: **Ekran z prałatkiem** – szatan w sztuce o księdzu Jankowskim; **Episkopat w likwidacji** – katolicy kontra KEP

30: **Legia niezwykłego dżentelmena** – ukochany w klub Warszawy w rękach filantropa

31: **Furia** – zamiast futbolu i tenisa snooker?

A poza tym jak zwykle: **Blog wszystkich świętych, Prasa śniadaniowa, Móżdżek tygodnia, Życie w dobrobycie, Wieści gminne, Trumpolandia, Z czarnej dupy się wyrwało, Wieści z kruchty, Słówka półgłówka, Dialogi dam, komiks Dąbrowskiego.**

Następny, pojedynczy numer „NIE" ukaże się 8 maja.

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Kwiecień–maj 2014 r.

Świętego Aleksandra

Azor siedzi na schodach i wypatruje powrotu Daniszewskiej, która wyjechała do Irlandii. Azorek cierpi nie dlatego, że kocha Daniszewską, lecz ponieważ dręczy go zdekompletowanie domu. On kocha ład i porządek. Ma naturę policjanta. Policja nie ma jednak etatów dla niewykształconych pudli. Azor wkrótce skończy sześć lat i będzie mógł iść do szkoły. Nie wiadomo bowiem, czy Daniszewska w ogóle wróci. To zależy od tego, do kogo pojechała. A któż to wie? Może ten, do którego pojechała, wie, kim jest. Posiada jakiś urok czy może zmywak? Wołk-Łaniewska Agnieszka dzwoni i pyta, kiedy Daniszewska znów pójdzie z nią do kościoła. Kłamię, że skręciła nogę, a nie z drogi cnoty.

Cd. św. Aleksandra

Źle sypiam, bo ptakom się zdaje, że drzewa w naszym ogrodzie to opera. Kurwa ich jajo.

Świętego Jerzego od smoka

Wyśmiewałem nazywanie zwykłych kocmołuchów małżonkami. Prof. Jan Miodek z policji językowej ostatnio też to zganił. Cóż, ludziska słyszą w telewizji, że Obama z małżonką, król Juan Carlos z małżonką, Komorowski z małżonką – znaczy to, że elegancko jest nazywać tak własnego wycirucha. U nas w PRL prezes Rady Ministrów był towarzyszem premierem, a jego sprzątaczka panią. Miodek zaleca formę „moja żona", której i ja używam. I tu się łapię na tym, że wyraża ona seksizm, patriarchalizm, dominację. Co znaczy „moja"? Moje są skarpetki, a nie człowiek. Poprawnie przedstawiać żonę trzeba by tak: „Pani, która zechciała za mnie wyjść". Za długie i nieprecyzyjne, bo pani, która za mnie wychodzi po papierosy, jest pracownicą, a nie żoną. Konkluzja: w ogóle się nie żenić, bo co prawda można się rozwieść, ale nie sposób językowo wybrnąć z małżeństwa.

Świętego Fidela

Rys. OLEJNIK

Piszę scenariusz komedii filmowej „Ząb ojca świętego". Na oazowej kolonii dla małych zuchów Lolek wypluł w latrynie mleczny ząb. Po sezonie dół z gównem zasypano ziemią. Teraz ząb byłby relikwią pierwszego stopnia wartą wiele milionów euro. Ściągają więc poszukiwacze skarbów. Dociekają tego, gdzie przed wojną zlokalizowane były kolonie, i przekopują hektary ziemi, szukając śladów kału z czasów II RP. Kopią zakony, kurie, gangsterzy, bezrobotni, Chińczycy, Ukraińcy, Wietnamczycy, emeryci, Cyganie, bankruci itp. Rośnie miasteczko kopaczy Świętoząb. Wybory na burmistrza wygrywa Jacek Kurski, który twierdzi, że posiada gównometr wykrywający starożytny nawet kał w ziemi. Powstaje społeczność, w której każdy jest konkurentem dla wszystkich. Seryjnymi stają się morderstwa, a trupy użyźniają ziemię. Detektyw Seremet, szukając trupów, trafia na kosteczkę zębopodobną. Poddana zostanie badaniom genetycznym, jeśli Watykan zezwoli pobrać próbkę z grobowca JP2. Papież Franciszek oskarża Seremeta, że był TW, i stawia go przed sądem lustracyjnym itd. Jak się nie uda nakręcić tego w Rosji, odtworzymy Polskę w Korei Północnej.

Świętego Marka

Kluby go-go, gdzie naga dziewczyna pięknie zatańczy, a w razie potrzeby pociągnie druta za kotarą, wypierane są z rynku, podobnie jak wszystkie instytucje kulturalne, np. księgarnie czy małe kina. W stolicy zamordowano piękny klub przy Krakowskim Przedmieściu. Wpierw pojawił się pretekst, że za blisko kościoła, ale w Warszawie czy Krakowie wszystko jest pod kościołem. Potem, że kamienica odegrała bohaterską rolę w powstaniu warszawskim. No i kłopot, bo większość kamienic w stolicy poległa w tym powstaniu. Ono zabiło 300 tys. ludzi i po dziś dzień dręczy ludność. Go-go, duchy powstańcze.

Świętej Alidy

Książek czytać nie muszę, bo Daniel Passent streszcza je w „Polityce", a bryk drukuje jako felieton. „Czas gniewu" Roberta Krasowskiego pożarłem jednak wcześniej niż Daniel. I tu ciekawostka. Krasowski popełnił drobny błąd, pisząc, że Leszek Miller spadł na las w wiozącym go samolocie. Przecież cała Polska pamięta z telewizji, że to nie był samolot – pomyślałem. Passent jednak bezkrytycznie błąd powtarza w streszczeniu. Upadek samolotu z Lechem Kaczyńskim ciąży nie tylko umysłom wyznawców zbrodni smoleńskiej.

Cd. świętej Alidy

Pisząc o sprawie „Olina", Krasowski powiada, że była to rosyjska prowokacja. A jakiż interes miałaby Moskwa w obalaniu rządu Oleksego? Każdy, który by po nim wtedy powstał, też dążyłby do integracji z Zachodem, Rosja została w aferę wciągnięta.

Na kilka miesięcy przed przegraniem przez Wałęsę wyborów prezydenckich w 1995 r. odwiedzili mnie w domu jego ludzie: szef WSI Malejczyk i główny tropiciel „Olina" Zacharski z UOP. Miał być też zastępca Milczanowskiego gen. Jasik, ale nie przyszedł. Namawiali oni, żeby wszystkie siły skupić na popieraniu Oleksego. Rozumiałem, że chcą, aby premier, a nie Kwaśniewski kandydował w wyborach prezydenckich. Potem pojąłem dlaczego – otóż ludzie Wałęsy ze specsłużb chcieli zagwarantować Wałęsie wygraną, bo planowali, że przed wyborami zrobią Oleksego szpiegiem. Pamiętam jeszcze, że Malejczyk zaprosił mnie na spotkanie w cztery oczy w tej sprawie, ale zadzwoniłem, iż nie przyjdę, bo jestem zwolennikiem apolityczności wywiadu i kontrwywiadu.

Podobnych uwag do Krasowskiego miałbym kilka, ale wszystkie przyczynkarskie. Szkoda, że natura poskąpiła mi chociaż kawałka mózgu tego kalibru co jego.

Świętego Suwenira

Żeby nie zgasła feta po mianowaniu świętym Wojtyły, proponuję ćwiczenie dla licealistów uczących się religii: w pismach i mowach JP2 jako papieża, profesora, literata znajdź chociaż jedno zdanie, które nie jest banałem.

Świętej Walerii

Eurodeputowana PO Róża Maria Gräfin von Thun und Hohenstein udzieliła wywiadu, w którym powiada, że jej przodkowie, polscy ziemianie, byli dobroczyńcami swoich chłopów. Podobną wobec poddaństwa i pańszczyzny linię gloryfikacji szlachty przybrały gazety i czasopisma prawicowe. Potomkowie chłopów (80–90 proc. ludności) przyjmują te kłamstwa, gdyż im wmówiono, że historycznie najważniejszy był patriotyzm. Czują się ideowo związani raczej z propowstańczą częścią szlachty niż z większością ludności Polski wdzięczną carowi Aleksandrowi II za zniesienie poddaństwa na złość powstańcom. Przed rewolucją w Rosji i po niej tamtejsza arystokracja miała przynajmniej poczucie, że słusznie dostała w dupę za epokę władania „duszami". Arystokracja polska tak naprawdę w dupę nigdy trwale nie dostała. Ma więc pyszne samopoczucie i go nie tai.

Świętej Katarzyny

Daniszewska miała romans przez płot z pewnym wilczurem na jej trasie spacerowej. Karmiła go przysmakami przez sztachety. Niewinna, bo platoniczna przecież miłość zrodziła trzy tragedie. Zazdrosny o uczucia wobec Daniszewskiej pan wilczura zakazał mu podchodzić do płotu. Posłuszny wilczur cierpi z tęsknoty, Daniszewska to samo. Azor, który jej towarzyszy na spacerach, ma depresję. Dzień i noc leży w swoim kojcu i patrzy w przestrzeń. Przygnębił go romans jego pani z psem obcym i większym. To właśnie jest niemoralność: wywołać cudze tragedie z błahego powodu i samej nie mieć z tego przyjemności.

Świętego Roberta

Moskwa działa skutecznie i pokazuje, że nie odda Zachodowi Ukrainy. Ma ona przestarzałą wizję podziału świata na sfery wpływów. Ukraina będzie albo prorosyjska, albo zanarchizowana. Raczej i jedno, i drugie – w prorosyjskiej Ukrainie zamieszki przeniosą się bowiem na zachód kraju. Sankcje Zachodu wobec Rosji, jeśli będą dotkliwe, ugodzą w pozycję Putina, jego władza straci większościowe poparcie. Putin zareaguje na to jak dyktatorzy, jego władza stanie się bardziej represyjna, wolności ulegną likwidacji. Jeśli sankcje i reakcja na nie Kremla wywołają szeroką wrogość Rosjan do polityki Putina, to zanim upadnie jego władza, nastąpi długi okres anarchii w Rosji wspieranej przez Zachód.

Polska, chcąc nie chcąc, ale z własnej też winy będzie miała u granic zanarchizowaną i Rosję, i Ukrainę. Smacznego. Czy zwłoki Putina zwalą się na Polskę?

Świętego Józefa robotnika

Wraz z kwietniem mija 70. rocznica wyzwolenia moich rodziców i mnie przez armię radziecką. Dokonało się to pod ukraińskim miastem Tarnopol. W rocznicę zwycięstwa 9 maja pójdę do ambasady rosyjskiej podziękować za uratowanie mi przyjemnego życia. Tym razem nie lękam się, że w ambasadzie rozdepczą mnie w tłoku gości. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Zbigniew Ziobro** porównał Donalda Tuska do nowotworu. Teraz Tusk powinien zaripostować syfilisem.
- **Robert Bąkiewicz** alarmuje, że niemiecka policja podrzuca nam migrantów. Tak samo było, kiedy Amerykanie nam stonkę zrzucali.
- **Ksiądz Andrzej Kobyliński** zauważył, że organizacja przyjęć komunijnych wymknęła się spod kontroli. Menu należy konsultować z proboszczem.
- **Arcybiskup Marek Jędraszewski** powiedział, że rządzący wpisują się tradycję sowietów i hitlerowców. Nie zapominajmy o Szwedach, Mongołach i Turkach!
- **Karol Nawrocki** obiecał, że udowodni, że potrafi wycisnąć 150 kg na ławeczce. Tęsknimy za czasami, kiedy szczytem obciachu w pałacu były dzieci Wałęsy.
- **Dawid Wildstein** powiedział, że jedną z najbardziej obrzydliwych rzeczy są salonowe feministki. Najbardziej obrzydliwa u feministek jest łuska na całym ciele.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Kryptowaluty na własne ryzyko

Nie rozumiem zmartwienia rządu po kolejnym odrzuceniu ustawy dotyczącej kryptowalut. Po prostu dwa razy dziennie powinien iść komunikat: „Drodzy obywatele, dzięki prezydentowi i opozycji wasze środki ulokowane w takich interesach nie podlegają ochronie państwa polskiego i ewentualne straty w żaden sposób nie będą pokrywane z budżetu. Działacie wyłącznie na własne ryzyko!". Nie chciałbym powtórki historii z kasami Stefczyka, gdzie dzięki oporowi PiS ciężkie miliardy poszły na ratowanie ogłupionych klientów.

Czytelnik

Podlaskie zaćmienie

Chodzi mi o artykuł „Realizm jest przereklamowany. Bronimy filmu »Podlasie« przed hejtem" („NIE", nr 15/2026). Jakie trzeba było mieć zaćmienie, by omawiając opinię red. Dawida Dróżdża, napisać: „jej autor nawet nie potrafi napisać po polsku tytułu recenzji"?! Czy ZJ nie wie, że użycie „dla" tam, gdzie w literackiej/standardowej polszczyźnie funkcjonuje celownik – komu, czemu? – („Popilnuję samochodu dla pana" – to zresztą cytat z dawnego tekstu red. Daniszewskiej!) jest klasyczną manierą językową Podlasia (szeroko rozumianego)?! Niedostrzeganie doskonałego żartu językowego red. Dróżdża – sorry – bardzo źle świadczy o poczuciu humoru/wiedzy/czujności red. ZJ.

Jan Fronk

eprasa.pl 1638912431

Pierdolę, nie robię!

Prawo do lenistwa

Nikt nie zrobił tyle dla ludzi pracy, co Marks i jego zwolennicy. A jednak wiele osób nie zrozumiało przesłania twórcy „Kapitału”. Krótszy tydzień i dzień pracy, zakaz zatrudniania dzieci, lepsze warunki bezpieczeństwa i higieny pracy w fabrykach – to były w swoim czasie postulaty rewolucyjne.

Nie należy jednak mylić szacunku dla harujących z samym kultem pracy, który jest czymś szkodliwym i obcym marksizmowi. Wystarczy sięgnąć po klasyczną pracę francuskiego socjalisty Paula Lafargue’a, skądinąd zięcia Marksa, „Prawo do lenistwa” z 1883 r.

Rewolucyjna idea

Lafargue zwraca uwagę, że „dziwaczne szaleństwo ogarnęło klasę robotniczą krajów o rozwiniętej cywilizacji kapitalistycznej. To szaleństwo pociąga za sobą osobiste i społeczne niedole, torturujące od dwóch wieków zmęczoną ludzkość. Tym szaleństwem jest miłość do pracy, wściekła namiętność pracy aż do wyczerpania sił witalnych osobnika i jego potomstwa. Zamiast przeciwstawić się temu zboczeniu umysłowemu, kapłani, ekonomiści i moraliści uczynili z pracy przedmiot najwyższego kultu”.

Francuski lewak ironicznie zauważa, że „ślepi i ograniczeni ludzie pragnęli okazać się mądrzejsi od swego Boga; słabi i godni pogardy ludzie zapragnęli zrehabilitować to, co ich Bóg potępił”. Wystarczy wszak sięgnąć do Biblii, a konkretnie trzeciego rozdziału Księgi Rodzaju, w którym dobra Bozia za zjedzenie owocu poznania dobrego i złego wygania Adama i Ewę z Edenu i zapowiada pierwszym ludziom, że będą harować, aby przeżyć. Bynajmniej nie było to wywyższenie pracy, lecz pokazanie, że jest ona trudem i cierpieniem.

No i pamiętajmy, pisze Lafargue, że „brodaty i przykry” Bóg Żydów „dał swym wiernym doskonały przykład idealnego lenistwa: po sześciu dniach pracy odpoczywa po wieczne czasy”.

Dodajmy, iż starożytni Grecy gardzili pracą jako harówką. Napić się wina i ucztować, pofilozofować, poćwiczyć zapasy – to coś godnego człowieka. Resztę mają ogarniać „mówiące rzeczy”, jak nazywano z czasem niewolników.

Polacy na tle innych narodów europejskich jawią się jako mądrzy ludzie. Wedle międzynarodowych badań Instytutu Gallupa opublikowanych w zeszłym roku zaledwie co 10. pracująca osoba w Polsce podchodzi do swojej pracy z entuzjazmem i pełnym oddaniem. W pewnym badaniu 60 proc. respondentów przyznało, że pracę zawodową wykonuje wyłącznie po to, by mieć z czego żyć. Co ciekawe, wśród pracujących w przemyśle tą motywacją kierowało się aż 85 proc. badanych. Jak widać, nic tak nie robi dobrze na trzeźwość umysłu jak bycie dodatkiem do maszyny fabrycznej…

Dodajmy – jak nieraz zauważa Zygmunt Bauman – że kult pracy nie jest niczym naturalnym. Przez dziesiątki lat w XIX w. w Anglii kapitaliści utyskiwali na robotników, którzy gdy zarobili trochę grosza dla siebie i rodziny, porzucali pracę i oddawali się słodkiemu lenistwu.

Kiedy przed 100 laty Henry Ford podwyższył pracownikom swej fabryki pensje o 100 proc., mówił, że idzie mu o to, aby robotnika Forda stać było na samochód forda. Oczywiście była to bzdura: szło o przywiązanie pracownika do taśmy fabrycznej, co pozwalało zachować ciągłość funkcjonowania zakładu bez ciągłego przyuczania do obowiązków nowych osób.

Rozkwit kontra więdnięcie

Mój dziadek był człowiekiem owładniętym kultem pracy. Pierwszy gospodarz we wsi, gdy trzeba było wykonywać prace polowe, brał paczkę papierosów bez filtra (kultowych za komuny Popularnych) i wyruszał do harówki często jeszcze przed świtem. Babcia wysyłała nieraz mnie i brata, abyśmy mu dowozili obiad. Robotę kończył często po zapadnięciu zmroku. Dożył ledwo sześćdziesiątki.

Gwoli ścisłości: dziadek nie tylko sam tyrał na ponad 20-hektarowym gospodarstwie, ale zmuszał do pracy wszystkich domowników, nie wyłączając kilkuletnich dzieci. W jakimś sensie był demokratą genderowym – zapierdalać miały na równi kobiety z mężczyznami, włącznie z sześcioletnimi dziewczynkami.

Do dziś pamiętam, jak zgięta zbierałam kartofle – a chodziłam jeszcze do przedszkola. Zazdrościłam „miastowym” dzieciakom, które lato kojarzyły z wakacjami. Dla mnie to był czas żniw, ze względu na zmienną pogodę i różne pory zbioru plonów, rozciągniętych niekiedy na kilka tygodni. Do dziś po nocy śni mi się wrzynający się w nogi i ręce ostry jęczmień, który przesiewałam, aby zboże było czystsze i można było dostać za nie więcej pieniędzy w skupie.

W kulcie pracy jest coś bezlitosnego i brutalnego. Pamiętam aż za dobrze, jak moja matka miała operację ginekologiczną. Dostała zalecenie, aby ze względów medycznych przez co najmniej miesiąc nie dźwigać więcej niż 1 kg. Parę dni po opuszczeniu szpitala dźwigała ważące kilkanaście kilogramów wiadra z ogórkami i innymi warzywami z działki, w końcu jej mąż (a mój, tfu!, ojczym) by ją zapierdolił, gdyby o czasie nie zrobiła przetworów na zimę. Lata wcześniej, kiedy była ze mną w ciąży, mój dziadek kazał jej wozić taczki z pustakami, przydatnymi przy budowie domu.

Dziś moja matka, lat niespełna 70, jest ciężko schorowaną kobietą, wydającą pół emerytury na lekarzy i leki, ledwo powłóczącą nogami…

Najlepiej powyższe skomentowałby sam Lafargue: „Gdzież są nasze bojowe kobiety, o których opowiadają nam stare dzieje, kobiety zawsze odważne, swobodne w mowie i nie gardzące boskim trunkiem? Gdzież są owe wesołe kumoszki, żywe, ruchliwe, rozsiewające wokół siebie radość życia, dobrze gotujące, chętne do miłości i bez bólu rodzące zdrowe i dzielne dzieci? Obecne dziewczęta i kobiety pracujące w fabrykach podobne są do bladych, bezbarwnych kwiatów, anemiczne, o chorych żołądkach i wychudzonych członkach. Nigdy nie doznały zdrowej rozkoszy i nie mogłyby rubasznie opowiedzieć, jak straciły dziewictwo”.

Można też poprawić cytatem z ewangelisty Mateusza, przytaczającego słynne kazanie Jezusa na górze: „Przypatrzcie się liliom polnym, jako rosną: nie pracują ani przędą. A powiadam wam, iż ani Salomon we wszystkiej chwale swojej nie był odziany, jako jedna z nich”.

Niezłe artystki i artyści

Lewacy nigdy nie zdobędą serc i umysłów ludzi, jeśli będą pielęgnować kult pracy, nadając jej jakąś wartość samoistną, a wręcz definiującą człowieka. A tymczasem Marks wprost mówił, że wzorem człowieka w socjalizmie będzie ni mniej ni więcej, tylko… artysta. Czyli człowiek twórczy, czyniący coś z radości samego tworzenia, a nie dla jakichś innych celów. Nie jest przypadkiem bynajmniej, że wiele osób – nawet w tak skomercjalizowanej jak dziś rzeczywistości – żąda, aby artyści pracowali za darmo. W końcu lubią, co robią, więc jak to nazwać pracą?!

Tyle się dziś mówi o tzw. rozwoju osobistym, który stanowi nową zabawkę w rękach klasy nierobów żyjących z pracy innych. A przecież prawdziwy rozwój osobisty powinien być zdemokratyzowany, a nie być domeną uprzywilejowanych jednostek. O jakim rozwoju osobistym może mówić tyrający 15 godzin kurier z Ukrainy pracujący na rzecz szefa InPostu i jego żony?

Rafał Brzoska i Omenaa Mensah to, rzecz jasna, ludzie światli, zaangażowani w działalność kulturalną, oświatową i dobroczynną, liczą się z nimi i ci z PiS-u, i ci z PO. Portale plotkarskie poświęcają im wiele uwagi, a poważna jakoby prasa chwali na rozmaite sposoby. Ale nie byłoby ich oszałamiających dokonań bez harówki tysięcy osób, którym ledwo starcza czasu na sen i jedzenie…

Co znaczące, był czas, gdy postępowi liberałowie wiedzieli, że warunkiem jakiegokolwiek myślenia progresywnego będzie znaczące skrócenie czasu pracy (którego nie należy mylić z wymuszonym bezrobociem). Sto lat temu John Maynard

Keynes przewidywał, że w 2030 r. w USA będzie się pracować nie więcej niż 15 godzin tygodniowo, bo postęp technologiczny zapewni każdemu dostatek bez konieczności żmudnej harówki. Mylił się, gdyż nie docenił, że celem kapitalizmu nie jest służenie ludziom, lecz pomnażanie kapitału.

John Kenneth Galbraith, jeden z czołowych powojennych amerykańskich liberalnych ekonomistów, pod koniec swego życia oglądał upadek nigdy nieziszczonego projektu państwa dobrobytu. W pamflecie „Gospodarka niewinnego oszustwa. Prawda naszych czasów” gorzko zauważał: „Tymi, którzy najbardziej cieszą się pracą – i to należy podkreślić – są niemal bez wyjątku ludzie najlepiej opłacani. Akceptuje się to. Niskie stawki płac są dla tych, których trud jest rutynowy, nudny, bolesny. Tym, którzy najmniej potrzebują wynagrodzenia za swój wysiłek, mogliby najłatwiej bez niego przeżyć, płaci się najwięcej. Wynagrodzenia, czy dokładniej miesięczne płace, premie i opcje akcyjne, są najhojniejsze na szczytach, gdzie praca stanowi przyjemność”.

Galbraitha do wściekłości doprowadzało, że uchylających się od obowiązku pracy uznaje się za ciężar, leni, osoby na wskroś nieodpowiedzialne. Fora internetowe w naszym niewesołym kraju od lat są pełne wydumanych opowieści o patologicznych matkach rzekomo rodzących kolejne dzieci, aby dostać 500, a teraz 800 plus – wszystko, aby tylko nie robić. Ci sami ludzie zachwycają się różnymi książętami czy hrabiami dziedziczącymi fortuny.

Jak zjadliwie i celnie czytamy w „Gospodarce niewinnego oszustwa”: „Nie oszczędza się nawet samotnej matki korzystającej z opieki publicznej, retorycznej figury komentarzy społecznych: powinna była pracować, zamiast oddawać się przyjemnościom seksu. Wysławiani jako dobrzy są ci, którzy cieszą się pracą. A także ci, którzy – mając bogactwo i dobrobyt – korzystają z zalet wypoczynku, osobistych przyjaźni, zainteresowania publicznego i możliwości ekspresji oraz wcale nie pracują”.

Podstawowe prawo człowieka

Nie ukrywam, że wzorca przyszłego człowieka socjalistycznego można dopatrzeć się poniekąd wśród akademików. Jako profesorka uczelniana mam pensum roczne wynoszące dokładnie 210 godzin lekcyjnych, czyli godzin zegarowych dokładnie 187,5. Mam też prawo, aby w trakcie swojej pracy na uniwersytecie mieć dwa pełne semestry urlopu dla poratowania zdrowia, nie wspominając o urlopach naukowych.

Nie, nie czuję się w niczym lepsza od pani w Zabce lub sprzątaczki na uczelni. Ale jako radykalna demokratka oczekuję, że moje poniekąd luksusowe warunki pracy nie będą wyjątkiem, lecz normą. Kiedyś – błędy młodości! – byłam pracoholiczką, teraz zamiast spędzać czas, rozkminiając kwestie naukowe, spędzam go z mężem na robieniu przyjemniejszych rzeczy, a także lubię miziać się z moimi słodkimi kotkami. Mam chęć – oglądam Netflixa, mam chęć – idę do aquaparku, mam chęć – słucham audiobooków i podcastów. Czystej wody socjalizm!

Wkurwiają mnie nieraz koleżanki i koledzy, którzy wciąż narzekają na to, że nie mają czasu na solidny odpoczynek po wytężonej pracy intelektualnej. Rzecz jasna, jest w tym dużo racji, ale nie widzę najmniejszego powodu, aby owego prawa do lenistwa nie rozciągnąć na wszystkich ludzi, bez względu na to, czy w pracy używają mięśni, czy mózgów. Inna rzecz, że każdy, kto mówi o bezmyślnym „robolu”, powinien stanąć przy maszynie lub zbudować prostą ścianę, aby przekonać się, że nawet najbardziej fizyczna praca wymaga pewnego wysiłku umysłowego.

Zakończę słowami Lafargue’a, podkreślającego wyższość prawa do lenistwa nad liberalnymi prawami człowieka, w tym prawem do pracy, a w rzeczywistości prawem do nędzy. Postuluje on, aby odgórnie zakazać „ludziom pracować dłużej niż trzy godziny na dobę”: „O lenistwo, zmiłuj się nad naszą tak długo trwającą niedolą! O lenistwo! Matko sztuk pięknych i szlachetnych cnót, bądź balsamem dla cierpiącej ludzkości!”.

KATARZYNA KOENIG

eprasa.pl 1638912431

Z okazji Święta Pracy – wspomnienie o nietypowej amerykańskiej socjalistce

Czerwona w ciemnościach

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dla uczczenia 1 maja – dnia, w którym resztki lewicy udają, że mają jeszcze jakieś sztandary – pozwolę sobie przywołać postać podejrzaną, bo amerykańską: Helen Keller.

W przypadku tej głuchej i ślepej od niemowlęctwa kobiety interesuje nas wyłącznie proces technologiczny. Mianowicie: jak powstaje świadomość, a zwłaszcza ta jej najbardziej uciążliwa odmiana – lewicowa – w warunkach, w których wedle wszelkich prawideł biologii nie powinno powstać nic.

Luksus bezmyślności

Kreacja świadomości lewicowej to wyższy stopień ewolucji. Mówiąc szczerze, zawsze zazdrościłem rasistom, ksenofobom i całej tej narodowej prawicy. Oni mają w życiu po prostu łatwiej. Natomiast człowiek lewicy stara się zrozumieć Żyda (jeśli akurat sam nim nie jest, co w Polsce bywa trudne do rozstrzygnięcia nawet dla zainteresowanego), stara się zrozumieć wykluczonych, mniejszości, a nawet swoich oprawców. Ksenofob ma ten komfort, że wystarczy mu rzut oka na odcień ryja, by wiedzieć, kogo nienawidzić, a komu lizać buty. Żyd, Murzyn, ciapaty – to dla niego nie są ludzie. To jednostki chorobowe. I sprawa załatwiona. Żadnych dylematów, żadnej metafizyki, czysta mechanika wykluczenia.

Geny królewskie, los bydlęcy

Przejdźmy teraz do *case study* Helenki Keller. Ta dziewczyna nie miała nawet teoretycznych szans, żeby zostać twarzą Amerykańskiej Partii Socjalistycznej, a jednak nią została. Kiedy miała 19 miesięcy biologia wystawiła rachunek: choroba wyłączyła obraz i dźwięk w jej głowie. Zostały tylko zapach, dotyk i instynkt. To było życie płodowe przedłużone o dekady. Egzystencja na poziomie mózgu w słoiku (cicho i ciemno). Biologiczny fakt, który jeszcze nie stał się człowiekiem.

Gdyby urodziła się w czworakach u jakiegoś chłopa pod Łomżą, jedynym śladem po niej byłoby mgliste wspomnienie o „nawiedzonej”, co to padła na zapalenie mózgu i po kilku latach wegetacji zdechła z głodu w rowie. Ale Keller miała szczęście. Przyszła na świat w rodzinie arystokratów, gdzie w żyłach płynęło nasienie spowinowacone z Thomasem More’em, Robertem E. Lee, prezydentem Adamsem, a nawet jakimś królem Szkocji. Jej tatuś, Arthur Keller, był wzorcowym okazem południowego dżentelmena: właściciel plantacji, gazety i – co najważniejsze – stada niewolników. Jako kapitan armii Konfederacji nie bawił się w humanistyczne ceregiele i nie udawał, że jego niewolnicy są ludźmi. Byli inwentarzem, tak jak pług, koń czy krowa. Hellen wychowała się na kolanach człowieka, dla którego szczytem kultury było posiadanie drugiego człowieka na własność.

Głuchy telefon Alexandra Bella

Zamożność rodziców pozwoliła na uruchomienie machiny, przy której dzisiejsze zbiórki na siepomaga.pl wyglądają jak żebranie o drobne. Ruszyła medyczna pielgrzymka, na którą stać było tylko tych, którzy nie musieli sami zbierać bawełny. Ojciec, kapitan zapakował swój „mózg w słoiku” i ruszył w trasę. Najpierw trafili do Baltimore, do doktora Juliana Chisholma. Był to specjalista od oczu, uszu, nosa i gardła – czyli od wszystkiego, co u Helenki nie działało. Chisholm, jak na drogiego specjalistę przystało, szybko zrozumiał, że cudów nie zdziała, ale za to potrafi świetnie odsyłać do innych sław. Skierował ich do samego Alexandra Grahama Bella. Tak, tego od telefonu. Bell, zanim zaczął ułatwiać ludzkości przekazywanie kłamstw na odległość, zajmował się głuchymi dziećmi. Wynalazca rozłożył ręce. Poradził kontakt z Instytutem Perkinsa dla Niewidomych w Bostonie.

Tam ustalono to, co medycyna – nawet dziś, uzbrojona w tomografy i całą aparaturę do zaglądania człowiekowi w głowę – ustalić potrafi najłatwiej: że choroba była nieuleczalna.

Zrozumieć wodę

Pojawiło się jednak coś! Zrozumienie, że komunikacja jest starsza niż język. Że człowiek nie musi operować dźwiękiem ani obrazem, by nadawać i odbierać sygnały. Wystarczy wzorzec. Dowolny kod, który mózg zdoła zinterpretować.

Otóż Helenka znów miała farta. W Instytucie Perkinsa znaleziono dla niej niejaką Anne Sullivan, która sama była produktem ubocznym nędzy i chorób. W młodości niemal oślepła, straciła umiejętność czytania i pisania. Z niemoty wyprowadzano ją za pomocą tak zwanego alfabetu monastycznego, który opisał 400 lat wcześniej hiszpański mnich Juan Pablo Bonet.

Sullivan system Boneta uprościła. Dopasowała i zrobiła z niego narzędzie do rzeczy pozornie niemożliwej: nauczenia języka kogoś, kto nie miał żadnego naturalnego kanału jego odbioru. Zaczęła pisać Helen na dłoni. Litera po literze. Znak po znaku. Przełom nastąpił przy pompie, kiedy Sullivan lała wodę na jedną rękę dziecka, a na drugiej kreśliła znaki. I nagle, w tym ciemnym, wilgotnym słoiku, w którym wegetowała Keller, zapaliła się żarówka. Pierwszym słowem, które zrozumiała, było „WODA”.

Potem wszystko potoczyło się z prędkością, której nie powstydziłby się żaden współczesny procesor. Intelektualna eksplozja – lawinowy przyrost słownictwa. Świat, który wcześniej był bełkotliwym zbiorem doznań bez znaczenia, zaczął się nagle porządkować, dzielić i układać w logiczną całość.

Pyskaty cud

W kolejnych latach Helen Keller nauczyła się też mówić, mimo że nigdy nie słyszała własnego głosu. Osiągnęła to, naśladując ruchy aparatu mowy innych ludzi. Dotykała ich ust, policzków i krtani, wyczuwając drgania i układ mięśni. To była mowa budowana nie przez słuch, lecz przez dotyk i pamięć ruchu.

Efekt był niedoskonały – jej wymowa pozostawała trudna do zrozumienia – ale sam fakt, że była w stanie wydobywać z siebie artykułowane dźwięki, pozostaje jednym z najbardziej niezwykłych osiągnięć ludzkiej determinacji i neuroplastyczności.

Opanowała angielski, francuski i niemiecki – czytając i pisząc w alfabecie Braille’a oraz korzystając z alfabetu palcowego. Ukończyła studia na Radcliffe College. Stała się najsłynniejszą głuchoniewidomą osobą w historii Stanów Zjednoczonych. Prasa ochrzciła ją mianem „cudu”.

Helen nauczyła się też myśleć. A kiedy już zaczęła myśleć, ku przerażeniu amerykańskich elit, doszła do słusznego wniosku: że system, w którym żyje, jest do chrzanu. Przeobraziła się w krwistoczerwoną radykałkę. Wstąpiła do Partii Socjalistycznej USA, popierała Eugene’a Debsa – faceta, który za swoje poglądy częściej bywał w więzieniu niż w operze – i zaczęła głosić rzeczy, od których jej tatusiowi krochmalony kołnierzyk nagle stawał się o trzy numery za ciasny.

Wbrew wszystkiemu

Lista „grzechów” panny Keller w oczach porządnego Amerykanina była imponująca. Była sufrażystką – co w tamtych czasach oznaczało bezczelne żądanie, by głos kobiety w urnie (wyborczej) ważył tyle samo co głos jej pijanego męża. Była też pacyfistką, i to w najgorszym możliwym momencie: gdy Ameryka, czyszcząc armaty, szykowała się do skoku w błoto pierwszej wojny światowej. I była chrześcijańską socjalistką, co jest równie logiczne jak próba ożenku biskupa z komisarzem ludowym. Dla kleru była bezbożnicą, a dla rewolucjonistów – nawiedzoną babą z różańcem.

Nienawidziła też prezydenta Woodrowa Wilsona, który w przerwach między modlitwami dbał, by czarnoskórzy urzędnicy nie musieli korzystać z tych samych toalet co biali. Jako córka kapitana Południa finansowała walkę o prawa czarnych! To tak, jakby dzisiaj córka biskupa wpłaciła na Fundację Wolność od Religii i paradę równości.

Poznała wszystkich prezydentów USA – od Grovera Clevelanda po Lyndona B. Johnsona. Dla wielu z nich, jak przypuszczam, była tylko „ciekawostką przyrodniczą”, którą wypadało pogłaskać po ręce. Przyjaźniła się z elitą intelektualną: Grahamem Bellem, Charliem Chaplinem i Markiem Twainem. Twain uznał ją nawet za umysł większy od Napoleona.

Tego nie dało się opisać

Właśnie zaoszczędziłem wam kilka godzin, które zmarnowalibyście nad książką „Historia mojego życia” Helen Keller. Nie dziękujcie, to moja praca. Literacko poziom co najwyżej przeciętny. Pisane to to językiem XIX-wiecznym, który dzisiaj smakuje jak czerstwy chleb. Trochę naiwne, trochę przesłodzone.

Ale nie o to chodzi, chodzi o to, że się rozczarowałem. Spodziewałem się zapisu z samego jądra ciemności – relacji kogoś, kto tam naprawdę był i, co ważniejsze, zdołał wrócić, żeby o tym opowiedzieć. Tymczasem tego, co mnie interesowało najbardziej, w pamiętniku napisanym przez dwudziestotrzyletnią Keller po prostu nie ma. Co działo się z nią do siódmego roku życia, kiedy nie znała jeszcze żadnych słów?

Dziś rozumiem, że moje oczekiwania były nierealistyczne. Po pierwsze – nie da się opisać świata bez słów za pomocą słów. Po drugie – nie da się go zapamiętać bez obrazów. Wszystko, co pojawia się w tym pamiętniku na temat tego bezwiednego okresu jest w gruncie rzeczy rekonstrukcją i retrospekcją. To zmyślanie ex post czegoś, co w momencie, gdy się działo, nie miało jeszcze formy, a więc nie mogło zostawić po sobie żadnego śladu.

Nadmiar światła, niedobór sensu

Skoro prawdy o ciemnościach nie znalazłem, spróbujmy ją sobie dośpiewać. Wniosek jest paradoksalny i pewnie dla wielu obraźliwy: to my jesteśmy upośledzeni przez nadmiar bodźców, a nie Helen Keller przez ich brak. Nasze życie w pełnym słońcu to nieustanny atak informacyjnego szlamu. Widzimy wszystko: od koloru krawata idioty po brud za paznokciami sąsiada. Jesteśmy zalani obrazami, które nic nie znaczą, i dźwiękami, które są tylko szumem. Ludzie ociemniali, tacy jak Keller, zyskują nad nami higieniczną wręcz przewagę. Są jak sowy polujące w absolutnej czerni, widzą tylko to, co istotne, co ma ciężar i kształt. Świat Helen był odcedzony z nieistotnych dekoracji.

Ciemność likwiduje bariery (także społeczne). Dla kogoś, kto nie widzi, nie istnieje majestat władzy ani nędza rynsztoka w takim sensie, w jakim my je kupujemy oczami. Ociemniały nie widzi złotych łańcuchów biskupa ani łachmanów żebraka. Dla niego prezydent i parobek to tylko dwa źródła ciepła, dwa głosy (jeśli je słyszy) i dwa zestawy drgań krtani. W dotyku skóra miliardera smakuje tak samo jak skóra robotnika.

I to jest właśnie ten fundament, na którym Keller zbudowała swój radykalizm. Nie czuła różnicy między „lepszymi” a „gorszymi”. Doszła do wniosku, że skoro wszyscy jesteśmy ulepieni z tej samej gliny, to te wszystkie hierarchie, tytuły i majątki są tylko sztucznym teatrzykiem dla tych, którzy dają się mamić wzrokiem.

Zatem wielka lekcja z ciemności jest taka: egalitaryzm to nie wybór ideologiczny, ale logiczna konsekwencja braku złudzeń optycznych. Helen Keller stała się socjalistką, bo ciemność wyleczyła ją z wiary w blichtr.

Posiadała jasność umysłu, wywiedzioną wprost z absolutnej czerni: wiedziała, że jej własna wyjątkowość nie jest żadnym „amerykańskim cudem”, ale produktem cudzej pracy i konkretnej struktury społecznej. W przeciwieństwie do dzisiejszych kołczów od siedmiu boleści doskonale rozumiała, że hasło „każdy może, jeśli tylko chce” to fałsz.

Wiedziała, że jej sława nie spadła z nieba. Zrozumiała, że człowiek nie jest samotną wyspą, ale częścią skomplikowanej sieci zależności. Ta świadomość pchnęła ją w objęcia socjalizmu.

Niestety, to trzeźwe myślenie w USA się nie przyjęło. Pochowano ją z pompą w Katedrze Narodowej w Waszyngtonie, tuż obok prezydentów i generałów. Doczekała się znaczka pocztowego i swojej gęby na dwudziestopięciocentówce. Jej idea związku zawodowego Robotników Przemysłowych Świata (IWW) – wizja powszechnej solidarności i walki z wyzyskiem – została skutecznie wyparta ze zbiorowej świadomości. Miejsce solidarności zajęły korporacyjne monstra w rodzaju Google’a czy Facebooka, które okradają wszystkich ze wszystkiego.

I to jest, moi drodzy, prawdziwa ciemność.

ROBERT JARUGA

H. Keller, „Historia mojego życia”, przeł. J. Sujkowska, Warszawa: Czytelnik, 1967.

eprasa.pl 1638912431

Osierocone święto

Między populizmem narodowców a populizmem liberałów

Pracownik stał się obecnie drobnym sprzedawcą swojej siły roboczej. Pochwycony w sieć uzależnień od masowej konsumpcji, tylko czeka na dalsze dary Rynkowego Pana. Przynależy już do tzw. klasy średniej. Elon Musk różni się od niego tylko większym rozmachem przedsiębiorczości. Szwaczka szyjąca dla niego modny ciuch, chiński rolnik montujący gdzieś na wybrzeżu kolejny model smartfona – to już nie uczestnicy wspólnej pracowniczej doli. Z nimi się nie łączy. Nie nasz poziom życia i użycia. Stał się wyczyszczonym ideologicznie trybikiem kapitalizmu bogatej Północy. Kto mu pomaga w tym, żeby nie dotarło do jego mózgownicy, że podtrzymuje trwanie Systemu, który eksploatuje przyrodę, jego pracę i życie? Na dodatek kończy się zapas sterydów wzrostu gospodarczego w postaci taniej energii z węglowodorów.

Państwo teoretyczne czy klasowe?

W epoce wolności inwestowania gdziekolwiek i w cokolwiek na bocznicy znalazło się państwo. By przyciągnąć, a później zatrzymać inwestorów – otworzyło rynki wewnętrzne. Korporacje, grożąc ucieczką kapitału portfelowego i inwestycji, wymusiły równanie w dół w zakresie podatków, obciążeń socjalnych, transferu zysków. Stopy podatkowe od dochodów indywidualnych spadły z 60–70 proc. do 40–50 proc. Stało się to między 1979 a 2000 rokiem – czyli w błogosławionym przez ekonomistów i polityków, w tym także lewicowych, okresie wolności dla kapitału.

Kodeksową ochronę pracy zastąpiła prekarność, czasowe zatrudnienie, eksploatacja pracy w strefach specjalnych, montowniach, w paczkowniach i logistyce, w sektorze usług personalnych. Tu dochody są niższe i niepewne. Dominanta nie przekracza w Polsce 5 tys. zł. W rezultacie brak obecnie arbitra, który by kształtował warunki brzegowe dla wykorzystania kapitału, pracy i zasobów przyrody na zasadzie zdrowego kompromisu. Świadczy o tym pozorowana przez nową ustawę o PIP likwidacja śmieciowego zatrudnienia.

Oligarchia

Na niskich podatkach i z taniej pracy wyrosły udzielne księstwa w demokratycznym pejzażu. To wielkie korporacje platformerskie, zbrojeniowe, przemysłowe, z sektora surowcowego i finansowego – wszystkie o rozproszonym kapitale właścicielskim, praktycznie zarządzane przez menedżerów. Oni zaś nie ponoszą odpowiedzialności majątkowej za swoje decyzje. Działają praktycznie dla pomnożenia wartości giełdowej firmy. W razie błędnych decyzji straty są uspołeczniane, jak w okresie kryzysu finansowego 2007–2008.

Menedżerowie obniżają koszty, głównie pracy. Skutkiem tej strategii biznesowej jest obniżenie globalnego popytu: spadają dochody płacowe w firmach, a w konsekwencji – w krajach. Pojawia się kuszenie konsumentów kredytami, by spieniężyć masę towarową, której wciąż przybywa. Rozwinął się silnie obciążający przyrodę konsumpcjonizm na dopalaczach kredytu – konsumpcyjnego i mieszkaniowego.

Twierdzą wolnej przedsiębiorczości wielkich korporacji stała się Dolina Krzemowa w USA. Do wielkiej mocy Jeffa Bezosa i kolegów przyczyniło się tolerowanie optymalizacji podatkowej oraz możliwość emigracji zysków do rajów podatkowych. Np. w 2015 r. 40 proc. zysków firm międzynarodowych powędrowało do rajów podatkowych. W tym czasie tylko ok. 2 mld. ludności świata może robić zakupy w globalnym markecie, a około 1,8 mld żyje na granicy fizycznej egzystencji.

Źródłem władzy technobuców jest kontrola patentów i kapitał finansowy – własny i pożyczany. Tworzą firmy-wydmuszki, bez własnych fabryk. Zastępują je okrążające glob łańcuchy produkcji, których ogniwami są podwykonawcy i poddostawcy z całego świata. Mogą łatwo zmieniać ofertę produktową, technologię. Kto inny ponosi bowiem stałe koszty utrzymania majątku produkcyjnego. Przykładem tego, jak bezradni wobec ich mocy są politycy, było „dawkowanie" szczepionek przez Big Pharmę. By zamknąć bilans rozliczeń, państwo polskie musi obecnie dopłacić Pfizerowi 5,6 mld zł za nieodebrane szczepionki.

Giełdyzacja gospodarki

Proceder ucieczki przed opodatkowaniem odpowiada za powstanie ogromnej nadwyżki wirtualnego kapitału. Krąży on wokół globu jak cyklon, grożąc niszczeniem warunków życia. Dzienne transakcje na Wall Street dawno już przekroczyły 6 mld dol. To kapitalizm kasyna. Płonne okazały się nadzieje, jakie zwolennicy hipotezy wydajności rynków finansowych spod znaku Miltona Friedmana pokładali w nowym kapitalizmie finansowym. Miał on być ukoronowaniem gospodarki rynkowej. „Rewolucja derywatów" miała skutecznie zabezpieczać ryzyko handlu kontraktami terminowymi „futures" – ale to one w czasie kryzysu finansowego 2007/2008 stały się toksycznymi aktywami.

Ilustr. PAWEŁ FERANC

Słowem, powstała gospodarka oparta na długu i spekulacjach produktami finansowymi, czyli formą pieniądza niezależną od rynku dóbr oraz obiegu gotówki. Dlatego według amerykańskiego ekonomisty, znawcy „gospodarki finansowej" Hymana Minsky'ego, „rynki finansowe nie zarządzają ryzykiem, lecz je stwarzają". I dlatego Władysław Szymański, od lat badający globalny kapitalizm, nazwał obecną funkcję giełdy keynesizmem giełdowym, gdyż o tempie wzrostu cen decyduje obecnie koniunktura giełdowa. W tej sytuacji „finanse finansują teraz finanse", jak ujął to angielski ekonomista Jan Toporowski.

W ten sposób powstał kapitalizm dla kilkuset milionów posiadaczy akcji – a więc około 5 proc. populacji świata. Proporcje podziału bogactwa wytworzonego dzięki pracy, uzbrojonej w technikę i wykorzystującej dary przyrody, są stałe. Według obliczeń Thomasa Piketty'ego, promil najbogatszych posiada 20 proc. światowego bogactwa, 1 proc. – około połowy, a grono 10 proc. krezusów rozporządzało wielkością zawartą między 80 a 90 proc. całości globalnego majątku. W tej sytuacji dolna połowa ludzkości musi się zadowolić mniej niż 5 proc.

Co gorsza, duże dysproporcje występują także między regionami świata: według szacunków Branco Milanovića, znanego badacza światowych nierówności, 80 proc. globalnej nierówności dochodu wyjaśnia kraj, a nie klasa.

Prezesi, nie premierzy

Tak więc władza przesunęła się do prezesów wielkich korporacji i ich drużyn: specjalistów zarządzania, marketingu, reklamy, usług doradczych, prawniczych.

To oni są sufleramiprawicy: zarówno narodowo-tradycjonalnej, jak i konserwatywno-liberalnej. W Polsce: PiS-u, KO, PSL-u, obu Konfederacji. Różnią się tylko roboczymi kostiumami, by wyłudzać głosy zróżnicowanej klienteli.

Obóz Zjednoczonej Prawicy rekonstruuje system władzy na wzór sanacyjnego reżimu, skoncentrowanego wokół państwa. Ideologicznie eksploatuje zaś tradycje endecko-klerykalne. W jednej kaplicy umieścił dwie trumny: Piłsudskiego i Dmowskiego, co znakomicie lustruje np. Telewizja Republika.

Poza socjalnym łapówkami dla właścicieli „kapitału ludzkiego" żadna z tych opcji nie narusza istoty systemu. KO stanowi reprezentację polityczną 15–17 proc. beneficjentów neoliberalnej transformacji. Pozostaje im tylko wyzwalanie energii „obywatelskiej", obrona demokracji i „państwa prawa", by zagwarantować swobodną przedsiębiorczość, wolność dążenia do zysków i ich ochronę przed podatkami.

Politycy ugrzęźli w labiryncie bieżących problemów. Obecnie to rywalizacja o ropę, lit, ziemie orne, strach przed Chyngis-chamem, kłopoty ze spłatą zadłużenia u „inwestorów", mała konkurencyjność narodowych firm. Ich rentierska klientela martwi się tylko o kursy akcji na giełdzie, a masy pracownicze – o coraz wyższy próg dostępu do tego czy innego supermarketu. Wszyscy nie uświadamiają sobie, że tkwią w pułapce postępu, który zgotował kapitalizm wzrostu gospodarczego i masowej konsumpcji. Tylko eksploatacja planety stawia opór. Rewolucję zastępuje kryzys planetarny. Zapowiada wymuszony postkapitalizm?

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

Mrożonki z Dino

W sklepach pracują ludzie. Nie zapominajmy o tym.

W polskim handlu od lat obowiązuje prosty układ: klient ma widzieć pełne półki, promocje i sprawną obsługę, ale już niekoniecznie ludzi, którzy ten cały cyrk podtrzymują. Ma nie widzieć przemęczenia, braków kadrowych, zimna na zapleczu ani strachu przed przełożonymi. Strajk ostrzegawczy w Dino jest ważny właśnie dlatego, że na chwilę ten parawan zrywa.

Na 25 kwietnia 2026 r. związkowcy z OPZZ Konfederacja Pracy zapowiedzieli w Dino strajk ostrzegawczy w godzinach 12.00–14.00. To nie jest żaden kaprys, tylko finał narastającego sporu zbiorowego. Związek domaga się 900 zł podwyżki, utworzenia Zakładowego Funduszu Świadczeń Socjalnych, większego zatrudnienia i poprawy warunków pracy. Spór trwa od listopada zeszłego roku, a – według relacji związkowców – naruszenia prawa pracy i lekceważenie podstawowych problemów załogi występują w firmie od dawna.

Dino nie jest tu wyjątkiem. W ostatnich miesiącach protestowali także pracownicy innych sieci handlowych. W Biedronce trwał spór zbiorowy o płace i obsadę. W Stokrotce odbywały się pikiety i referendum strajkowe. W Kauflandzie również dochodziło do protestów i żądań podwyżek. Wszędzie powtarza się ten sam mechanizm: za mało ludzi, za dużo obowiązków, coraz większa presja i opowieść kierownictwa, że wszystko jest cacy.

W Dino szczególnie dobrze widać, jak taki model działa w praktyce. Firma rośnie, rozbudowuje sieć i chwali się dobrymi wynikami finansowymi. W raporcie za 2025 r. grupa wykazała EBITDA (zysk przed potrąceniem kosztów odsetek, podatków i amortyzacji) przekraczający 2,5 mld zł. Jednocześnie spółka oświadczyła, że wzrosły koszty świadczeń pracowniczych, a rotacja pracowników podniosła się do 22,5 proc. A przecież jeśli ludzie masowo odchodzą, to nie dlatego, że nagle wszyscy zapragnęli nowych wrażeń. Odchodzą, bo mają dość.

Najmocniej widać to jednak nie w tabelach, lecz w historii Katarzyny Kiwerskiej z Sochaczewa. To ona nagłośniła problem niskich temperatur w sklepie.

Adrian Zandberg pojawił się tam z interwencją poselską po sygnałach od pracowników. Podczas wizyty mówił o temperaturze 8 st. C i o „robieniu z ludzi mrożonek". Wkrótce potem pracownica została zwolniona za wpuszczenie posła do magazynu.

Ilustr. PAWEŁ FERANC

Związkowcy twierdzą też, że firma nie chciała dopuścić jej do negocjacji, choć miała reprezentować załogę w sporze zbiorowym.

Tak wygląda w Polsce dialog społeczny. Pracownik ma cierpieć po cichu. Kiedy zaczyna mówić, staje się kłopotem; kiedy wpuszcza posła – jest uznawany za zagrożenie. Taki przekaz idzie potem do całej załogi: macie pracować, nie zadawać pytań i nie robić hałasu. Możecie marznąć, byleby klient nie zauważył.

Jeśli kobieta alarmuje o warunkach pracy, do sklepu przyjeżdża poseł na interwencję, a finałem jest zwolnienie osoby, która sprawę nagłośniła – to komunikat, że każdy, kto wychyli głowę, może zostać ukarany.

Dino stało się więc symbolem szerszego problemu. W Polsce przedsiębiorcę chwali się za „skuteczność", „ekspansję" i „dobre wyniki", rzadziej ktoś pyta, jakim kosztem te wyniki osiąga. Jeśli sklep działa, zarząd uznaje temat za zamknięty. Przemęczenie, niedogrzanie, zastraszenie pracownic to najwyżej „trudności operacyjne". Problem jest polityczny: to pytanie o to, czy człowiek zatrudniony w handlu ma prawo do godnych warunków, czy ma tylko milczeć i wyrabiać normę.

Zawsze znajdzie się chór cwaniaków, którzy rzucą swoje niezawodne: „jak się nie podoba, to zmień pracę". Najczęściej mówią to ludzie, którzy nigdy nie stali przed wyborem między własną godnością a rachunkiem za prąd. Handel stoi właśnie na tej bezczelnej pewności, że pracownik nie może po prostu trzasnąć drzwiami i wyjść.

Dlatego strajk ostrzegawczy w Dino znaczy więcej niż dwie godziny postoju. Jest sygnałem, że pracownicy handlu zaczynają rozumieć, że sklep bez nich nie jest nic wart. Przypomnieniem, że za tanią promocją i schludną alejką stoją ludzie, ich nerwy i granice wytrzymałości.

Najważniejsze w tej sprawie nie jest nawet to, czy zarząd ustąpi. Najważniejsze, że przestaje działać zmowa milczenia. Zza opowieści o sukcesie nowoczesnej firmy wychodzi stara prawda: ten biznes zbyt często był budowany na cudzym zmęczeniu, zimnie i strachu. Dotychczas ten, kto próbował to pokazać, dostawał po rękach.

Jeśli więc 25 kwietnia kasy w Dino na chwilę staną, będzie to przypomnienie, że pracownik nie jest mrożonką. Nawet jeśli długo go tak traktowano.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl 1638912431

Paradoks bezpieczeństwa

Racjonalne jądro irracjonalnych zbrojeń

Zapanowała na zachodnim półwyspie Eurazji epidemia strachu przed czarnym ludem ze Wschodu. Umysły nie tylko „obywateli", ale także ich półprzewodników, zaatakował wirus lęku. Paraliżuje analizę nowej sytuacji, która powstała wraz ze pojawieniem się chińskiego kolosa. Odpowiedzią jest szaleństwo zbrojeń. Tymczasem ani dron, ani rakieta nie obronią nas przed skutkami zakłóceń globalnego ekosystemu.

Wojna czy kooperacja

Co nam mówi zwykła, ludzka, naturalna inteligencja? Najsprawniej się nią posługują krytyczni badacze sceny politycznej. Ale ich refleksje – jak profesorów S. Bielenia, G. Kołodki czy Th. Palleya i J. Sachsa – giną w słowotoku tysięcy analityków, strategów, pracowników wywiadów i think tanków. Najczęściej to byli wojskowi, z wyjątkiem Dżeka Bartosiaka. U boku polityków obsługują oni korzystny dla Zachodu dotychczasowy ład. Cała ta soldateska żyje z wyścigu zbrojeń, traktuje świat jak stół bilardowy, na którym toczą swoje gry państwa. Główną wygraną jest hegemonia.

Ale to nie wojna czy konflikt określa zbiorowy los mieszkańców planety. Jest coś bardziej podstawowego. To jest skutek strukturalnej słabości życia wśród ludzi zorganizowanych we wspólnoty. Ludzkość jest podzielona na cywilizacje, narody, sojusze, wspólnoty regionalne jak UE. Tym, co powoduje niepewność egzystencji członków takich wspólnot, jest brak kontroli nad cudzymi arsenałami. Mamy kontrolę tylko nad własnym – w proporcji do kontroli biurokratycznej załogi państwa. A co z tym arsenałem, którym rozporządzają inne wspólnoty żyjące obok nas? Można przecież dzięki niemu wzbogacić własną gospodarkę rolną o tysiące dodatkowych zniewolonych pracowników, można przejąć cenne kruszce ujarzmionych – jak zrobili to Hiszpanie w obu Amerykach.

W tej sytuacji decydenci, stratedzy, analitycy nigdy nie mogą mieć całkowitej pewności co do intencji pozostałych uczestników żyjących bliżej lub dalej od nas. Jak piszą brytyjscy badacze bezpieczeństwa Ken Booth i Nicholas Wheeler, ten stan nieprzezwyciężalnej niepewności tworzy istotę dylematu bezpieczeństwa.

Polityk odpowiadający za bezpieczeństwo obywateli musi najpierw odczytać właściwe intencje kontrpartnera, przeciwnika, wroga. Tak powstaje dylemat interpretacji. Potem musi zdecydować, jak zareagować na tak czy inaczej postrzegane działania drugiej strony. To dylemat reakcji, wyzwanie strategiczne. Na każdym z tych poziomów analizy i decyzji może popełnić błędy. W tej sytuacji, wydaje się, rozsądny polityk powinien przygotować armię na najgorszy scenariusz. Pozostali postępują podobnie. Ostatecznie nakręca się spirala wrogości w następstwie zbrojeń – odległych od początkowych zamiarów.

Na tym polega paradoks bezpieczeństwa zawarty w przysłowiu: *si vis pacem, para bellum*. Dlatego w polityce między narodami to niepewność jest pewna. Tu rządzi lęk. Biurokracje poszczególnych państw mają w tej sytuacji dużą swobodę decyzji, wyboru strategii działania – bez względu na to, czy kierownictwo ma mandat od wyborców.

Ale jest aspekt, o którym milczą wszyscy płynący na fali zbrojeń.

Koszty finansowe zbrojeń można oszacować; dodatkowo mogą one podtrzymywać koniunkturę. A co z kosztami ekologicznymi? Ponieważ zużycie energii i minerałów nie jest tu priorytetem, rozpoczyna się orgia ich marnotrawstwa.

Na dodatek kosztem „masła"; kosztem obniżenia poziomu usług publicznych. Nowoczesna broń jest energożerna: napędzany turbiną gazową czołg Abrams spala od 400 do 800 litrów paliwa na 100 km. Silniki odrzutowe, okręty, elementy konstrukcyjne wymagają specjalistycznej stali, aluminium, tytanu, włókien kompozytowych, zubożonego uranu do pocisków – to wszystko stanie się cmentarzyskiem bezcennych zapasów planety.

Kolejny demon Wschodu

Zachód – wiadomo – to rządy prawa, pluralizm oraz instytucje wolność ubezpieczające. Wschód to Hunowie, Czyngis-chan, bolszewizm i Putin.

Demonizowanie i dehumanizowanie prezydenta Rosji Władimira Putina ma dwa źródła. Jedno to jego odpowiedzialność za zbrodnie wojenne popełnione w trakcie agresji na Ukrainę. Banałem byłoby przypomnienie nierównej miary dla zbrodniczych działań różnych naszych sukinsynów: Suharto, Somozy, Netanjahu, Trumpa… Ale jest i drugie źródło. To próba wyparcia ze świadomości kolektywnego Zachodu tego, co działo się w relacjach z Rosją w latach poprzedzających agresję na Ukrainę. O tym milczą koneserzy konfliktu ukraińsko-rosyjskiego. Tylko tacy brylują w mediach. Po co mącić Jarząbkom w głowach, skoro mądrość etapu już ustalona!

Po próbach kolejnej ekspansji NATO na wschód (Gruzja, Ukraina) w 2007 r. prezydent Rosji powiedział: stop obecności rakiet NATO siedem minut od Moskwy. Wystarczy przypomnieć sobie reakcję prezydenta USA Johna Kennedy'ego w 1962 r. Wówczas, na wieść o możliwym stacjonowaniu na Kubie rakiet radzieckich krótkiego i średniego zasięgu, było blisko przekształcenia zimnej wojny w gorącą. Wielcy mogą więcej, bo ich reakcja może mieć moc setek głowic jądrowych.

Do tego trzeba dodać „romantyczne" rozstanie przywódców słowiańskich bratnich narodów w Puszczy Białowieskiej. To tutaj doszło do ostatecznego rozpadu wspólnego dotąd państwa. Tu panował zapewne „duch puszczy". Ale to wtedy był czas na sprawiedliwe wytyczenie granic według kryteriów kulturowo-etnicznych i gospodarczych. Czy to duch puszczy znieczulił wszystkie wątpliwości i rozsądek?

Zglobalizowana niepewność

Skoro wyścig zbrojeń nie daje ostatecznego bezpieczeństwa, może warto szukać lepszej strategii niż zbrojenia. Te mogą co prawda – jak w USA – zwiększać innowacyjność gospodarki; zwłaszcza jeśli się rozporządza pieniądzem światowym. Nie tylko w realiach europejskich, ale i całej ekumeny trzeba wyjść poza wojskowy aspekt polityki i bezpieczeństwa. Bo zawsze pojawią się kolejne wyzwania: rywalizacja przeniesie się w kosmos, a na polu walki staną przeciwko sobie autonomiczne czołgi. Tym bardziej że nowe technologie pozwalają łączyć ze sobą różne platformy: zdalne serwery, AI, systemy płatnicze, sieci dronów, konstelacje satelitów. Wówczas wróg staje się tylko „sygnaturą danych", a śmiercią „niewygodnych" zarządzają algorytmy, jak podczas ludobójstwa dokonanego przez izraelskich Żydów w Gazie.

Rys. HENRYK CEBULA

Ale geopolityka to jedno. Przecież państwa chronią i wspierają rodzime korporacje. Ich zasięg jest co prawda globalny – lecz ich centrale mają nie tylko adres w konkretnym państwowym terytorium; mają także narodową przynależność. Sami politycy posiadają zwykle ich akcje, na dodatek potrzebują ich technologii dla swoich arsenałów i dochodów na różne budżetowe wydatki. Korporacje zaś rywalizują przy wsparciu swoich państw o tanią pracę, minerały, węglowodory, rynki zbytu dla rozdętej maszynerii zysku. Ostatnio przekonał się o tym prezydent Wenezueli Nicolás Maduro. Bez wkładu przyrody kapitalizm wzrostu gospodarczego i masowej konsumpcji nie może prosperować. A przecie innego być nie może. Może być tylko postkapitalizm.

Teraz Stany Zjednoczone pod rządami prezydenta Trumpa dążą do przedłużenia ery paliw kopalnych, zwiększają też penetrację tych rejonów świata, gdzie występują surowce konieczne do rozwoju nowych technologii.

Ale gospodarka podporządkowana zyskom wielkich korporacji i sektorowi finansowemu rodzi jeszcze inne pozamilitarne zagrożenia. Oprócz eschatologii mineralnej i efektu cieplarnianego dolegliwe są też dysproporcje rozwojowe między bogatą Północą a globalnym Południem. Podnoszą się fale masowych migracji z powodu deficytu przedsiębiorczości – z kolei w bogatych społeczeństwach Zachodu przybywa konfliktów na tle etnicznym i rasowym. To zaś reanimuje skrajną prawicę, dodatkowo rozbrajając ideologicznie tych, którzy żyją z pracy własnych rąk i umysłów.

W tej sytuacji nie wystarczy racjonalny egoizm Europejczyka. Własne bezpieczeństwo zależy też od innych. I ich bezpieczeństwa nie sposób pominąć. Całej Eurazji by służyło poszukiwanie dróg wspólnego bezpieczeństwa, bezpieczeństwa z innymi: z Ukrainą, z Rosją, z Białorusią, z krajami Azji Centralnej, a szczególnie z Chinami. To byłaby polityka budowy zaufania dzięki wspólnym korzyściom z gęstniejących więzi gospodarczych. Dopiero wówczas byłyby realne szanse kontroli zbrojeń i tempa eksploatacji planety. Europa nie ma surowców, te zaś ma Rosja.

Czas na rewizję głupiej doktryny polskiego marnego prezydenta. Rosja chciałby być hegemonem, by eksploatować europejskie surowce, technologie cyfrowe, uczyć się, jak traktować uchodźców? A może szuka technologii budowy morskich farm wiatrowych czy odpornych na wysadzenie gazociągów?

Przecież terytorium Polski jako pierwsze zamieniłoby się w sterty popiołów. Bo będzie strefą zgniotu dla walczących stron, czy to z zachodu, czy ze wschodu. Są tacy, co czytają w cudzych myślach, ale własnych boją się mieć.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

Sklepik z narodami zamknięty

Koniec świata kowbojów

Od Teheranu przez Budapeszt aż po Watykan coraz wyraźniej widać, że świat wkroczył w nową fazę, w której absolutna hegemonia Stanów Zjednoczonych przestaje być czymś oczywistym. To, co jeszcze niedawno uchodziło za stabilny porządek międzynarodowy pod przewodnictwem jednego mocarstwa, dziś staje się przestrzenią narastających napięć – politycznych, gospodarczych i moralnych.

Stany Zjednoczone wciąż dysponują ogromną siłą – militarną, ekonomiczną i medialną – ale ich zdolność do narzucania swojej woli bez sprzeciwu wyraźnie słabnie. Coraz więcej państw – nawet tradycyjnych sojuszników – nie chce już bezrefleksyjnie podążać za polityką narzucaną z zewnątrz, zwłaszcza gdy stoi ona w sprzeczności z ich interesami lub oczekiwaniami społeczeństw.

W tym kontekście szczególnie wyraźnie rysuje się pewien model polityki, uosabiany przez Donalda Trumpa. To podejście, w którym świat traktowany jest jak przestrzeń transakcji – gdzie relacje międzynarodowe mierzy się zyskiem i stratą, a nie wartościami czy długofalową równowagą. W takiej logice wielkie sprawy stają się kartami przetargowymi, a narody sprowadza się do liczb w zimnych kalkulacjach politycznych.

Ale ta wizja zderza się z rzeczywistością, której nie da się zignorować: narody to nie nieruchomości. Narody nie są firmami do przejęcia ani terytoriami, o których losie można decydować za zamkniętymi drzwiami.

Niosą w sobie historię, tożsamość i godność – wartości, których nie da się przeliczyć na pieniądze. Gdy się o tym zapomina, efektem nie jest stabilność, lecz narastający gniew, napięcia i wybuchy społeczne.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

To, czego dziś jesteśmy świadkami – od Bliskiego Wschodu po Europę – to nie tylko przetasowanie układu sił, lecz głębszy spór o kształt przyszłego świata. Czy pozostanie on systemem zdominowanym przez jedno mocarstwo, czy też zmierza ku prawdziwej wielobiegunowości, w której głos narodów będzie miał znaczenie?

Teheran symbolizuje sprzeciw wobec zewnętrznych nacisków. Budapeszt odzwierciedla rosnącą w Europie tendencję do niezależności decyzji. Watykan zaś przypomina o wymiarze moralnym w czasach, gdy wartości coraz częściej przegrywają z interesami.

Choć te przykłady różnią się kontekstem, łączy je jedno: świata nie da się już dłużej zarządzać logiką absolutnej dominacji ani sprowadzać go wyłącznie do rachunku zysków i strat.

Największym zagrożeniem dzisiejszych czasów nie jest jedynie zmiana układu sił, lecz brak sprawiedliwej, humanistycznej wizji, która uporządkowałaby ten proces. Świat nie potrzebuje kolejnego „handlowca", lecz bardziej zrównoważonego i sprawiedliwego porządku, który uzna, że prawdziwa siła tkwi nie wyłącznie w pieniądzu i militarnej potędze, lecz w szacunku dla woli narodów.

W centrum tych przemian pozostaje jedna podstawowa prawda: narodów nie da się kupić. Ani sprzedać.

OMAR FARIS

eprasa.pl 1638912431

Nędza przed rewolucją

Jak wyglądała Kuba przed Fidelem

W tych dniach, kiedy definitywnie zduszona amerykańskim embargiem Kuba pogrąża się w ciemnościach – coraz częściej słyszymy, jak to komunistyczna rewolucja zrujnowała wyspę kwitnącą jakoby przed obaleniem dyktatury Fulgencia Batisty. Towarzyszą temu liczne teksty i filmy – zarówno w telewizji, jak i w mediach społecznościowych – szkalujące osiągnięcia rządów socjalistycznych, pomijające sankcje gospodarcze i polityczne nakładane na ten kraj, a także liczne próby wywołania zamachów stanu, kolorowych rewolucji, bezpośrednich inwazji.

Warto w związku z tym przypomnieć ponurą, przedrewolucyjną rzeczywistość tej wyspy.

Kuba została włączona w orbitę wpływów amerykańskich w wyniku wojny, jaką USA rozpoczęły przeciw Hiszpanii (1898–1902), by odebrać jej ostatnie kolonie. Od zajęcia wyspy przez Amerykanów do zwycięstwa rewolucji Kuba była krainą drastycznych sprzeczności, gdzie nędza, głód i poniżenie zdecydowanej większości mieszkańców mieszały się z dzikim hedonizmem i luksusem zarezerwowanym dla bardzo nielicznych.

Pod dominacją amerykańską na Kubie było 400 kin (więcej niż w Paryżu), 250 klubów muzycznych, 200 klubów nocnych ze specjalną ofertą, liczne kabarety o kuszących nazwach: Montmartre, Salon Rojo de Capri, Sheherezade, Las Vegas, Rumba Palace czy istniejąca do dziś Tropicana. Nagie tancerki, będące główną atrakcją tych miejsc, często świadczyły także usługi seksualne.

Na Kubie prostytutek było więcej niż górników. Dzieliły się na *las de lujo* – luksusowe, *las de orilla* – te z plaży i *fleteras* – uliczne i przydrożne. W Hawanie w latach 50. naczelną burdelmamą była słynna Marina Cuenllas, mająca swoją siedzibę przy Avenida de las Misiones, zarządzająca siecią lupanarów. Na Kubę przybywali w wiadomych celach amerykańscy biznesmeni, politycy i gangsterzy. Bywał tu Winston Churchill, John F. Kennedy, gdy był senatorem, wielu innych dygnitarzy świata zachodniego i nie tylko – Kubę bardzo chętne odwiedzał też prezydent Dominikany Juan Bosch.

Poza seksprzemysłem jedynym produktem kubańskim był cukier. W epoce kolonialnej w XVII i XVIII w. na wyspie – szczególnie w Hawanie – funkcjonował rozwinięty przemysł stoczniowy, a w Santiago del Pardo na wschodzie działały kopalnie miedzi. Krótkotrwały podbój Kuby przez Anglików w 1762 r. przyniósł zmiany. Plantacje trzciny cukrowej i produkcja cukru stały się podstawową aktywnością gospodarczą.

W czasach amerykańskiej dominacji gospodarka Kuby była jeszcze bardziej jednokierunkowa. Produkowany na wyspie cukier był eksportowany tylko i wyłącznie do Stanów Zjednoczonych, gdyż taki porządek gospodarczy został Kubie narzucony po odejściu Hiszpanów. Amerykańskie spółki masowo wykupywały ziemię pod uprawę trzciny cukrowej. Zlikwidowano mnóstwo niewielkich gospodarstw rolnych zapewniających przeżycie średnim i drobnym rolnikom.

Cukier przynosił zyski, więc inne uprawy likwidowano. Wskutek takiej polityki głód w nieznanej dotąd skali zawitał na kubańską prowincję.

USA, mające wyłączność na zakup cukru, dyktowały ceny i ilość tegoż produktu, co stawiało Kubę w roli kraju całkowicie zależnego. 47 proc. upraw trzciny cukrowej należało do 13 prywatnych firm amerykańskich.

W rękach amerykańskich koncernów znajdowały się także komunikacja, elektryczność, telefony, górnictwo i energetyka. Kuba importowała ze Stanów: samochody, maszyny, chemikalia, papier, materiały i ubrania, a nawet mięso, tłuszcz, fasolę, ryż, cukierki (!), bawełnę etc.

Warto wiedzieć, że na wyspie istnieją spore złoża niklu, wolframu, żelaza, miedzi, manganu, chromu. Te kopaliny też pozostawały w gestii amerykańskich spółek. Jak ważne były one dla gospodarki USA, świadczy fakt, że po ich nacjonalizacji, po 1959 r. amerykański koncern Nicro-Nickel znalazł się na krawędzi upadku i musiał zostać przejęty przez państwo.

Szkolnictwo i edukacja były całkowicie zaniedbane. Jedna czwarta ludności Kuby nie umiała czytać ani pisać; na wsi wskaźnik analfabetyzmu wynosił ponad 50 proc. 44 proc. dzieci nie chodziło do szkoły, a 85 proc. rodzin kubańskich nie miało dostępu do bieżącej wody.

Drastyczna sytuacja panowała w służbie zdrowia. Publiczne lecznictwo praktycznie nie istniało. Pod każdym względem powielano wzory ze Stanów Zjednoczonych, gdzie służba zdrowia do dziś jest traktowana jak biznes. W latach 50. podporządkowany Stanom rząd Kuby wydawał na ochronę zdrowia 670 965 pesos rocznie – 3,26 pesos per capita. Dla porównania: w 1965 r. socjalistyczny rząd Kuby wydawał na ochronę zdrowia 140,5 mln pesos.

Przed rewolucją, w 1958 r., populacja Kuby wynosiła 5,9 mln, a lekarzy opiekujących się tą ludnością było w tym czasie 6250. 14 proc. biedniejszych Kubańczyków cierpiało na gruźlicę i tyfus.

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Tylko 4 proc. rolników i robotników było stać na mięso, a 11 proc. na mleko. Podstawowymi daniami przeciętnego Kubańczyka były ryż i fasola. Na 100 nowo narodzonych dzieci 60 umierało w dzieciństwie z chorób i niedożywienia.

Notoryczną plagą ludności było bezrobocie. W latach 1956–1957 bez pracy pozostawało 25 proc. populacji. Etaty stałe były rzadkością. Dominowała praca sezonowa. Dla mężczyzn w wieku produkcyjnym praca pojawiała się tylko w okresie zafry – zbioru trzciny cukrowej na plantacjach. Gdy zafra się kończyła, kończyła się także praca. Perspektywy zawodowe kobiet rozciągały się od pracy służącej do prostytutki włóczącej się po plażach lub ulicach. W takich warunkach szerzył się bandytyzm. Przemoc była tak powszechna, że studenci przychodzili na uczelnie z bronią palną.

Chorej gospodarce opartej na kolonialnym wyzysku odpowiadał chaos polityczny. W państwie kubańskim ambasador Stanów Zjednoczonych znaczył więcej niż prezydent tego kraju.

By system mógł trwać, konieczne były interwencje zbrojne. Już uzyskanie „niepodległości", po wygnaniu Hiszpanów zaczęło się amerykańską okupacją wojskową trwającą do 1902 r. Władzę nad Kubą sprawowali amerykańscy generałowie: John L. Brooke, a po nim Leonard Wood. W 1901 r. USA narzuciły Kubie tzw. poprawkę Platta, na mocy której wojsko amerykańskie mogło interweniować na wyspie, gdy Waszyngton uznał to za konieczne.

Tomás Estrada Palma, pierwszy prezydent Kuby (1902–1906) nie radził sobie z problemami i w związku z tym na jego prośbę doszło do amerykańskiej okupacji wyspy w latach 1906–1909. Następne interwencje miały miejsce w latach 1912 i 1917–1922. W latach 1925–1933 wyspą rządził dyktator Gerardo Machado y Morales, „krwią i żelazem" tłumiący wszelkie przejawy społecznego niezadowolenia. Tak wyglądał „kapitalistyczny raj" na Kubie, który obecna propaganda stara się wymazać z ludzkiej pamięci.

ANDRZEJ ULMER

Majowa lista przebojów

Polskie pieśni buntu i niedoli

Polskojęzyczne media masowe – a te społecznościowe też się wpisują w ten trend – pełne są opowieści o miliarderach, książętach (krwi lub pieniądza) i wszystkich burżujach, których naczelnym problemem jest, czy w tym roku Malediwy wciąż są jeszcze modne.

Na szczęście jako patriotka wiem, że w narodzie od setek lat pojawiają się przekazy, które opisują los zwykłych ludzi, kiedyś chłopów pańszczyźnianych, a dzisiaj robotników, bez których pracy polskie społeczeństwo w ciągu 24 godzin rozsypałoby się w proch. Z okazji Święta Pracy postanowiłam przypomnieć mniej lub bardziej zapoznane rodzime pieśni i piosenki, które opowiadają o ludziach dobrej roboty.

Zacznijmy od przypomnianych w nowych aranżacjach przez folkowo-punkowy zespół R.U.T.A. (skrót od Ruch Utopii, Transcendencji, Anarchii lub Reakcyjna Unia Terrorystyczno-Artystowska) tradycyjnych pieśniach polskich, ukraińskich i białoruskich.

Z batogami na panów

Tylko wyzyskiwaczom się wydaje, że mogą bezkarnie wykorzystywać słabszych od siebie, podsuwając im pod nos ideologię uległości, niekiedy podlaną sosem sankcji boskiej. Wystarczy rzucić okiem na kawałek „Batracka dola" R.U.T.Y.:

„Dołoż moja, doleńko,
Sługi pana złego, przeklętego.
Praca w dzień i w nocy praca.
Zysk dla pana, księdzu taca.
Tylko dla tych co u dwora,
Hej tam, zebrać braci pora.
Osądzimy i spalimy.
Pańskie dobra spopielimy".

Ciemiężony lud nigdy nie pozbył się marzeń, że pewnego dnia ci, którzy zginają jego karki do ziemi, zasmakują tego, co sami tak chętnie innym serwują. Świadczy o tym piosenka „Będą panowie sami łąki kosić":

„Przyszło napisanie od Wiednia do Koszyc,
Że będą panowie sami łąki kosić.
Panowie z kosami, a panie z grabiami,
Zjedzcie trzysta diabłów, róbcie sobie sami".

Chłopi, a nawet i chłopki, pod przewodem Jakuba Szeli ze wsi Smarżowa ruszyli na dwory (i dodajmy – kościoły), co przeszło do historii jako rabacja galicyjska. W pisanej przez szlachtę i jej spadkobierców historii Polski zostali obsmarowani jako zdziczała hołota, pożyteczni idioci austriackiego cesarza i zdrajcy ojczyzny. Tymczasem w pamięci ludowej, co przypomina R.U.T.A. w „Pieśni o Jakubie Szeli", te wydarzenia jawią się w odmienny sposób:

„Oj, o chłodzie, o głodzie, w tym zielonym borze,
Pracuj, chłopie, dzień i noc, nikt ci nie pomoże.
Oj, skończy się nam, skończy nasze mordowanie,
Oj, kiej człowiek człowiekowi niech wilkiem zostanie.
Jak Jakubek z chłopami zrobi szlachcie pranie".

Jebać fabrykantów

Historia buntów Polaków przeciwko wyzyskowi nie zakończyła się bynajmniej w chwili zakończenia na ziemiach trzech zaborów pańszczyzny. Kiedy półki księgarń uginają się od bogoojczyźnianych gniotów, bardzo mało uwagi poświęcono rewolucji 1905, praktycznie nieistniejącej w potocznej świadomości.

Chlubnym wyjątkiem jest książka Wiktora Marca „Rebelia i reakcja. Rewolucja 1905 roku i plebejskie doświadczenie polityczne". Jak zauważył Borys Cymbrowski w recenzji tego dzieła na łamach naukowego pisma „Studia Krytyczne", właśnie wtedy ukształtowała się specyfika polskiego podziału na lewicę i prawicę, ówcześnie powstała „proletariacka sfera publiczna – specyficzne zjawisko współdefiniujące nowoczesną polityczność, lecz bardzo ulotne i między innymi dlatego stosunkowo rzadko opisywane w pracach naukowych".

Hołd rewolucjonistom oddał Paweł „Piguła" Czekała, lider punkowego zespołu The Analogs, tworząc tekst piosenki „1905":

„1-9-0-5, 1-9-0-5!
Tyranom śmierć!
Chwała bohaterom, proletariuszom,
Jebać Dmowskiego – carskiego kapusia.
Za niepodległość, za rewolucję,
Chwała bohaterom, robotnikom łódzkim.
Za krew przelewaną w kolorze sztandaru,
Pod którym walczyli, idąc ramię w ramię".

Dodajmy, że

utwór kończy się jakże miłym dla ucha lewackiego zawołaniem: „Jebać tych, co rządzą dzisiaj naszym krajem, za to, że historię naszą przekręcają".

The Analogs pokazali w swej twórczości, że i ci, którzy mają serce po właściwej stronie, mają swoich żołnierzy wyklętych. W czasach, gdy jaśniepaństwo ze stolicy i dużych ośrodków miejskich w kraju narzeka na autorytaryzm i prawicowe odchylenie klasy robotniczej (oczywiście, nie proponując jej nic sensownego!), trzeba wciąż przypominać, że polscy robotnicy wiedzieli, że brunatni oferują im fałszywe recepty na rozwiązanie ich bolączek. Przykładem tego mogą być tzw. dąbrowszczacy, bojownicy XIII Międzynarodowej Brygady im. Jarosława Dąbrowskiego, walczący z wojskami gen. Franco. Opiewa ich kawałek „Trzynasta":

„Przyszli z kopalni i wilgotnych więzień,
Zerwali kajdany, broń wzięli do ręki.
Ginęli za Madryt, poświęcali życie,
Walczyli o wolność i za republikę.
Trzynasta, dla ciebie szacunek i chwała,
Tyś śmiała się w oczy armii generała.
Trzynasta, ty pierwsza z dala od ojczyzny
Pokazałaś światu, jak walczyć z faszyzmem.
Każą ci zapomnieć, plują na ich pamięć,
Ale w naszych sercach płomień ich nie zgaśnie".

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Z kronikarskiego obowiązku dodajmy, że Czekała na swym solowym albumie jako Piguła Original opiewa w antykapitalistycznej tyradzie „Trzy rundy" „pamięć przodków", umierających za wolność i domagających się po II wojnie światowej równości, a konkretnie, „by ziemia i przemysł był własnością ludu, by podnieść ten kraj ze zgliszczy i gruzów".

Skrzecząca teraźniejszość

Prawda jest taka, że nie żyjemy – co ma swoje dobre strony – w czasach heroicznych, lecz w niejednej piosence twórcy pochylają się nad niedolą szarego człowieka, pracującego ponad siły za marne pieniądze.

Nie sposób nie zauważyć, że uczucie wzruszenia i współczucia może nas ogarnąć, gdy słuchamy piosenki „Heniek" zespołu Bunkier. Opiewa on nudne i ciężkie życie tytułowego bohatera, który wraz z żoną budzi się o piątej rano na dźwięk ruskiego budzika. Potem mężczyzna goli się „tą maszynką, co pamięta Boże Narodzenie" i udaje się do pracy przy naprawie autobusów („Nie przypadkiem go wołają mistrzem Heńkiem z PKS-u"). A wieczorem i przed świtem tego spracowanego człowieka nachodzi nieco pocieszająca myśl, że już za 10 lat będzie emerytem.

Zespół o uroczej nazwie Defekt Muzgó w numerze „Majorka" skarży się na niedolę („Pracuję jak idiota pierdolony boży dzień, A tak naprawdę na nic nie stać mnie"), marząc o tytułowej Majorce i zdając sobie sprawę z faktu, że choć podmiot liryczny „chciałby gdzieś wyjechać i przeruchać panienkę", to co najwyżej może sobie „kupić tylko wódki butelkę".

Rzeczywistość za oknem nieczęsto przypomina obrazki znane z mdławych telenowel Polsatu. Śląscy punkowcy z kapeli Bulbulators widzą w kawałku „Sprawiedliwość" ją w sposób niedający większych nadziei, skoro refren tego protest songu brzmi: „Jedyna sprawiedliwość – do piachu pójdą wszyscy". Los nie dzieli równo – obok szczęściarzy, którym łatwo przyszło, są pechowcy, którym nic nie wyszło: „Są podli bogacze i są uczciwi biedni, psujący statystyki, nikomu niepotrzebni"…

Nie chcę jednak kończyć tak smutno, więc podsumowanie niech będzie pozytywne, nawet gdy po majówce trzeba będzie wracać do roboty i słuchać rozkazów szefa, który przeważnie jest starym tępym chujem, a niekiedy wredną raszplą w drogim kostiumie. Kiedy ów osobnik pojawi się w zasięgu wzroku, uśmiechnijmy się i zanućmy w myślach numer Castetu pod wszystko mówiącym tytułem „Zabij szefa!":

„Zabij swego szefa w pracy, Bóg na pewno to wybaczy.
Zbierzesz punkty, będziesz w niebie, on się będzie smażył w piekle".

KAT

eprasa.pl 1638912431

Karol Nawrocki wybrał sobie fachowców od mediów

Wszyscy ludzie prezydenta

Prezydent Nawrocki powołał własną Radę Nowych Mediów. Wszyscy jak na komendę dostali wścieklizny, kiedy się okazało, że w jej skład wszedł internetowy celebryta znany z szerzenia rosyjskiej propagandy. Zupełnie bez sensu, bo tam są o wiele ciekawsze nazwiska.

Na tronie Kancelarii Prezydenta można przeczytać, że „do głównych zadań Rady będzie należało diagnozowanie kondycji współczesnych mediów, ocena ich wpływu na społeczeństwo oraz formułowanie postulatów, dobrych praktyk i propozycji rozwiązań, w tym również o charakterze systemowym”… Dobra, co się pośmialiśmy, to nasze.

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

W ciało doradcze włączono 27 organizmów. Swoją wiedzą wspierać prezydenta będą m.in.: katolicka publicystka Weronika Kostrzewa, wieloletni współpracownik Andrzeja Dudy Marcin Kędryna, Rafał Ziemkiewicz, publicysta „Do Rzeczy” Karol Gac czy prezes powiązanej z Telewizją Republika spółki handlowej Goryla. Jako listek figowy tej zbieraniny przetrąconego obiektywizmu przypięto Klaudię Rosińską, byłą pracownicę NASK i ekspertkę do spraw cyberbezpieczeństwa.

Najwięcej kontrowersji wzbudziła nominacja Pawła Svinarskiego (prawdziwe nazwisko Swinarski), który we wrześniu 2025 r. opowiadał na swoim kanale „Dla Pieniędzy” na YouTubie, że atak rosyjskich dronów na Polskę to ukraińska prowokacja mająca wciągnąć nasz kraj do wojny. Nagranie podkurwiło Sztab Generalny Wojska Polskiego, który wykorzystał później materiał jako przykład rosyjskiej dezinformacji. Nad rewelacjami Svinarskiego pochyliła się również NASK.

„Dziwicie się, że Karol Nawrocki bierze do swojej rady mediów ludzi szerzących rosyjską dezinformację? Dziwne byłoby, gdyby brał takich, co ją zwalczają” – napisał w social mediach premier Donald Tusk. „Rada ds. Nowych Mediów? Bardziej wygląda na Radę ds. ruskiej narracji” – zawtórował Adam Szłapka. Ciekawe, że żaden nie wspomniał o lobbystach z Big Techów, a Nawrocki przytulił ich aż trzech. Ba, można by nawet pomyśleć, że to z ich powodu rada powstała, a reszta towarzystwa to tylko dekoracja.

W imieniu wielkich platform technologicznych do prezydenckiego uszka szeptać będą Jakub Turowski, Łukasz Gabler i Emil Kędzierski.

Ekipa nie w mąkę pierdział. Turowski to pan od Facebooka, konkretnie dyrektor ds. polityki publicznej Meta na Europę Środkowo-Wschodnią. Odpowiada za strategiczne relacje z rządami, regulatorami oraz NGO w Polsce i pozostałych krajach bałtyckich. Mówiąc krótko i na temat, buduje lobbing firmy wobec ustawodawców i decydentów.

Śmieszna sprawa: w grudniu 2025 r. minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski powołał Turowskiego w skład VI kadencji Rady ds. Cyfryzacji. Ten sam Gawkowski pytany o skład świeżo powołanej rady prezydenckiej stwierdził, że Nawrocki „nie ma dobrej ręki do ludzi”. Turowski jest również aktywnym członkiem społeczności cyfrowej Amerykańskiej Izby Handlowej (AmCham) w Polsce. Przewodnicząca AmCham to Marta Poślad, dyrektorka ds. polityki publicznej w Europie Środkowo-Wschodniej i relacji transatlantyckich z Google. Też była członkinią Rady ds. Cyfryzacji, tylko V kadencji w latach 2023–2025. Sami swoi. Meta, właściciel Facebooka, Instagrama i WhatsAppa, jest oskarżany o lobbing przeciwko unijnej Digital Services Act (DSA) – ustawie o usługach cyfrowych, która nakłada na platformy większe obowiązki w walce z dezinformacją i nielegalnymi treściami. Turowski chyba się za dużo nie napracuje, bo Nawrocki DSA zawetował. Argumentował wówczas swoją decyzję sprzeciwem wobec cenzury internetu i ochroną wolnego słowa. Klasyczne pierdolołło trumpowskiego MAGA, które nie życzyło sobie, żeby Meta przestała robić dobre pieniądze w Europie.

Z kolei Łukasz Gabler pracował przed laty w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, był dyplomatą. Aktualnie ma ciekawsze zajęcie: jest szefem relacji rządowych i polityki publicznej TikToka w regionie Europy Środkowo-Wschodniej. Z grubsza rzecz ujmując, specjalizuje się w budowaniu strategii wykorzystania TikToka w kampaniach przez partie i polityków. Do tego dochodzą takie duperele jak moderacja treści czy edukacja medialna. TikTok to chińska aplikacja oskarżana o zbieranie danych i potencjalne wpływy Pekinu. Platforma była też szeroko krytykowana za słabą walkę ze słynną dezinformacją i takie brzydkie rzeczy jak uzależniające algorytmy wycelowane w nastoletnie umysły. Nie będzie zaskoczeniem informacja, że TikTok także był przeciwko DSA.

Wisienką na torcie bigtechowej trójcy jest Emil Kędzierski, menedżer ds. relacji rządowych i polityki publicznej Google. Pracował w Departamencie Społeczeństwa Informacyjnego w Ministerstwie Administracji i Cyfryzacji za czasów drugiego gabinetu Donalda Tuska, a później Ewy Kopacz. Po ministerialnej przygodzie zahaczył się w Polkomtelu i przeskoczył do Google.

W kwietniu ub.r. zapadł wyrok w procesie antymonopolowym USA przeciwko Google. Koncern nielegalnie stworzył i utrzymywał monopol na dwóch kluczowych rynkach internetowej technologii reklamowej. Dymał w ten sposób na kasę reklamodawców i wydawców (w tym polskie portale, gazety i serwisy internetowe).

Czy obecność panów w radzie prezydenckiej daje korporacjom bezpośredni dostęp do głowy państwa, żeby np. wetowała lub blokowała niekorzystne dla platform rozwiązania? Dajmy na to dotyczące szkodliwych treści w social mediach?

Nie wiem, choć się domyślam.

TikTok, Meta i Google mają 65–70 proc. globalnych udziałów w rynku reklamy internetowej. Ministerstwo Cyfryzacji pracuje nad podatkiem cyfrowym, który miałby objąć przychody takich gigantów. Implementację opodatkowania musiałby zatwierdzić Karol Nawrocki. Panie premierze Tusk, pan zostawi tego Svinarskiego i resztę prawicowych celebrytów. Pan zerknie w tę stronę.

IDALIA DUBICKA

Nie chcę przez to powiedzieć, że są siebie warci. Pełczyńska-Nałęcz jest w tej chwili bodaj moją ulubioną postacią na polskiej scenie politycznej. A Morawiecki – jak by to ująć – nie. Ale dziś obydwoje robią to samo: przeciwstawiają się autokratycznym liderom. Co czyni z nich bojowników o wolność i demokrację. I nie, to wcale nie ironia.

Yeti z klasy średniej

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz jest zapewne jedyną członkinią rządu, która ma odwagę przypominać, że ministrowie reprezentujący partie koalicyjne nie są politycznymi podwładnym Donalda Tuska. Podejrzewam, że to samo chętnie robiłaby Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, ale po tym, jak Tusk przeczołgał ją na okoliczność (bardzo sensownego) projektu wzmocnienia uprawnień PIP, wyraźnie odpuściła. Może ma to jakiś związek z faktem, że szef jej partii zaczął urzędowanie na stanowisku drugiej osoby w państwie od deklaracji „bardzo lojalnej współpracy z rządem”. Pełczyńska-Nałęcz jest swoją własną partyjną szefową, więc nikt jej nie wycofa z rządu za karę za niesubordynację, co czyni jej sytuację nieco jaśniejszą.

„Jak się okaże, że nie jesteście z nami, to się pożegnamy” – zagroził Donald Tusk Polsce 2050, żądając głosowania przeciwko opozycyjnemu wotum nieufności dla minister Pauliny Hennig-Kloski. Trudno oprzeć się wrażeniu, że tu chodzi o coś więcej niż obronienie fatalnej skądinąd szefowej resortu klimatu; że Tusk nie znosi Pełczyńskiej-Nałęcz, bo mu się stawia – jako jedyna z całego koalicyjnego obozu. Szczerze mówiąc: lubię ją choćby za to.

Co nie zmienia faktu, że nieco bawią mnie zaklęcia Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz o „klasie średniej”, o którą jej partia planuje walczyć. „Klasa średnia” jest jak yeti – wszyscy o niej mówią, ale nikt jej nie widział. Przynajmniej w Polsce. Zdaniem OECD do tej klasy zaliczają się osoby zarabiające między 75 i 200 proc. mediany, czyli w Polsce od 5,5 do 14,5 kafla. Upychanie tej grupy w jednej kategorii to absurd i absolutnie nic nie mówi o statusie finansowym i życiowym jej członków. Co jest o tyle bez znaczenia, że ważniejsza jest zwyczajowa interpretacja tego terminu. A ta wyrosła z neoliberalnej propagandy lat 90., gdzie „klasa średnia” oznaczała wprost beneficjentów budowy kapitalizmu: różnej maści przedsiębiorców i powstającą masę korpoludków ozdobioną co lepszymi okazami „inteligencji pracującej”: profesurą (ale już nie nauczycielami szkół podstawowych i średnich), artystami, prawnikami, ewentualnie dziennikarzami. W największym skrócie – to ci, którzy lubią o sobie myśleć jako o „elicie”. Ludzie uczciwie żyjący ze sprzedawania swojej pracy w fabrykach nie są do tej klasy zaliczani.

I jestem skłonna zaryzykować twierdzenie, że Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz doskonale zdaje sobie z tego sprawę i używa terminu „klasa średnia” dla uśpienia czujności tych członków partii Hołowni, którzy przy niej zostali i nie muszą wiedzieć, że znaleźli się w partii lewicowej. A o tym

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Za ministrą Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz ktoś chodził. Śledził ją. Stalkował. Prześladował. A może było ich kilku? Na pewno byli to mężczyźni. Odrażający, źli, toczący pianę z ust, seksualnie podnieceni. Mężczyźni oraz ministra Paulina Henning-Kloska.

Nikt w otoczeniu Pełczyńskiej nie doradził jej wizyty u lekarza – wszyscy bali się jej nieprzewidywalnej reakcji. A właściwie przewidywalnej: wybuchu i zaliczenia do grona prześladowców.

Gdyby ministra zdecydowała się jednak na odwiedzenie specjalisty, ten zadałby jej kluczowe pytanie: – Kto pani dokucza?

– Tusk, Karnowski, Siemoniak, Kierwiński i Henning-Kloska.

Lekarz postukałby lekko skuwką pióra w blat biurka.

– Berek, Gawkowski, Balczun, Motyka i Henning-Kloska – wymieniałaby Pełczyńska kolejne nazwiska, nieświadomie powtarzając nazwisko Kloski.

Stuk, stuk, stuk.

– Kulasek, Kosiniak-Kamysz, Sikorski, Żurek i Henning-Kloska – ciągnęłaby minister.

Stuk, stuk.

– Rutnicki, Krajewski, Klimczak, Domański i Henning-Kloska.

– Ktoś jeszcze? – zapytałby lekarz.

– Henning-Kloska, Henning-Kloska i Henning-Kloska. I jeszcze Henning-Kloska – zakończyłaby Pełczyńska.

– Może pani pojechać tam – na koniec wizyty doktor pokazałby jej reklamowy folder ośrodka położonego w górach, gdzie pensjonariusze dochodzą do siebie w ciszy i spokoju – albo zmienić swoje zachowanie wreszcie na asertywne. Niech pani odszczekuje się prześladowcom i innym maniakom.

Ośrodek w górach kusiłby, ale urojenia o poczuciu obowiązku ostatecznie by zwyciężyły.

– Wybieram drugą opcję – orzekłaby minister, a po powrocie do domu napisałaby na Iksie: „Dziaderstwo i mobberstwo”.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Kliknij tutaj, żeby

Spoiler: nie działa

Polityczna przyszłość Polski 2050 jest niepewna jak prognozy ekonomiczne Ryszarda Petru. Po rozstaniu z PSL partia w sondażach ląduje pod progiem wyborczym. Nowa przewodnicząca partii Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz śmiało rozpycha się w rządzie Donalda Tuska, ale ciągle musi mierzyć się z wizerunkiem partii odziedziczonym po Szymonie Hołowni – partii, która poległa w starciach samej ze sobą.

Bowiem historia partii Polska 2050 to w gruncie rzeczy opowieść o tym, co się dzieje, gdy bardzo serio potraktuje się obietnicę, że technologia rozwiązuje problemy polityki. Tu technologia – zamiast partii pomóc – wybuchła jej w rękach.

Cyberoptymizm level: Hołownia

Gdy Szymon Hołownia po udanych dla siebie wyborach prezydenckich w 2021 r. zakładał partię Polska 2050, wszystko wyglądało jak start-up marzeń: świeżość, energia, ludzie bez politycznego obciążenia i wiara, że da się inaczej.

Na rynku obecne oczywiście były stare, tradycyjne rozrośnięte jak korporacje tłuste koty: Prawo i Sprawiedliwość oraz Platforma Obywatelska – z kasą, strukturami i lojalnymi mediami, działającymi jak plemienne megafony.

Polska 2050 postanowiła zagrać inaczej. Skoro nie ma się telewizji, to trzeba mieć aplikację. Skoro nie ma „swoich” gazet i partyjnych publicystów, to trzeba mieć społeczność online. Problem polega na tym, że polityka – w przeciwieństwie do aplikacji – nie ma przycisku „cofnij”.

Był to klasyczny przypadek tego, co Białorusin Jewgienij Morozow nazwał technologicznym solucjonizmem. Czyli przekonania, że jeśli coś nie działa – wystarczy zrobić aplikację. Morozow streścił takie myślenie pięknie w tytule książki: „Aby uratować wszystko, po prostu kliknij tutaj”. Hołownia kliknął. Polska 2050 kliknęła. Ale się nie udało.

Jaśmina, czyli Michelle Obama polskiej polityki

We wrześniu 2021 r. w Warszawie odbyła się pierwsza partyjna konwencja partii Szymona Hołowni. Lider zapowiadał gościa specjalnego. Gościa, którego nikt się nie spodziewał. Część ludzi naprawdę szykowała się na Michelle Obamę, byłą pierwszą damę. Na scenę weszła Jaśmina.

Aplikacja.

Według zapowiedzi liderów Polski 2050 miała to być aplikacja, która zrewolucjonizuje polską politykę. Rewolucja polegała na tym, że działacze instalują na telefonie Jaśminę: platformę do wymiany opinii, zgłaszania pomysłów, głosowania w ankietach i budowania struktur partii. Aplikacja ułatwia dialog między liderami, działaczami i sympatykami ugrupowania. Zamiast jeździć po powiatach i pić wódkę z musztardówek z działaczami partyjnymi, Hołownia miał klikać w telefonie i znać wszystkie problemy i nastroje w całej Polsce.

Tyle zapowiedzi. Problemy z aplikacją zaczęły się natychmiast. Wyglądało to, jakby naprawdę na konwencję miała przyjechać pani Obama, ale w ostatniej chwili odwołała przyjazd i stażysta na śmieciówce szybko napisał aplikację, by szef partii miał co pokazać.

eprasa.pl 1638912431

Nowy ZBoWiD

Kibicuję Katarzynie Pełczyńskiej-Nałęcz i Mateuszowi Morawieckiemu

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

świadczy chociażby jej determinacja w walce o budownictwo społeczne – naprawdę „klasa średnia" uznawałaby korzystanie z takiego budownictwa za coś poniżej jej godności.

Uroki rządu mniejszościowego

Dodatkowo Pełczyńska-Nałęcz posługuje się retoryką – co tu dużo mówić – lewacką. Tak np. wyjaśniała projekt mający wziąć za ryj najem krótkoterminowy: „Czyich praw własności bronimy? 99 proc ludzi, którzy za całe swoje oszczędności (i często kredyt) kupili mieszkanie do mieszkania? Czy 1 proc. tych, którzy na mieszkaniu chcą zarabiać?". Ta antyteza: 1 proc. kontra 99 proc. – jest stałym elementem retoryki choćby Berniego Sandersa.

Tezie o lewicowości Polski 2050 z pozoru przeczy ostatnia inicjatywa partii, która już do spodu wkurwiła Tuska: podniesienie drugiego progu podatkowego ze 120 do 140 tys. zł rocznie, co ma być „kluczem do przywrócenia klasie średniej bezpieczeństwa codziennego życia". Myślę sobie, że w kraju, gdzie 625 tys. ludzi dostaje emeryturę w kwocie 1878,91 zł brutto lub mniej – komfort tych, którzy przytulają dyszkę, jest sprawą nieco mniej pilną. Co więcej – sądzę, że Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz też to wie, a pozwalając swoim klubowym kolegom na zgłoszenie tej inicjatywy bez ustalenia z ministrem finansów, czyni dość pusty gest pod adresem tych, którzy chcą widzieć w Polsce 2050 partię nieszczęsnej „klasy średniej". Dodatkowo – podejrzewam, że okazja do wkurwienia Tuska też nie jest jej niemiła.

Naprawdę prawdziwe pytanie brzmi: jaki jest cel, do którego zmierza? Czy jest gotowa rzeczywiście zaryzykować wyrzucenie z rządu jej i całej jej formacji? Osobiście byłabym za. Poza rządem mogłaby załatwić dużo więcej.

Utrata 15 głosów PL2050 oznaczałaby, że gabinet Tuska staje się rządem mniejszościowym – i wtedy premier musi naprawdę zacząć liczyć się z kimkolwiek poza sobą. Jeśli chce przeprowadzić ważne dla rządu ustawy – jak choćby budżet państwa – musi poważnie negocjować z klubem, którego głosy chce pozyskać, uwzględnić jego uwagi do projektu albo zaproponować rodzaj handlu, w którym w zamian za poparcie ustaw rządowych zaoferuje Pełczyńskiej-Nałęcz głosy koalicji rządowej dla projektów, na których będzie zależało jej partii. To rozwiązane, które od dawna sufluję lewicy – mając wszakże świadomość beznadziejności tego pomysłu. Rządowa ekipa Nowej Lewicy składa się z ludzi, którzy rozpaczliwie przekroczyli swój próg niekompetencji, nigdy więcej nie zbliżą się do tak wysokich stanowisk i nie oddadzą ich za żadne skarby; a już na pewno nie za zasady. Pełczyńska-Nałęcz jest jedyną osobą z Polski 2050 na stanowisku konstytucyjnego ministra, więc przeprowadzenie takiej operacji byłoby dużo łatwiejsze.

Czubienie z Jarosławem

Z kolei Mateusz Morawiecki i jego bunt wewnętrznopartyjny zasługuje na wsparcie z najprostszego z możliwych powodów: czego byśmy nie myśleli o Morawieckim, jest mniejszym złem od Czarnka.

Ja, nawiasem mówiąc, myślę o Morawieckim mniej źle niż większość antypisowskich dziennikarzy, dostrzegam bowiem zalety jego keynesowskiej polityki społeczno-gospodarczej. Jest zresztą jedynym premierem w historii III RP, który wprost się do keynesizmu odwoływał. Niejaki problem widzę wprawdzie w fakcie, że ostatnie lata jego władzy ześlizgnęły się w tzw. keynesizm militarny, czyli stymulowanie gospodarki poprzez inwestycje zbrojeniowe, co jest wyjątkowo agresywną formą wyrzucania pieniędzy budżetowych na zakupy rzeczy całkowicie zbędnych – ale w tej filozofii rządy Morawieckiego i Tuska niczym się zgoła nie różnią.

Zanim jednak Polskę opanował militarny amok – przed 2022 r. – polityka gospodarcza dyktowana przez Morawieckiego, najpierw jako ministra rozwoju i finansów, a później premiera, przyczyniła się do zmniejszenia sfery biedy, do radykalnego wzrostu płac, zwłaszcza najniższych, do ucywilizowania rynku pracy poprzez wyeliminowanie z niego zdesperowanej siły roboczej, gotowej pracować za każde pieniądze i na każdych warunkach, byleby nakarmić dzieci. Zresztą nie sposób nie odnotować, że rząd Tuska nie miał odwagi ani zlikwidować wprowadzonych przez Morawieckiego transferów społecznych, ani np. zmniejszyć płacy minimalnej, czy znieść minimalnej stawki godzinowej. Krótko mówiąc, jest milion powodów, dla których PiS-u nie należy dopuścić do władzy – ale polityka gospodarcza do nich nie należy. Przynajmniej w mojej opinii.

Gdyby jednak PiS miało powrócić do władzy – czego niezależnie od dołujących sondaży wykluczyć się nie da – zdecydowanie wolę na czele rządu Morawieckiego niż Czarnka.

Co więcej – gabinet koalicyjny Czarnka z Mentzenem jako ministrem finansów jest wizją prawdziwie przerażającą: ultrakonserwatywny, nacjonalistyczny, faszyzujący rząd, budujący teokratyczny autorytaryzm oparty na zasadach darwinizmu społecznego. Pomyślmy: Franco, Pinochet, Videla, Stroessner.

W tym kontekście podejmowane przez Morawieckiego próby przepchnięcia PiS nieco bliżej centrum zasługują na wsparcie.

Co więcej: nie ukrywam, że cieszy mnie też fakt, że „harcerze" – jak nazywa się w PiS frakcję Morawieckiego – zdają się odnosić niejakie sukcesy w walce z dyktatem prezesa. W piątek Jarosław Kaczyński stawiał Morawieckiemu i jego ludziom ultimatum, obiecywał, że członków Stowarzyszenia Rozwój Plus nie wpuści na listy, mówił o „pasożytnictwie" i „działaniu na szkodę Polski". W nocy z poniedziałku na wtorek obejrzeliśmy w necie zdjęcie szczerze uśmiechniętego Morawieckiego i Kaczyńskiego z nieco wymuszonym grymasem, przy eklerkach na stole u rozradowanego Bielana – a wszystko opatrzone idiotycznym, a zarazem wiele znaczącym podpisem: „Są pomysły, jest porozumienie i wspólny kierunek. A że czasem iskrzy? Kto się lubi, ten się czubi".

Okazało się, że stowarzyszenie jednak nie szkodzi Polsce i może sobie działać, choć „wewnątrz PiS". We wtorek Kaczyński wystąpił ramię w ramię z Morawieckim i wygłosił niechętne oświadczenie o „radzie eksperckiej" i „dwóch płucach partii", a także o tym, że premier, „który w dziedzinie rozwoju gospodarczego zrobił bardzo wiele", jest ofertą dla tych wyborców, którzy „chcą spokoju" – a których prezes wyraźnie odróżnił od tych, którym dedykowany jest Czarnek.

Jeszcze dekadę temu takie ultimatum Jarosława Kaczyńskiego oznaczałoby absolutny kres działalności stowarzyszenia i ucieczkę szczurów z tonącego okrętu. Teraz – co tu dużo mówić – Morawiecki wygląda na zwycięzcę tej konfrontacji.

Pewnie ma to związek z faktem, iż Czarnkowi udało się ściągnąć notowania PiS poniżej 20 proc., pierwszy raz od dwóch dekad. I oczywiście – z jednego punktu widzenia Czarnkowi warto kibicować, bo wyraźnie PiS-owi szkodzi. Z drugiego wszakże – jak wspomniałam – w przyszłym sejmie Prawo i Sprawiedliwość może znaleźć koalicjantów, przy których będzie wyglądać na siłę umiarkowaną. Wszystko jest kwestią perspektywy.

A dodatkowo moja wredna anarchistyczna duszyczka raduje się każdym przejawem „buntu wobec autorytetów". Naprzód, Katarzyna! Dajesz, Mateusz!

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

uratować partię

Jaśmina miała proste błędy techniczne, niejasności wokół polityki prywatności, w której trudno było nawet jednoznacznie ustalić, kto właściwie przetwarza dane użytkowników i w jakim celu. Kiedy w aplikacji zaczęli pojawiać się politycy jak Krzysztof Bosak czy Maciej Wąsik (lub ktoś, kto bardzo chciał nimi być), zrobiło się zabawnie. A kiedy lider partii zaczął o tym publicznie opowiadać – zrobiło się jeszcze zabawniej, chociaż RODO zapłakało cicho w kącie.

Do tego właścicielem aplikacji była osoba fizyczna, a nie partia. Co w praktyce oznaczało, że Jaśmina mogła w każdej chwili spakować dane członków partii do walizki i wyjechać. I w sumie – tak się stało. Dziś aplikacji po prostu nie ma. Zniknęła jak polityczna popularność Szymona po wyborach.

Ale prawdziwy problem Jaśminy był głębszy. Ona obiecywała sprawczość, której nie mogła dać. Klikanie w ankiety w telefonie nie jest polityką, tylko jej symulacją. Użytkownik mógł mieć poczucie uczestnictwa, ale realna władza pozostawała tam, gdzie zawsze.

Sejmflix – sezon pierwszy i ostatni

Gdy Hołownia został marszałkiem sejmu, pojawił się kolejny genialny pomysł: zrobić z obrad polityczny serial. Wszyscy bowiem kochają i oglądają seriale, dlaczego nie mieliby oglądać nowej produkcji z Hołownią?

Nieformalnie nazwano to „Sejmflix" – i przez chwilę to działało. Były emocje, były bon moty, były starcia z posłami Prawa i Sprawiedliwości, którzy z trudem znosili oddawanie władzy. Ludzie zaczęli oglądać obrady sejmu, a Hołownia stał się bardzo popularny.

Ale logika internetu jest bezlitosna. To nie jest przestrzeń dla instytucji, procedur i prawa, tylko dla emocji. Sejm może być zabawny przez tydzień, może nawet przez miesiąc, ale w końcu przegrywa z algorytmem, który nie lubi długich form, długich wypowiedzi, proceduralnych sporów i debat o poprawkach legislacyjnych. Kocha psy, koty, dramy i ludzi spadających z roweru.

Tak jak Jaśmina okazała się mniej rewolucyjna niż zapowiadano, tak „Sejmflix" okazał się mniej trwały niż liczono. Ludzie przestali oglądać sejm w internecie i przejmować się Hołownią.

Wybory, które się nie wybrały

Szymon źle zniósł spadek popularności i słaby wynik w wyborach prezydenckich w 2025 r. Zrezygnował z funkcji lidera i popchnął partię w przepaść.

Kulminacją serii potyczek Polski 2050 z nowymi technologiami była historia wyborów wewnętrznych, które miały być dowodem na nowoczesność i transparentność, a skończyły się „zhakowaniem systemu", unieważnieniem głosowania i wzajemnymi oskarżeniami. To moment, w którym technologia nie tylko nie pomogła – ale wręcz pogłębiła chaos. Bo kiedy wybory są „zhakowane", to jest problem nie techniczny, tylko polityczny.

Tymczasem chaos tylko się pogłębiał, bo awantura o unieważnione wybory ujawniła podziały w partii. Nawet tam, gdzie technologia działała – zawodził człowiek. Wycieki z komunikatora Signal nie były efektem złamania szyfrów, tylko zwykłego politycznego życia: ktoś zrobił screen, wysłał dalej, ktoś opublikował. Najbezpieczniejszy komunikator świata przegrał z najstarszą technologią w polityce: plotką.

To powtarzający się motyw: Polska 2050 próbowała budować przewagę na narzędziach, które zakładają racjonalność i dobrą wolę użytkowników,

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

podczas gdy polityka działa na emocjach, ambicjach i konfliktach.

W ten sposób dowiedzieliśmy się, że Marta Cienkowska umie i lubi przekląć oraz że ma zdrowe podejście do mediów: „Jebać przychylne media. Jak zmienimy zarząd i się weźmiemy do roboty, to wszyscy zapomną o tej napierdalance i planowanym przez nas przewrocie. Czy jak to ci pseudodziennikarze to zaraz nazwą. Przynajmniej pokażemy jaja" – miała napisać ministra kultury.

Nowa liderka, nowe problemy

Na tym tle zmiana przywództwa i zwycięstwo Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz wygląda jak próba powrotu do rzeczywistości. Mniej wiary w to, że aplikacja zastąpi instytucje, więcej świadomości, że media – także te tradycyjne – nadal mają znaczenie. Paradoks polega na tym, że im mniej naiwnie Polska 2050 podchodzi do technologii, tym bardziej zaczyna przypominać „normalną" partię, a więc taką, która musi grać według zasad ustalonych przez starszych i silniejszych graczy.

Pełczyńska-Nałęcz, w przeciwieństwie do Hołowni, ma mniej naiwne podejście do social mediów, dobrze się w nich odnajduje. Jej konto na X prowadzone przez córkę jest profesjonalne i merytoryczne. Tak samo social media kierowanego przez nią ministerstwa mają przemyślany i spójny przekaz dostosowany do formatów internetowych.

Nowa przewodnicząca mierzy się z teraz z oporem tradycyjnych mediów, bo dużo śmielej niż grzeczny Hołownia punktuje rząd Tuska i Koalicję Obywatelską za błędy i niedotrzymane obietnice.

I może właśnie to jest najciekawsze w tej historii. Polska 2050 nie przegrała dlatego, że była zbyt nowoczesna. Przegrała dlatego, że uwierzyła, iż nowoczesność sama w sobie jest strategią. Ze wystarczy mieć aplikację, kanał na YouTubie i sprawne social media, żeby ominąć strukturę pieniędzy i wpływów.

Okazało się, że polityki nie da się „zhakować". Na razie.

LEON ORŁOWSKI

eprasa.pl 1638912431

Dzwon hipokryzji

Po cholerę nam lewica w rządzie?

W Polsce w 2023 r. zmieniła się władza, ale ton pogrzebowego dzwonu bijącego nad prawami kobiet i osób LGBT nadal brzmi podobnie. Dziś za sznur dzwonnicy nie ciągnie Quasimodo, ale facet w dobrze skrojonym gajerze. Co cztery lata inne twarze pod dzwonnicą, a lina ta sama – śliska od kościelnego potu i politycznego tchórzostwa. Do tego kościoła-parlamentu liberalna lewica weszła tym razem głównym wejściem: z ministrami, z programem, z obietnicą, że w końcu ktoś ten dzwon zdejmie, a nie tylko będzie robił sobie pod nim europejskie selfie.

Na papierze wyglądało to sensownie: skończyć z piekłem aborcyjnym, uznać choćby małżeństwa jednopłciowe zawarte za granicą, uporządkować sprawę świeckości państwa. W praktyce wyszło po staremu – komisje, zespoły, wysłuchania, a gdy trzeba nacisnąć guzik w sejmie, okazuje się, że „kierownik" tego bałaganu przestrzega: „musimy szanować wrażliwość konserwatystów", którzy jakimś cudem wciąż rządzą emocjami koalicji, choć podobno większość z nich siedzi już w opozycji.

Lewica w rządzie: plaster na sumieniu

Tu pojawia się pytanie, którego wielu unika jak dzieci dentysty: czy liberalna lewica powinna w ogóle wchodzić do takiego rządu – i komu to naprawdę służy. Owszem, bez lewicowych głosów ten gabinet mógłby się przewrócić szybciej niż biskup na widok tabletki „dzień po". Utrzymanie koalicji przy władzy jest konieczne, jeśli nie chcemy powrotu brunatnej krucjaty od „stref wolnych od LGBT" i jeszcze brutalniejszego prawa antyaborcyjnego.

Ale obowiązek niedopuszczenia prawicy do steru nie oznacza obowiązku popierania rządu w każdej sprawie, przy każdym tchórzliwym „nie teraz", przy każdej kapitulacji przed homofobiczną mniejszością.

W prawdziwej demokracji powinna decydować większość społeczeństwa. A jak jest u nas? Dziś równość małżeńską dla par jednopłciowych popiera połowa społeczeństwa – najnowsze sondaże pokazują 50–51 proc. za małżeństwami jednopłciowymi. CBOS notuje wzrost poparcia dla takiej równości z 34 do 44 proc. między 2021 a 2024 r. Organizacje LGBT, zestawiając różne badania (CBOS, United Surveys, IPSOS), mówią o rekordowych 50–54 proc. poparcia dla małżeństw lub związków jednopłciowych. To już nie jest margines, tylko społeczna większość albo przynajmniej wyraźna granica, za którą politycy nie mogą już udawać, że temat nie istnieje. Wyborcy KO, Lewicy i Trzeciej Drogi są tu wyjątkowo zgodni: 84 proc. elektoratu KO i 99 proc. wyborców Lewicy popiera choćby uznanie małżeństw jednopłciowych zawartych w innych krajach UE. Przeciw stoi głównie elektorat PiS, gdzie poparcie jest minimalne, ale to właśnie jego lęki są traktowane jak narodowy skarb, którego lepiej nie dotykać żadną ustawą.

Koalicja „nie teraz": hipokryzja w praktyce

Prawo aborcyjne jest tu podręcznikiem hipokryzji. W najnowszym Europejskim Atlasie Polityki Aborcyjnej (2025) Polska znów ląduje na samym dnie Unii – razem z Maltą. Nic się nie zmieniło, dalej rządzą konserwatyści – kobiety nadal dzwonią do aktywistek zamiast do szpitala. OKO.press, opisując ten stan, przytacza głos ruchów aborcyjnych: politycy mimo obietnic wolą mnożyć przeszkody niż ułatwienia, a decyzje podporządkowują partyjnym interesom.

Lewica w rządzie ma sens tylko wtedy, gdy przesuwa środek ciężkości; nie wtedy, gdy maskuje bezruch. Można przecież poprzeć budżet, by nie oddać finansów w ręce „wroga" – to pragmatyzm, który mieści się w lewicowym myśleniu. Ale kiedy nie da się przeforsować liberalizacji aborcji, równości małżeńskiej czy realnego rozdziału Kościoła od państwa, lewica ma obowiązek powiedzieć własnemu rządowi twarde, nieustępliwe „nie". Inaczej zamiast tarczą wobec prawicy staje się pałką, którą bije się jej własny elektorat – i likwiduje sobie szanse na przyszły sukces wyborczy.

Nieprzypadkowo partia Razem wybrała inną drogę: poprze rząd z sejmowych ław, ale do gabinetów nie wejdzie, skoro koalicja nie zgodziła się nawet na kluczowe lewicowe postulaty: wzmocnienie związków zawodowych, rozszerzenie prawa do strajku, ograniczenie śmieciówek. Innymi słowy, będą współodpowiedzialni za odsunięcie PiS od władzy, lecz nie wezmą na siebie odpowiedzialności za rząd, który boi się własnych deklaracji.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Puenta z malowanym Europejczykiem

Modlitwa nam nie pomoże. Liberalna lewica w rządzie także – przynajmniej dopóki za linę dzwonnicy pociąga elegancki, malowany „demokrata", „Europejczyk". Lewica w rządzie nie jest od tego, by pudrować i perfumować jego medialne przekazy.

Nie jest też od tego, by trzymać koalicję przy życiu, nie stawiając jej granic. Gdyby nie ochota na ławy sejmowe i rządowe, może łatwiej byłoby im zauważyć, że większość społeczeństwa domaga się równości. I wtedy może nie trzeba byłoby udawać, że to „trudna sztuka kompromisu", a nie zwykła hipokryzja w garniturze europejskości i demokracji.

ANNA GRODZKA

Resort klimatu doskonale odnajduje się w pisowskich butach

Od lat hydrolodzy udowadniają, że nasz kraj wysycha. W związku z tym państwo polskie lat temu kilka postanowiło zatrzymać wodę. Nie w rzekach i nie w glebie, tylko w komunikacie o tym, że opracowano kolejny rządowy program. Pisowski priorytetowy program Moja Woda na lata 2020–2024. Jego celem było zbudowanie 67,6 tys. przydomowych instalacji retencyjnych i zagospodarowanie w skali roku 3,38 mln m sześc. deszczówki. Dzięki temu opady miały nie ściekać do kanalizacji czy rowów odwadniających.

Udawanie opadowe

Jak łatwo policzyć, jedna instalacja powinna móc zmagazynować 50 m sześc. spadającej z nieba wody. Przez pierwsze edycje programu rozdawano ludziom po 5 tys. zł, które miały stanowić najwyżej 80 proc. kosztów inwestycji. Co oznaczałoby, że do zbudowania sieci rur doprowadzających opadową wodę i zbiornika na 50 tys. litrów wody wystarczyć miało 6 tys. zł. Potem dotacja wzrosła do 6 tys. zł, czyli inwestycja w ratowanie wody winna się zamknąć w kwocie 7,5 tys. zł.

Zbiorniki mogące pomieścić 50 tys. litrów były do kupienia. Taki profesjonalny z blachy kosztował 70 tys. zł. Trzeba jednak do niego jakoś wodę opadową doprowadzić, no i zakopać wielki baniak w ziemi. Cena rur i nade wszystko kopania oraz betonowania to kolejne 6–8 tys. zł. Oczywiście były też tańsze opcje na zbiorniki do zlania w nich 50 tys. litrów wody. Można było nabyć więc zbiorniki betonowe. Taki o wymyślonej przez twórców programu pojemności kosztował 17 tys. zł – dwa razy tyle ile zakłada program. I to też oczywiście bez kopania w ziemi, rur i innych elementów do przechwytywania deszczówki.

Pisowscy twórcy programu Moja Woda wymyślili, że kasę dostaną ci, którym posłu-

Dramat ogólnej niemożności

Transkrypcja aktów małżeństw jednopłciowych to kolejna odsłona rządowej homofobii

Wyrok w sprawie transkrypcji małżeństw jednopłciowych Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej wydał jeszcze w listopadzie 2025 r. Dodatkowo w marcu 2026 r. Naczelny Sąd Administracyjny nakazał uznanie przez polskie władze takiego małżeństwa zawartego za granicą przez parę gejów. Tymczasem Najjaśniejsza Rzeczpospolita od pięciu miesięcy nie może sobie poradzić z prostą czynnością administracyjną. Państwo potomków husarii, licznych moralnie zwycięskich powstań narodowych, państwo prawie 20. gospodarki świata, aspirujące do podboju Kosmosu ma problem z wprowadzeniem prostych zmian w systemie akt stanu cywilnego, które umożliwiałyby wydawanie polskiej transkrypcji aktów małżeństw zawartych za granicą przez osoby tej samej płci.

Powiedzmy sobie szczerze: państwo wcale nie chce tych prostych zmian dokonać. Najchętniej w ogóle by ich nie wprowadzało, a jeżeli już musi, to stara się przynajmniej odłożyć maksymalnie w czasie skutki orzeczeń sądów (tak polskiego, jak i unijnego) i zminimalizować je tak dalece, jak się tylko da.

No bo jeżeli unijny trybunał nakazał Polsce uznawanie zawartych za granicą małżeństw jednopłciowych, nawet jeżeli prawo krajowe nie przewiduje zawierania takich małżeństw, to Polska nie ma innego wyjścia, jak tylko je uznawać. Nie pozostaje więc nic innego, jak wydać w tej sprawie odpowiednie rozporządzenie resortowe, które nakaże taką zmianę elektronicznego systemu akt stanu cywilnego, że wprowadzenie danych dotyczących małżonków tej samej płci stanie się możliwe (dla sprawnego informatyka to pewnie parę godzin roboty).

Tymczasem ta prosta sprawa wydaje się nie do przejścia dla uśmiechniętej koalicji. Wokół tematu skaczą już dwa ministerstwa (Cyfryzacji wicepremiera Krzysztofa Gawkowskiego oraz Spraw Wewnętrznych i Administracji Marcina Kierwińskiego), a także zespół ministra od wdrażania polityki rządu Macieja Berka. A im bardziej skaczą, tym bardziej widać, że ta poprzeczka zawieszona jest dla naszej administracji zbyt wysoko.

Maciej Berek opowiadał z tej okazji 13 kwietnia w radiowej Trójce o łamigłówkach prawnych wynikających z tego, że potrzebne są rozwiązania ustawowe, które – jak wiadomo – są niemożliwe do przeprowadzenia, gdyż podpis pod ustawą musi złożyć pan prezydent. No więc wiadomo: rzecz nie jest prosta, trzeba rozważyć, nie można ignorować, należy się zastanowić... bla bla bla...

Przepytywany na tę okoliczność 16 kwietnia przez Tok FM minister Kierwiński opowiadał z kolei, że trwają prace nad tym, aby do końca kadencji uregulować sprawę transkrypcji małżeństw jednopłciowych. Przy okazji znów postraszył koniecznością zmian ustawowych. Poważnie?

A sam pan premier Donald Tusk, proszony 20 marca w TVN24 o ustosunkowanie się do wyroku NSA, był łaskaw odpowiedzieć apelem o zgodę narodową w sprawie ustawy o statusie osoby najbliższej (która jest ogryzkiem przedwyborczych obietnic równości małżeńskiej w Polsce). Czyli gadał w ogóle nie na temat.

Jeżeli dołożymy do tego słyszane po konserwatywnej stronie koalicji rządzącej opinie, że trzeba się liczyć z wrażliwością konserwatystów oraz że w Polsce prawo nie zezwala na małżeństwa osób tej samej płci, to mamy pełny obraz systemowej homofobii.

Spędziliśmy długie tygodnie na czytaniu polskiego prawa i nie znaleźliśmy ani jednego przepisu zabraniającego takich małżeństw. No i nasunęło nam się także pytanie: dlaczego akurat trzeba się liczyć z wrażliwością konserwatystów w sprawie małżeństw jednopłciowych, jeżeli konserwatyści – wszystko jedno jakich barw politycznych – nie liczą się z niczyją wrażliwością poza nimi samymi w żadnej sprawie? Bo sondaże społeczne są jednoznaczne: większość obywateli jest za związkami osób tej samej płci, a większość tej większości dopuszcza już wręcz równość małżeńską.

W tej całej sprawie niejednoznacznie zachowuje się lewica. Co prawda wicepremier Gawkowski jako jedyny wykazuje zrozumienie dla sprawy i gotowość szybkiego jej rozwiązania, ale już deklaracje Włodzimierza Czarzastego – który zapowiedział, że lewicowi prezydenci miast, burmistrzowie i wójtowie będą działać zgodnie z orzeczeniami TSUE i NSA, nie czekając na instrukcje ze stolicy – budzą wątpliwości. Oznacza to nierówność obywateli wobec prawa. No bo w jednym mieście, gdzie rządzi lewica, transkrypcji zagranicznego aktu dokona się szybko i bez problemów, a w innym, gdzie lewicowego włodarza nie ma – nie.

Gdy czyta się internetowe komentarze z elegiebtowskiej bańki na temat tego, co się dzieje, wrażenie można odnieść tylko jedno:

Tusk jest postrzegany jako zaprzedany homofob, który omamił społeczność LGBT przed wyborami, by m.in. po jej plecach sięgnąć po władzę.

A teraz potrzeby tej społeczności ma w głębokim poważaniu. I nie zanosi się na to, by drugi raz podobny numer mu się udał, czego sygnał dostał już podczas ubiegłorocznych wyborów prezydenckich.

Jeżeli wziąć pod uwagę, że środowiska LGBT rzeczywiście nie będą już skore wierzyć w żadne przedwyborcze obietnice dotyczące ich praw, oraz dorzucić do tego kompletnie przesrane za tej kadencji kwestie mieszkaniowe, zdrowotne i praw pracowniczych, że o drobniejszych zaniedbaniach nie wspomnimy, to coraz bardziej wygląda na to, że Tusk zamierza następne wybory wygrać nie za pomocą większości, lecz stosunkowo nielicznego grona deweloperów, przedsiębiorców oraz ministrów Kierwińskiego i Berka. Życzymy sukcesów.

EDYTA BAKER

Są w Polsce rzeczy absolutnie święte. Jedną z nich jest własność prywatna, drugą – oczywiście wolny rynek, trzecią zaś – przekonanie polityków wszystkich opcji, że obywatel jest osobą rozumną tylko wtedy, gdy robi dokładnie to, na co pozwoli mu państwowy urzędnik. W tej triadzie szczególne miejsce zajmuje ziemia rolna. Bo kiedy mowa o hektarach, morgach i skibach, nagle okazuje się, że nasz rolniczy kapitalizm przypomina raczej system reglamentacji rodem z PRL.

Ziemia urzędnikom!

Jeszcze ćwierć wieku temu sprawa wyglądała normalnie. Ale gdy Polska jęła wchodzić do Unii, zaczęto straszyć rodaków, że zaraz zagranica wykupi polską ziemię. Polacy będą wtedy patrzeć przez płot na swoje dawne pola, a niemiecki rolnik będzie na nich hodował rzepak. Na sprzedawanie więc ziemi zagraniczniakom nałożono takie ograniczenia, że poza spekulantami nikt w nasze hektary nie wchodził. A mimo to w pierwszej dekadzie po wejściu do Unii ziemia rolna zaczęła drożeć w tempie kosmicznym. Według danych Agencji Nieruchomości Rolnych średnia cena hektara wystrzeliła w tym czasie o ponad 500 proc. Głównie dlatego, że wspólna polityka rolna zaczęła pompować w wieś miliardy euro dopłat. Banki odkryły, że pole uprawne jest całkiem przyzwoitym zabezpieczeniem kredytu. A inwestorzy zauważyli, że hektar ma jedną wspaniałą cechę: nie da się go wyprodukować. Politycy uznali, że trzeba coś z tym zrobić.

W roku 2016 uchwalono ustawę, która handel ziemią rolną w zasadzie upaństwowiła. Oficjalnie chodziło o ochronę polskiej ziemi przed spekulacją i wykupem przez cudzoziemców. W praktyce wyszło z tego coś znacznie ciekawszego – system, w którym kupowanie pola stało się czynnością wymagającą większej liczby zgód niż budowa elektrowni. Od tej chwili podstawowa zasada brzmi: ziemię rolną kupuje rolnik. Jeśli ktoś rolnikiem nie jest, musi najpierw przekonać państwo, że nim zostanie.

Oczywiście ustawodawca nie byłby sobą, gdyby nie stworzył przy tej okazji definicji, że rolnik indywidualny to osoba, która mieszka od lat w danej gminie, prowadzi gospodarstwo, posiada kwalifikacje rolnicze i nie zgromadziła więcej niż 300 hektarów ziemi. Jeżeli więc pewnego dnia ktoś pracujący w branży IT uzna, że chciałby kupić 30 hektarów i hodować kozy, państwo uzna to za pomysł nader podejrzany. Bo przecież od hodowania kóz są rolnicy, a nie programiści.

eprasa.pl 1638912431

Łapacze propagandowej wody

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ży ona „do magazynowania wód opadowych w zbiornikach (np. szczelne zbiorniki podziemne i naziemne) o sumarycznej pojemności minimum 2 m sześc”. Najtańsze zbiorniki na 20 tys. litrów można było kupić już za 6 tys. zł. Jeśli jednak do tej ceny dodamy kopanie i orurowanie, to cena nie była niższa niż 10–11 tys. zł. Nie ma się zatem co dziwić, że zamiast zbierać deszczówkę i wykorzystywać ją do podlewania trawników i grządek, znakomita większość dotacji poszła na bezsensowne z ekologicznego i hydrologicznego punktu widzenia oczka wodne.

Skrojone pod oczka

Te same, o których kilka lat temu tak mówił prezydent Andrzej Duda: „Chciałbym, żeby przy każdym domu było oczko wodne. Nie tylko domu jednorodzinnym, ale także domach wielorodzinnych. Żeby jak najwięcej tych małych zbiorników wodnych powstawało”.

Koszt takiego oczka doskonale mieścił się w kwotach dotacji. Oczko wodne to wykopany w ogródku dołek wyłożony folią lub zalany betonem i napełniony wodą. W oczku można hodować rośliny wodne i ryby. Najczęściej spotykane przydomowe oczka mają powierzchnię kilkunastu metrów kwadratowych i ok. 1,3 m głębokości. Łatwo zatem policzyć, że do takiej przydomowej sadzawki trzeba wlać programowe co najmniej 20 tys. litrów wody. Tyle że mądre poradniki zabraniają napełniania oczek deszczówką, bo dzięki niej zamiast oczka będzie się miało wypełnione rzęsą i glonami bagno. Woda powinna być ze studni lub z wodociągu, więc z ratowaniem tego, co spada z nieba, nie powinna mieć nic wspólnego.

Ekologiczność oczka była wątpliwa i z innych powodów. Nie można go wykopać byle gdzie, bo winno być jak najdalej od drzew i krzewów. Żeby opadające liście nie zaśmiecały wody, bo to przecież zagrożenie dla roślin i ryb. Gnijący w wodzie materiał roślinny produkuje niefajne dla atmosfery i żyjątek trujące gazy jak siarkowodór i metan.

Ponieważ dno i boki zbiornika to folia lub beton, woda nie przenika do gruntu. Nie zasila więc miejscowych zasobów hydrologicznych ani nie robi dobrze rosnącej wokół roślinności. Oczko nie zdaje też egzaminu jako zbiornik na deszczówkę, bo musi być wypełnione i jak deszcz nakapie do niego parę litrów, to się one z oczka wyleją. Co i tak w naszym klimacie nie grozi, bo nawałnice zdarzają się nieczęsto. Stąd oczko w bezdeszczowe ciepłe dni musi być podlewane. Zamiast być rezerwuarem wody, jest zatem czymś, co wodę odbiera. Opowieści, że wodą z oczka można podlewać rabatki, jest kitem. Gdy się poziom wody w oczku wskutek pobierania zeń wody obniży, to trafi je szlag. Rośliny zgniją, a ryby się poduszą.

Woda wlewana do zbiornika w upalne dni to niejedyny koszt. Oczko należy przecież napowietrzać, filtrować i napromieniać lampami UV. Stosowne urządzenia kosztują tak jak prąd, którym muszą być zasilane 24 godziny na dobę. Z ekologią i ekonomią wodne oczko nie ma zatem nic wspólnego.

PiS wiecznie żywy

Ogłoszona w 2020 r. pierwsza edycja projektu Moja Woda cieszyła się więc popularnością wśród posiadaczy dużych domów z ogrodami. Podobnie było rok później. Pierwszy budżet programu opiewał na 100 mln zł, a na drugą edycję Ministerstwo Klimatu i Środowiska wygospodarowało już ponad 136 mln zł. Jak pisali urzędnicy, „zrealizowane przy wsparciu tych funduszy inwestycje pozwoliły na zgromadzenie i wykorzystanie na terenie prywatnych nieruchomości około 2,5 mln m sześc. wód opadowych i roztopowych rocznie”.

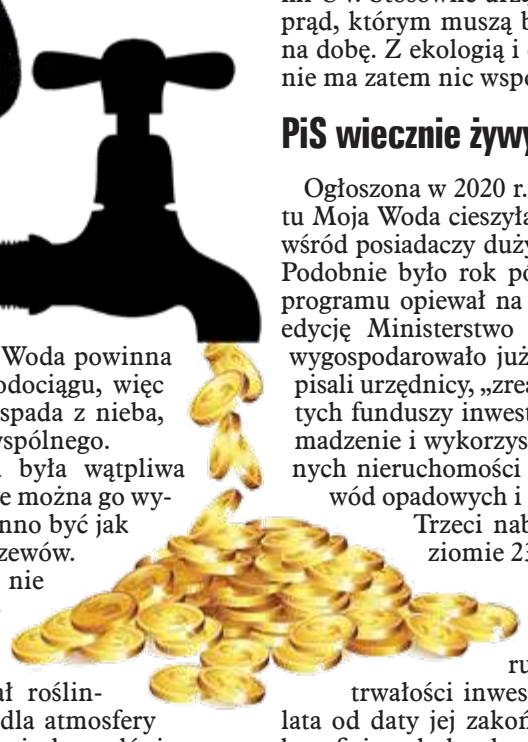

Trzeci nabór, z budżetem na poziomie 230 mln zł, sprawić miał, że wartość ta wzrośnie o kolejne 1,2 mln m sześc. Zgodnie z warunkami programu okres trwałości inwestycji wynosić miał trzy lata od daty jej zakończenia. W tym okresie beneficjent był zobowiązany do zachowania całości dokumentacji związanej z inwestycją. Dlatego wiele oczek można już było zasypać, pozwalając deszczowi na nasączanie tego terenu wodą opadową do woli.

Nowa władza ścigała Sasina za 70 mln zł wywalone na wybory kopertowe, Wosia – za 25 mln zł na Pegasusa, a Romanowskiego za setki milionów złotych z Funduszu Sprawiedliwości. Kwotę porównywalną do tej, jaką wywalono w błoto, by ubogacić bogatych posiadaczy podmiejskich rezydencji dotacjami w ramach Mojej Wody.

Obecna władza miast zająć się półmiliardowym przekrętem, wciąż dzieliła kolejne miliony dla tych, którym zamarzył się za tarasem ogród wodny za państwową kasę.

Zamiast skończyć z ekohipokryzją Mojej Wody w momencie objęcia resortu, nowa władza przyjmowała wnioski i rozdawała kasę.

Ba, ministerstwo Hennig-Kloski chwaliło się, że Moja Woda pozwoliła na realizację ponad 100 tys. instalacji retencyjnych. Żeby tylko! Resort klimatu wymyślił nowy program. Znaczy taki sam, ale o innej nazwie. I teraz budżet programu „Mikroretencja 2026” wynosi 173 mln zł, co przy maksymalnej ośmiotysięcznej dopłacie oznacza, że wsparcie trafi do około 21–22 tys. gospodarstw domowych. A nawet jeśli przyjąć, że część inwestycji będzie tańsza i liczba beneficjentów wzrośnie do 25 tys., to wciąż mówimy o skali, która w kraju liczącym kilka milionów domów jednorodzinnych obejmuje mniej niż 0,4 proc. potencjalnych odbiorców, czyli mniej niż co dwusetnego właściciela domu.

Czy ktoś rozumie, jak 173 mln zł miałyby zmienić fakt, że Polska należy do krajów o jednych z najmniejszych zasobów wody w Europie, wynoszących około 1600 m sześc. na mieszkańca rocznie, podczas gdy średnia europejska to ponad 4500 m sześc.? Przecież nawet pełne wykorzystanie potencjału programu, czyli te kilkadziesiąt tysięcy instalacji, nie ma żadnej szansy wpłynąć na bilans wodny kraju. Ten mógłby być zmieniony tylko wielomiliardowymi inwestycjami publicznymi, ale nikt ich nie zrealizuje, bo wszystkie zostałyby oprotestowane przez aktywistów ekologicznych.

W tym kontekście trudno mówić o czymkolwiek więcej niż o działaniu demonstracyjnym, zwłaszcza że nie widać inwestycji w retencję systemową, czyli zbiorniki, mokradła, przebudowę kanalizacji czy zmianę sposobu zagospodarowania przestrzeni, które to działania decydują o tym, ile wody zostaje w kraju, a ile z niego odpływa.

A deszczówka nadal robi to, co robiła zawsze, czyli spływa. Nieświadoma, że stworzono dla niej specjalny program, który okazał się propagandową wydmuszką pompującą kasę do tych, którzy na jej brak i tak nie narzekali.

TADEUSZ JASIŃSKI

Ziemiańskość z nadania państwa

W imię ochrony rolnika przywracamy obszarników

Nad wszystkim czuwa Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa – instytucja, która ma pilnować, by hektary trafiały w odpowiednie ręce. I nawet gdy sprzedający i kupujący się dogadują, państwo może uznać, że jednak transakcja do skutku nie dojdzie. KOWR ma bowiem prawo pierwokupu i jak uzna, że dany spłachetek ma być państwowy, może go kupić.

Ale to nie koniec atrakcji. Nawet gdy ktoś przejdzie przez wszystkie procedury i kupi pole, państwo nie zamierza pozostawiać go bez opieki. Nowy właściciel musi bowiem prowadzić gospodarstwo przez co najmniej pięć lat. Nie może w tym czasie sprzedać ziemi ani oddać jej w dzierżawę. Innymi słowy, kupujący nie ma prawa zmienić zdania.

Deregulacja hektarów

Gdyby ktoś pomyślał, że państwowa troska o hektary była tylko chwilowym kaprysem PiS-u, to ostatnie miesiące mogły go skutecznie wyprowadzić z błędu. Parlament, który przywraca wszak normalność i dereguluje rzeczywistość, zajął się sprawą ziemi rolnej z niezwykłą determinacją. I po długiej refleksji doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem naprawy rynku jest pozostawienie wszystkiego dokładnie tak, jak to wykoncypowano za PiS-u.

Sejm zdecydował się więc przedłużyć obowiązujący od 2016 r. zakaz sprzedaży państwowych gruntów rolnych. Zakaz, który miał być rozwiązaniem przejściowym, będzie obowiązywał aż do 2036 r. Przez następnych 10 lat państwowa ziemia pozostanie przede wszystkim w dzierżawie. Sprzedaż będzie możliwa jedynie w wyjątkowych sytuacjach, za zgodą ministra rolnictwa lub w drodze specjalnych procedur.

W uzasadnieniu projektu można było przeczytać, że chodzi o „ochronę polskiej ziemi przed spekulacją oraz zapewnienie stabilności gospodarstw rodzinnych”. Problem polega tylko na tym, że przez 10 lat obowiązywania tego zakazu gospodarstwa rodzinne jakoś cudownie się nie rozmnożyły. Za to

państwowy zasób ziemi nadal jest gigantyczny, a największymi beneficjentami dzierżaw pozostają latyfundyści prywatni i zależne od nich spółki rolne.

Debata nad przedłużeniem zakazu była rozbrajająca. Jedni posłowie przekonywali, że polska ziemia jest dobrem narodowym i nie może trafiać w ręce spekulantów. Drudzy – że sprzedaż państwowych gruntów doprowadziłaby do ich koncentracji w rękach wielkich korporacji.

Nikt nie zadał przy tym pytania najprostszego z możliwych: skoro ziemia jest tak doskonałym aktywem, że trzeba ją chronić przed rynkiem, to dlaczego państwo nie chce jej sprzedać obywatelom i zarobić na tym miliardów większych niż te obiecywane przez Glapińskiego? Odpowiedź jest oczywiście banalna: bo gdyby państwo sprzedało ziemię, przestałoby mieć nad nią kontrolę. A kontrola nad hektarem jest dla polityków czymś znacznie cenniejszym niż jednorazowy dochód przeznaczony na najbardziej zbożny cel.

Wszystkie te ograniczenia nie zatrzymały wzrostu cen ziemi. Na Podkarpaciu średnia cena hektara wynosiła w 2016 r. nieco ponad 24 tys. zł. Dziś zbliża się do 40 tys. W Wielkopolsce – najdroższym regionie kraju – hektar kosztował wtedy nieco ponad 54 tys. zł, a dziś dobija do 90 tys. Oznacza to, że nawet przy sztucznie ograniczonym popycie ziemia

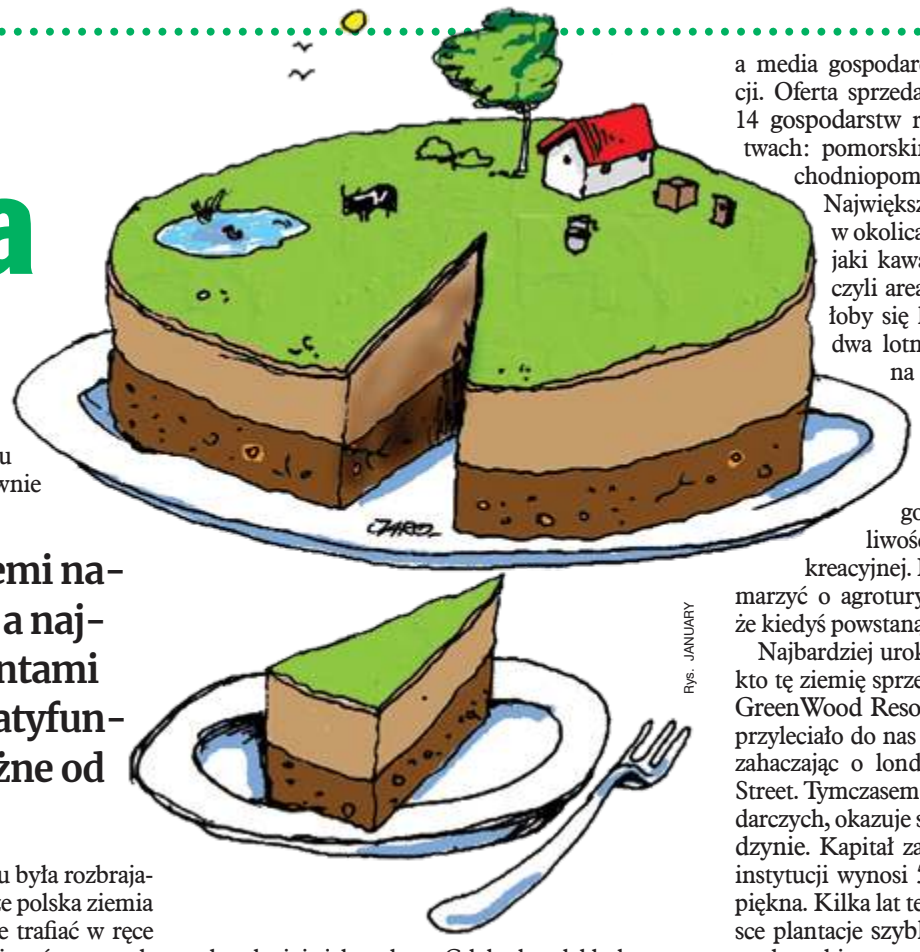

Rys. JANUARY

rolna drożeje jak szalona. Gdyby handel był rzeczywiście wolny i do gry weszli wszyscy chętni inwestorzy, ceny prawdopodobnie rosłyby jeszcze szybciej.

Topola za 300 mln

Statystyki są zresztą ciekawe. Według danych GUS istnieje ponad 1,3 tys. gospodarstw rolnych. Ale zdecydowana większość z nich ma mniej niż 10 hektarów. Oznacza to, że ogromna część tych gospodarstw nie jest w stanie utrzymać właścicieli. Wielu z nich pracuje gdzie indziej, a ziemię dzierżawi większym gospodarstwom. Wielu właścicieli nie bardzo wie, gdzie dokładnie leży ich pole. Polska wieś jest więc pełna gospodarstw, które istnieją głównie w statystykach, ale jednocześnie państwo uparcie pilnuje, aby ziemia trafiała tylko w ręce rolników.

I nagle w kraju, w którym obywatelowi kupić hektar pola wolno mniej więcej tak łatwo, jak wielbłądowi przejść przez ucho igielne, w internecie pojawia się ogłoszenie o sprzedaży 6150 hektarów ziemi, a media gospodarcze mówią o prawdziwej sensacji. Oferta sprzedaży gruntów rolnych na terenie 14 gospodarstw rozsianych po trzech województwach: pomorskim, warmińsko-mazurskim i zachodniopomorskim codziennie się nie trafia.

Największy kawałek tej ziemi znajduje się w okolicach Połczyna Zdroju. I to nie byle jaki kawałek, bo liczący 3160 hektarów, czyli areał, na którym spokojnie zmieściłoby się kilka przeciętnych polskich wsi, dwa lotniska i jeszcze zostałoby miejsce na tor wyścigowy dla traktorów. Cena? Ok. 45 tys. zł za hektar – całkiem przyzwoita. Zwłaszcza że część gruntów leży niedaleko Bałtyku, a miejscowe plany zagospodarowania przewidują możliwość rozwijania tam działalności rekreacyjnej. Rolnik może orać, inwestor może marzyć o agroturystyce, a spekulant może liczyć, że kiedyś powstaną tam hotele.

Najbardziej urokliwe w tej historii jest jednak to, kto tę ziemię sprzedaje. Spółka nazywa się bowiem GreenWood Resources Poland. Brzmi jak coś, co przyleciało do nas z Doliny Krzemowej, po drodze zahaczając o londyńskie City i nowojorską Wall Street. Tymczasem kiedy zajrzeć do rejestrów gospodarczych, okazuje się, że spółka ma siedzibę w Kwidzynie. Kapitał zakładowy tej globalnie brzmiącej instytucji wynosi 5 tys. zł. Historia spółki też jest piękna. Kilka lat temu firma zaczęła rozwijać w Polsce plantacje szybkorosnących topoli przeznaczonych na biomasę. Chyba jednak coś nie poszło, bo mimo iż na 4 tys. hektarów spółka hoduje topole o krótkiej rotacji i pobiera dopłaty bezpośrednie jak każdy normalny użytkownik gruntów rolnych, to okazało się, że największy kapitał tkwi w wartości gruntu, którego ponoć sprzedać się nie da.

Mamy bowiem system pomiędzy kołchozem a latyfundiami. Państwo twierdzi, że chroni rodzinne gospodarstwa. Jednocześnie utrzymuje mechanizmy, które sprzyjają największym przedsiębiorcom rolnym. Mali rolnicy często dzierżawią ziemię, a giganci ją skupują.

A nad wszystkim czuwa urzędnik, który w razie potrzeby może stwierdzić, że prywatna transakcja jest nie w smak interesowi publicznemu. Bo ziemia nie jest zwykłym towarem, lecz dobrem narodowym. A jak coś staje się dobrem narodowym, to de facto musi być państwowe. Choć jak widać po hodowcach topoli, też nie do końca.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl 1638912431

Czasem da się pochwalić ten rząd

Koniec brania po pysku

Po ponad 20 latach obowiązywania obecnych przepisów ktoś wreszcie uznał, że z mobbingiem nie da się dalej walczyć ustawą napisaną tak, jakby miała odstraszać ofiary od dochodzenia swoich praw. Projekt zmian w Kodeksie pracy firmowany przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej Agnieszki Dziemianowicz-Bąk został przyjęty przez rząd 17 lutego 2026 r., trafił do sejmu 24 lutego, a pod koniec marca przeszedł pierwsze czytanie i został skierowany do dalszych prac. Za procedowaniem były wszystkie kluby poza – niespodzianka – Konfederacją.

To istotne, bo chodzi tu nie o kosmetykę, lecz o próbę przepisania całej logiki prawa antymobbingowego. Dziemianowicz-Bąk mówi wprost, że obecna definicja mobbingu jest „chaotyczna i niezrozumiała". Nowy projekt opiera się na orzecznictwie sądów oraz wiedzy z psychologii, socjologii pracy i nauk o zarządzaniu. W sejmowej debacie podkreślała też, że „mobbing to przemoc", a regularne ośmieszanie, izolowanie czy groźby w pracy nie mogą uchodzić za normę.

Ważna jest też geneza tego projektu: w jego tworzeniu brał udział uznany ekspert prawa pracy dr Grzegorz Ilnicki, do konsultowania nowych przepisów ministerstwo zaprosiło osoby zajmujące się problemem przemocy psychicznej w pracy, a na przełomie listopada i grudnia 2024 r. odbył się też sejmowy okrągły stół antymobbingowy z udziałem przedstawicieli administracji, PIP, prawników, psychologów i organizacji społecznych. To ważne, bo projekt nie spadł z sufitu, tylko wyrósł z realnego ciśnienia społecznego i wiedzy eksperckiej.

Najważniejsza zmiana dotyczy samej definicji. Sednem mobbingu ma być „uporczywe nękanie pracownika". Projekt wyraźnie zaznacza, że chodzi o zachowania powtarzające się, nawracające albo stałe, które mogą mieć charakter fizyczny, werbalny lub pozawerbalny i mogą pochodzić nie tylko od przełożonego, ale też od współpracownika, podwładnego, pojedynczej osoby albo grupy. Co istotne, uznanie danego zachowania za mobbing ma nie zależeć od intencji sprawcy ani od wystąpienia określonego skutku. Mobbingiem ma być także nakazywanie albo zachęcanie do takich działań.

To jest ruch w dobrą stronę z co najmniej trzech powodów. Po pierwsze, projekt próbuje dogonić rzeczywistość pracy zdalnej, maili, komunikatorów i rozproszonych zespołów, a nie tylko model „szef krzyczy w pokoju". Po drugie, porządkuje to, co przez lata trzeba było wydłubywać z orzecznictwa. Po trzecie, rozszerza rozumienie sprawcy: wreszcie ustawodawca dostrzega, że przemoc w pracy nie zawsze spada z góry, tylko bywa także pozioma albo grupowa. Ilnicki właśnie to podkreślał jako jedną z osi projektu.

Drugi filar zmian to obowiązki pracodawcy. Dziś często wygląda to tak: regulamin jest, szkolenie było, a gdy dzieje się krzywda, firma nagle traci słuch. Tymczasem projekt wymaga aktywnego i stałego przeciwdziałania mobbingowi oraz innym naruszeniom zasady równego traktowania: nie tylko reakcji po zgłoszeniu, ale także działań prewencyjnych, wykrywania naruszeń, działań naprawczych i wsparcia dla osób dotkniętych przemocą. Dodatkowo pracodawcy zatrudniający co najmniej dziewięć osób mają określić te zasady w dokumencie wewnątrzzakładowym; mniejsi również mają obowiązek przeciwdziałać zjawisku i jasno zakomunikować procedury pracownikom.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

To nie jest, niestety, detal. Z danych przywoływanych przez PIP wynika, że aż 40 proc. pracowników miało w ciągu ostatnich pięciu lat doświadczać niewłaściwego traktowania, a 70 proc. zatrudnionych w firmach chwalących się polityką antymobbingową deklarowało brak wsparcia ze strony pracodawcy. Innymi słowy: papierowe procedury już dziś istnieją, tylko często są tyle warte, co kodeks etyki wiszący obok ekspresu do kawy. Projekt próbuje więc przesunąć akcent z pozoru działania na realny obowiązek działania.

Trzecia ważna rzecz to roszczenia i proces. Projekt przewiduje, że zadośćuczynienie za mobbing wyniesie minimum sześciokrotność płacy minimalnej. Zmienia też zasady dowodowe: pracownik ma uprawdopodobnić naruszenie, a po spełnieniu tego progu pracodawca ma wykazać, że do naruszenia nie doszło. To może okazać się jedną z najbardziej praktycznych zmian, bo dziś problemem jest nie tylko sama definicja, ale też ściana dowodowa, o którą ofiary się rozbijają. Ministerstwo i komentatorzy wskazują, że skuteczność takich spraw była bardzo niska; według danych cytowanych przez media spośród 192 zakończonych spraw o mobbing sądy uwzględniły powództwo w całości lub części jedynie w 17.

Projekt ma jednak również bezpieczniki. Wprost zapisano, że mobbingiem nie będą uzasadnione i właściwie wyrażone zachowania wobec pracownika: rozliczanie z pracy, egzekwowanie obowiązków, uzasadniona krytyka. Dochodzi do tego tzw. model racjonalnej ofiary – czyli ocena nie tylko przez pryzmat subiektywnych odczuć pracownika, ale też obiektywnych okoliczności. Z jednej strony to odpowiedź na prawicowe straszenie, że „teraz wszystko będzie mobbingiem". Z drugiej – właśnie tu czai się ryzyko: część sporów może się przenieść na pole interpretacji, co jest jeszcze „uzasadnioną krytyką", a co już przemocą opakowaną w język zarządzania.

I tu dochodzimy do słabości projektu. Po pierwsze, część ekspertów uważa, że sześciokrotność minimalnego wynagrodzenia to krok naprzód, ale nadal zbyt mały. W pierwszych wersjach projektu pojawiała się 12-krotność i niektórzy prawnicy twierdzą, że właśnie taka kwota lepiej odpowiada skali szkody, jaką mobbing wyrządza zdrowiu psychicznemu i życiu zawodowemu. Po drugie, Krajowa Izba Radców Prawnych krytykuje projekt za to, że mimo deklaracji uproszczenia miejscami znów komplikuje język prawa i może nie rozwiązać problemu niezrozumiałości przepisów dla zwykłych pracowników.

Mimo tych zastrzeżeń nie sposób nie zauważyć, że jest to jedna z bardziej sensownych inicjatyw, jakie wyszły ostatnio z obozu rządzącego w obszarze prawa pracy.

Po latach opowiadania pracownikom, że może są przewrażliwieni, może źle zrozumieli sytuację, może trzeba „wyjaśnić to sobie w zespole", państwo zaczyna wreszcie mówić językiem mniej korporacyjnym, a bardziej ludzkim.

Nie dlatego, że nagle odkryto empatię, lecz dlatego, że stary model zwyczajnie się skompromitował.

Ten projekt nie załatwi wszystkiego. Żadna ustawa nie zlikwiduje polskiej kultury pracy opartej na strachu, folwarcznym zarządzaniu i przekonaniu, że poniżanie ludzi to po prostu „twarde kierowanie zespołem". Ale może zrobić rzecz podstawową: przestać udawać, że problemu nie ma, i dać ofiarom trochę lepsze narzędzia niż dotąd. A to już w Polsce bywa małą rewolucją.

DAMIAN DUSZCZENKO

Zupa wciąż za słona

A rząd ma to w dupie

W Anglii i Walii od 1 kwietnia 2026 r. uliczne molestowanie jest oficjalnie przestępstwem zagrożonym karą do dwóch lat więzienia. W Szkocji sąd skazał na osiem lat pierdla faceta, którego maltretowana przez półtora roku żona popełniła samobójstwo, skacząc z wiaduktu; zarzut mówił o umyślnym spowodowaniu śmierci. To pierwszy taki wyrok w Szkocji.

W Polsce aż 10 proc. spraw o przemoc w rodzinie i wobec kobiet zostaje umorzonych. Lista rządowych grzechów na odcinku prawnego zaniedbania kobiet jest znacznie obszerniejsza.

Miau miau

Niech pierwsza rzuci kamieniem kobieta, która nie słyszała obietnic, jakby to była wyobracana we wszystkie dziury, gdyby tylko autor oferty mógł ją wziąć w obroty. Mowa nie o kochanku bez polotu, a gentlemanach spotykanych w autobusach, pociągach, na uczelnich i tak dalej.

Wywołujące odruch wymiotny i dreszcz obrzydzenia zaczepki o podtekście seksualnym, kierowane wobec nieznanych przypadkowych osób w przestrzeni publicznej mają swoją nazwę – to *catcalling* – „wołanie kota". Określenie pochodzi z XVII w. i pierwotnie odnosiło się do specyficznego dźwięku dezaprobaty, który zwykła wydawać publiczność w teatrze. Dźwięk ten przypominał wokalizę wkurwionego futrzaka. Z czasem określenie ewoluowało. W Anglii i Walii w końcu uznano, że *catcalling* to przemoc, i postanowiono ze zjawiskiem walczyć. Obsceniczne teksty, „przypadkowe" macanki, agresywne komentarze i resztę – jak to się kiedyś mówiło – końskich zalotów będzie można zgłosić na pały.

Z badań IPSOS wynika, że aż 84 proc. kobiet w Polsce doświadczyło podobnych atrakcji. Teraz wyobraźmy sobie, że idą na komisariat poskarżyć się, że np. chłop w tramwaju poślinił palec i przejechał nim po ich udzie. Nie do wiary, co? Nic dziwnego.

Wymiar sprawiedliwości w kraju nad Wisłą spuszcza po brzytwie znacznie grubsze tematy. Na przykład w 2024 r. krajowe

sądy warunkowo umorzyły postępowanie w 1172 sprawach o znęcanie się fizyczne lub psychiczne nad osobą najbliższą. W 141 wydano wyroki umarzające postępowanie z powodu znikomej społecznej szkodliwości tego czynu.

Kobiety stanowią 86 proc. wszystkich ofiar przemocy domowej. Jeśli gnojenie ich w domowych pieleszach nie jest szkodliwe społecznie, to co dopiero macanki i reszta lepko-agresywnego repertuaru. Niby ta sama Europa, a dwa światy. Przypominam, że niedługo miną trzy lata, od kiedy w kraju nad patriarchalnym katolibanem zwyciężyła demokracja.

Skutecznie, proporcjonalnie, odstraszająco

Nie bez powodu przytoczyłam wyrok szkockiego sądu. Laura Buchan z tamtejszej prokuratury generalnej oceniła sprawę jako przełomową. Postępowanie sądowe miało udzielić odpowiedzi na pytanie, czy partner może zostać pociągnięty do odpowiedzialności karnej za śmierć ofiary, która odebrała sobie życie w wyniku przemocy domowej. Wydając wyrok skazujący, sędzia oświadczyła, że w wyniku działań sprawcy – m.in. duszenia, szarpania za włosy i bicia – kobieta osiągnęła taki punkt rozpaczy, że skoczyła z wiaduktu. Trudno sobie wyobrazić, żeby podobny wyrok zapadł w Polsce.

Zgodnie z szeroko rozumianym prawem europejskim w sprawach o znęcanie się nad osobą najbliższą (czyli najczęściej o przemoc domową – art. 207 par. 1 Kodeksu karnego) powinno być znacznie trudniej stosować wspomniane warunkowe umorzenie postępowania. Konwencja stambulska, której Polska jest stroną, w art. 45 jasno mówi, że wszystkie przestępstwa przemocy wobec kobiet i przemocy domowej muszą być karane „skutecznie, proporcjonalnie i odstraszająco z uwzględnieniem ich powagi". To samo powtarza dyrektywa unijna z 2024 r.

Reakcja krajowych organów sprawiedliwości nie jest adekwatna. Na problem zwrócił uwagę RPO Marcin Więcek i uderzył do Ministerstwa Sprawiedliwości po szczegółowe dane, żeby zbadać sprawę. Rzecznik uważa, że warto poważnie przeanalizować, czy Polska nie powinna wprowadzić dodatkowych zmian – zarówno w prawie, jak i w praktyce organów ścigania oraz sądów, żeby ten burdel ogarnąć.

A miało być tak pięknie.

Podczas kampanii wyborczej w 2023 r. i tuż przed nią Donald Tusk oraz Koalicja Obywatelska ostro pompowali temat przerabiania obywatelek na worki treningowe przez partnerów. Rząd PiS z kolei stawał na dzyndzlu, żeby udowodnić, że Konwencja stambulska ma „ideologiczne podłoże" i może niewłaściwie definiować źródła przemocy. W 2020 r. Morawiecki złożył do Trybunału Konstytucyjnego wniosek o zbadanie zgodności dokumentu z konstytucją.

– Ochrona kobiet i dzieci przed przemocą to jest coś, co nigdy nie powinno być przedmiotem kłótni politycznej, tylko wspólnej troski, aby to jak najskuteczniej implementować – zaznaczył po wyborach nowy premier i wniosek Morawieckiego wycofał. Przepisy konwencji przedstawiał jako oczywisty standard cywilizacyjny.

Stambuł srambuł

Na początku kwietnia Stowarzyszenie Kongresu Kobiet wystosowało do premiera, marszałkini senatu i marszałka sejmu list z zasłużonymi jobami na zaniedbania rządu w sprawie równouprawnienia. Lista jest w długa. „Polska jako jedyna wśród 159 państw nie wykazała żadnych postępów we wdrażaniu praw kobiet w ramach Platformy ONZ i nie wysłała nawet raportu. Podobnie nie dostarczyła żadnych danych do Światowej Organizacji Zdrowia dotyczących przemocy wobec kobiet w Polsce. Nie przekazała również danych na temat równości Radzie Europy, mimo kilkukrotnie przekładanego (dla Polski) terminu. Wygląda to na świadome blokowanie dostępu opinii międzynarodowej do danych zarówno o statusie kobiet w Polsce, jak i o przemocy wobec nich" – można m.in. przeczytać w dokumencie. Autorki podkreślają, że blisko 400 Polek rocznie ginie w wyniku przemocy partnerskiej, a według organizacji pozarządowych co 40 sekund kobiety doświadczają różnych jej form. Stowarzyszenie mówi wprost, że konwencja jest martwym dokumentem, bo obecny rząd nie robi nic, by wdrożyć ją w życie. Trudno się z tą opinią nie zgodzić.

Konwencja stambulska wymaga rozpoznawania strukturalnych nierówności płci jako źródła przemocy. Tego w krajowym prawie i polityce brak. Polska traktuje problem głównie jako zjawisko zachodzące w ramach rodziny, a nie jako agresję ze względu na płeć. Brakuje stabilnego i przejrzystego systemu finansowania dla niezależnych organizacji kobiecych świadczących pomoc ofiarom. Polska nie spełnia standardu jednego miejsca w schronisku na 10 tys. mieszkańców (chodzi o miejsca dla kobiet i dzieci). Usługi specjalistyczne (np. prawne czy terapeutyczne) są niewystarczające. Brakuje ujednoliconego systemu gromadzenia danych o wszystkich formach przemocy wobec kobiet. Grupy szczególnie narażone – migrantki, kobiety z niepełnosprawnościami, seniorki, sexworkerki, osoby LGBT – wciąż napotykają bariery w dostępie do ochrony i pomocy.

Zaniedbań jest w pizdę, a to tylko część z nich. Na tej podstawie trudno właściwie wskazać choćby jedno skuteczne działanie obecnego rządu, które można uznać za realizację polityki antyprzemocowej. Liderki Kongresu Kobiet apelują o pilną zmianę tego stanu rzeczy. Mam przekonanie graniczące z pewnością, że rząd pochyli się nad tymi i Wiącka postulatami w szczycie przyszłorocznej kampanii wyborczej.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 1638912431

Zdanowska na miotle

W Łodzi nawet sprzątanie jest osiągnięciem

Nie wystarczy już, że z ulic znikną piach, błoto i ten miejski nalot, który po zimie osiada na butach, samochodach i nerwach. Trzeba jeszcze ogłosić sukces. Muszą być raport, zdjęcia i komunikat, że ekipy nie zwalniają tempa i już prawie tysiąc kilometrów dróg lśni czystością.

To nie jest drobiazg ani przypadek. To jest model rządzenia prezydent Zdanowskiej doprowadzony do groteski. Tu od dawna ważniejsze od samego działania jest opowiadanie, że działanie nastąpiło. Najpierw idzie przekaz, a potem rzeczywistość ma się jakoś dostosować.

Urząd nie chce po prostu wykonywać nudnych obowiązków komunalnych. Urząd chce, żeby mieszkaniec wzruszył się, że władza łaskawie zrobiła coś, za co od lat bierze pieniądze i zbiera pochwały od własnych mediów.

Sprzątanie ulic to nie jest żaden cud ani osiągnięcie cywilizacyjne. To jest elementarz miejskiej roboty, równie ekscytujący jak drożna kanalizacja i świecąca latarnia. Człowiek ma prawo zauważyć ich brak. Nie ma obowiązku wpadać w zachwyt, kiedy akurat działają. Tymczasem łódzki magistrat zachowuje się tak, jakby przejazd szczotki mechanicznej był wydarzeniem na miarę lądowania na Księżycu. Jeszcze trochę, a dowiemy się, że miasto bohatersko opróżniło kosz na śmieci i oczekuje za to wdzięczności społecznej.

Kabaret zaczyna się robić naprawdę czarny dopiero wtedy, gdy zestawi się te raporty z rzeczywistością. Bo

to wszystko dzieje się w mieście, w którym lokatorzy potrafią zamarzać w mieszkaniach komunalnych. Nie w jakimś zapomnianym przez Boga i mapy skansenie nędzy, tylko w Łodzi zarządzanej przez tę samą ekipę, która codziennie produkuje komunikaty o czystości, trosce i nowoczesności.

Na początku lutego przy Malinowej i Kaliskiej znaleziono ciała lokatorów, którzy zmarli z wychłodzenia. Media opisywały mieszkania, gdzie zamarzała woda, a podłogi były skute lodem. W takim właśnie mieście władza uznała, że trzeba pompować narrację o dzielnej walce z brudem.

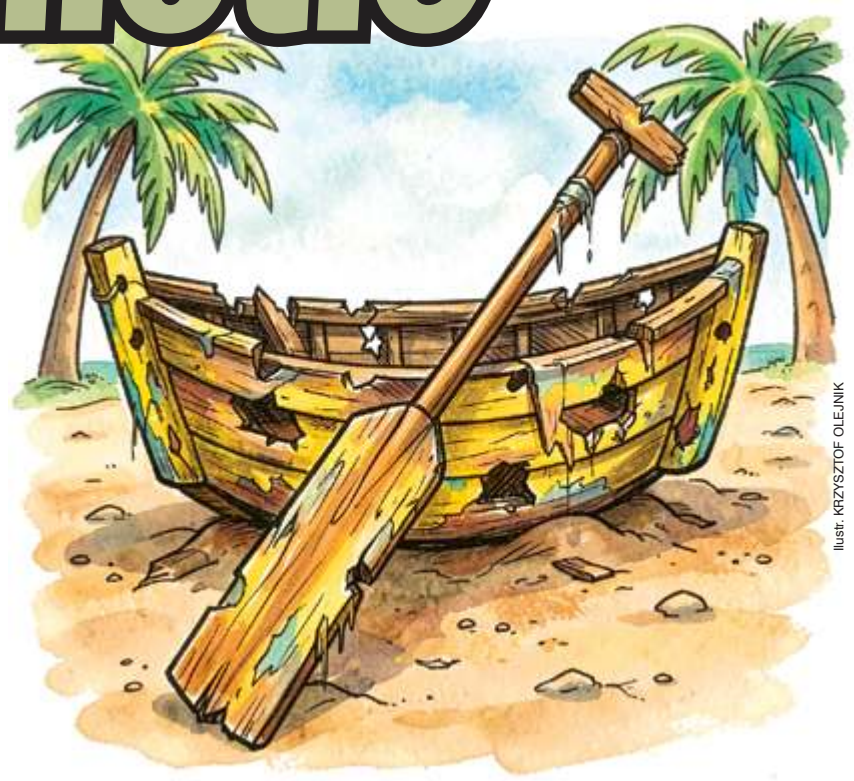

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

I tu dochodzimy do istoty łódzkiego systemu. Kiedy wali się substancja mieszkaniowa, pokazuje się przyszłościowe wizualizacje. Kiedy lokatorzy żyją w zimnie, puszcza się komunikaty o sprawczości. Kiedy więc rzeczywistość jest odpychająca, tym bardziej trzeba ją przykryć językiem sukcesu. Sprzątanie nie służy już wtedy sprzątaniu. Ono zaczyna służyć zamiataniu pod dywan politycznej odpowiedzialności.

Najlepiej widać to na tle innych łódzkich marzeń. Miasto, które nie umie doprowadzić części własnego zasobu do poziomu cywilizacyjnego minimum, z rozmarzeniem opowiada o „Dżungli 360": tropikalnym lesie pod szkłem, egzotycznych roślinach, moście do Orientarium, inspiracjach Singapurem i inwestycji za około 380 mln zł. Z jednej strony ziąb, grzyb, odpadający tynk i lokatorzy pozostawieni samym sobie. Z drugiej tropiki pod kopułą i folder aspiracyjny dla klasy średniej.

Zdanowska od lat próbuje sprzedać Łódź jako miasto wielkiej przemiany, ale coraz częściej wychodzi z tego jedynie dobrze opakowana bylejakość. Gdyby naprawdę było się czym chwalić, nie trzeba byłoby codziennie produkować laurek z zamiatarką. Im więcej propagandy wokół podstawowych obowiązków, tym większe podejrzenie, że władza sama wie, jak niewiele ma dziś do pokazania poza własnym przekazem.

Nie mam nic przeciw sprzątaniu. Niech sprzątają codziennie. Niech myją, zamiatają, zbierają, wywożą. Od tego une są. Problem w tym, że w Łodzi nawet najzwyklejsza czynność komunalna musi robić za spektakl, bo prawdziwych sukcesów jest za mało, a prawdziwych powodów do wstydu – stanowczo za dużo. Miasto, w którym ludzie marzną w ruinach, a władza śni o tropikalnej dżungli, nie potrzebuje już PR-u. Ono potrzebuje wreszcie odrobiny wstydu.

Bo brud z ulic da się usunąć. Gorzej z tym drugim syfem. Ten od lat siedzi w ratuszu i nazywa się polityką wizerunkową, a kiedyś po prostu propagandą sukcesu.

DAMIAN DUSZCZENKO

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ W Żelistrzewie na ul. Kasztanowej doszło do kolejnego aktu agresji ze strony flory. 40-letni kierowca Audi, ufny w niemiecką technologię, napęd na cztery koła i systemy, które myślą za niego, przegrał starcie z przydrożnym drzewem. Mężczyzna przeniósł się na tamten świat, zanim zdążył przekląć konstruktorów z Ingolstadt. To kolejna z tych seryjnych wiadomości, które czytamy między wynikami meczów a prognozą pogody, ale warto się nad nią pochylić. Przez setki tysięcy lat nasi przodkowie – od małp człekokształtnych po chłopów pańszczyźnianych – poruszali się wśród lasów i zagajników. I co? I nic. Żaden neandertalczyk nie rozbił się na śmierć o dąb, biegnąc za mamutem. Żaden koń nie wjechał z impetem w brzozę, mimo że nie miał ABS-u, hamulców tarczowych ani opon zimowych. Można by oczywiście przypuszczać, że to kwestia prędkości, której nasze mózgi, ewolucyjnie przystosowane do tempa spacerującego osła, po prostu nie ogarniają. Ale to zbyt uwłaczające. Uznajmy lepiej, że drzewa w powiecie puckim przeszły jakąś mroczną mutację i polują na kierowców.

▮ Fasola zwykła, w tym nasza ulubiona szparagowa, została okrzyknięta najbardziej trującą rośliną 2026 r. przez hamburski Botanischer Sondergarten. Na surowo ma fazynę – klej do czerwonych krwinek i bilet w jedną stronę do toalety: wywołuje nudności, wymioty, bóle brzucha, biegunkę. Psy i koty też tego nie trawią. Musimy zwrócić uwagę jednak, że jest to niemiecka opinia, a jak wiadomo, naród ten miewa dość osobliwe odczucia w kwestii tego, co jest dobre, a co szkodliwe.

▮ We Wrocławiu na skrzyżowaniu ulic Pereca i Lwowskiej odbył się pokazowy skok na kasę z kantoru. Metoda klasyczna. Stłuczka, blokada i szybki demontaż zawartości auta. W akcji brało udział czterech dżentelmenów. Dwóch sprawców i dwóch konwojentów, których policja teraz szuka z jednakowym zapałem. Widać we Wrocławiu współpraca między sektorem ochrony a branżą rozbójniczą układa się wzorowo, tworząc jeden zgodny kolektyw pracowniczy według podręcznikowych zasad ergonomii.

▮ Grójecka komenda gotuje się jak radiowóz na czerwonym. Naczelnik drogówki ma na karku lawinę zarzutów: mobbing, poniżanie i SMS-y z kabaretem w majtkach. Jednej policjantce miał wyznać bezsenność, bo „łodyga mu dyga". Inne składają skargi na niestosowne zaczepki i macanki słowne. Prokuratura grzebie w sprawie. Naczelnik wszystkiemu zaprzecza i nadal naczelnikuje. Na razie obowiązuje zasada domniemania niewinności.

▮ Niestety, Donald Tusk nie miał racji, zapowiadając, że w 2025, a najdalej w 2026 r. Polska stanie się 20. gospodarką świata. Według najnowszego raportu Międzynarodowego Funduszu Walutowego nasz kraj nadal zajmuje 21. miejsce. Nie udało się wyprzedzić Szwajcarii, która po korekcie danych PKB utrzymała niewielką przewagę nad Polską. W praktyce oznacza to, że obie gospodarki są dziś niemal tej samej wielkości. Ten obraz zmienia się jednak całkowicie, gdy spojrzeć na liczbę ludności: Polska liczy około 38 mln, a Szwajcaria 9. Przy podobnej wielkości nominalnej PKB mamy do Szwajcarów mniej więcej taki stosunek jak państwo na dorobku do globalnego hegemona.

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

▮ W Gierlachowie pod Sandomierzem wykopano gliniany garnek sprzed tysiąca lat. Zabytek przetrwał w stanie niemal nienaruszonym, co w kraju regularnie rozjeżdżanym przez obce i własne walce jest sukcesem godnym odnotowania. Jednakowoż na dnie garnka znalazła się swastyka. Uczeni z Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków wpadli w panikę poznawczą. Zapewniają, że to nie jest ta swastyka, która Polakom kojarzy się z darmowymi wycieczkami do Treblinki, tylko swastyka nasza, swojska, słowiańska i solarna. Taki wczesnośredniowieczny talizman na szczęście, który miał sprawiać, że kasza w garnku się nie przypalała.

▮ Państwowa Inspekcja Pracy przeprowadziła od początku 2025 r. 1364 kontrole w sieciach handlowych. Inspektorzy ujawnili 182 wykroczenia przeciwko prawom pracowników. W tym samym czasie wpłynęło 705 skarg ze świata pracy, z czego ok. jedna czwarta została uznana za zasadną. Kwota nałożonych mandatów wyniosła 31 tys. zł. Zdaniem związków zawodowych to zdecydowanie za mało, by wymusić przestrzeganie przepisów. Z drugiej strony, gdyby kary były wyższe, ktoś musiałby za to zapłacić – a w handlu zwykle kończy się to tam, gdzie zaczyna, czyli przy kasie.

▮ Polska zaczyna przypominać poczekalnię na międzynarodowym lotnisku. ZUS ogłosił, że w 2025 r. legalnie tyrało u nas 1,3 mln cudzoziemców. To wzrost o 8 proc. w ciągu roku. Trzon tej armii zbawienia polskiej gospodarki stanowią Ukraińcy (ponad 850 tys.) i Białorusini. Oni są nam bliscy. Piją tyle samo, klną podobnie, a w kościele potrafią się zachować, choć żegnają się w drugą stronę. Prawdziwy ból dupy u patriotów wywołuje jednak, że najszybciej przybywa nam gości z Kolumbii, Nepalu i Filipin. Zatem nasz system emerytalny, piramida finansowa pod wezwaniem ZUS-u, trzyma się kupy wyłącznie dzięki ludziom, których narodowcy najchętniej widzieliby za wysokim płotem.

▮ Poznańska prokuratura oskarża byłych żołnierzy 31. Bazy Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach. Śledczy zarzucają im wielomiesięczny proceder kradzieży paliwa do samolotów. Oskarżeni mieli przez rok wywieźć z bazy 63 tys. litrów paliwa lotniczego oraz 2 tys. litrów oleju napędowego. Dla przeciętnego posiadacza Škody to ilość wręcz niewyobrażalna, jednak dla naszych F-16 oznacza zapas zaledwie na około 12 do 20 godzin lotu. Wspominamy o tym jedynie po to, by unaocznić rzeczywiste koszty wojny, gdyby kiedykolwiek do niej doszło.

▮ Mazurskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe alarmuje o dramatycznej sytuacji finansowej. Brak środków zmusił ratowników do sprzedaży łodzi ratunkowych. Według władz organizacja potrzebuje rocznie 2–3 mln zł, aby utrzymać bezpieczeństwo na Wielkich Jeziorach Mazurskich. Tymczasem dostaje 500 tys. Pomysł jest genialny i powinien zostać rozważony przez ministra zdrowia. Gdyby tak sprzedać wszystkie karetki i przerobić je na Ubery, to i zysk by był, i mniej ludzi trafiałoby na SOR-y, co generowałoby dalsze oszczędności.

▮ Warszawa utopiła w zaspach 107 mln zł. To najdroższy biały proszek w historii stolicy. Sezon zimowy 2025/2026 okazał się rekordowo kosztowny, bo natura sypała śniegiem przez 57 dni. To doprawdy zaskakujący triumf ideologii nad rzeczywistością. Armia likwidatorów kopciuchów, kapłani OZE i fanatycy termomodernizacji tak gorliwie „schładzali planetę", że aż nas zamroziło przy –20 st. C. Za 107 baniek mamy namacalny dowód, że walka z klimatem przynosi efekty: jest zimno, drogo i bez sensu. Gratuluję sukcesu, zwłaszcza tym, którzy wierzą, że od wyłączenia pieca w Grodzisku zależy grubość lodu na Wiśle.

▮ Przed warszawskim ratuszem odbył się seans naiwności pod hasłem „Stop rzezi dzików". Magistrat oczywiście łże jak najęty, zasłaniając się bezpieczeństwem i afrykańskim pomorem świń. To tradycyjna urzędnicza śpiewka. Każdą rzeź da się uzasadnić jakimś paragrafem o higienie i dobru publicznym. Prawda jest taka, że to mordowanie dla czystej prymitywnej przyjemności pociągania za spust. Jako mieszkaniec peryferii niemal codziennie wymieniam uprzejmości z całymi watahami dzików. Patrzymy sobie w oczy i jakoś nikt nikogo nie zagryza. Dziki mają w sobie więcej kultury osobistej niż niejeden radny z Bemowa czy Mokotowa. Nie kradną, nie kłamią i nie obiecują obniżki podatków. Chcą tylko pożyć.

▮ W Nowosiółkach (lubelskie) kot poczęstował właściciela wścieklizną. To, że kot gryzie rękę, która go karmi, nie jest żadnym odkryciem. To element kociej etykiety. Ale żeby od razu mieszać w to wirusy zarezerwowane dla kundli? To doprawdy upadek obyczajów i dowód na to, że kocia arogancja nie zna granic. Obawy, że koty zaczną teraz zarażać ptasią grypą, uważam za uzasadnione. Te bestie są zdolne do wszystkiego, byle tylko pokazać swoją wyższość.

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

▮ Rada Ministrów przyjęła projekt nowelizacji finansowania leczenia zakażeń HIV. Zmiany dotyczą osób pozbawionych wolności, a nie ogółu obywateli. Uwięzieni mają mieć zapewnione finansowanie diagnostyki i leczenia wirusowego zapalenia wątroby typu C ze środków Narodowego Funduszu Zdrowia. Rząd przewiduje również możliwość korzystania przez kryminalistów z programu terapii antyretrowirusowej. Ta inicjatywa jest spóźniona o jakieś trzy dekady. Gdyby polska władza miała ten przebłysk rozumu w 1991 r., Freddie Mercury zamiast marnieć w Londynie, mógłby przyjechać do Polski, strzelić w ucho jakiegoś milicjanta-policjanta i w naszym luksusowym pudle postawiliby go na nogi darmowymi lekami. A tak – po prostu wyciągnął kopyta.

RJ

PS Informacje pochodzą z prasy prowincjonalnej, gdzie zależnie od regionu Rzeczypospolitej odmiennie kształtuje się pojęcie prawdy obiektywnej. Zatem nie mogą stanowić podstawy do formułowania wniosków generalnych, w szczególności zaś o charakterze prawnym. Z tej przyczyny uznać je należy za trwale pozbawione waloru dowodowego.

eprasa.pl 1638912431

Oddajcie nam naszą uwagę!

Majowe marzenie: reklama tylko na życzenie

Mamy święto. Nieźle nam to urządzili z tym 1 maja. Teraz świętujemy już nie jeden dzień, jak za PRL-u, ale co najmniej trzy. Hmm. Widocznie z szacunku dla ludzkiej pracy tak fajnie im wyszło. Mamy więc potrójną motywację, żeby pomarzyć.

Bo przecież Święto Pracy to moment na marzenia o lepszym świecie – nawet gdy wiadomo, że szybko nie zmienią się w rzeczywistość. Bez marzeń nie ma postępu. Ludzie pracy wprawdzie nie obalili jeszcze kapitalizmu, ale wywalczyli dla siebie kilka ważnych praw. Może więc czas na kolejne?

Może czas wreszcie przeciwstawić się jednej z najbardziej ogłupiających i irytujących plag neoliberalnego świata: nachalnej reklamie, która terroryzuje nasze umysły. Co na to powiesz?

Przywilej kapitału, koszt nasz

Niechciana reklama, wbrew pozorom, nie jest normalnym składnikiem wolnego społeczeństwa. Jest przywilejem, który przyznaliśmy kapitalistom kosztem zwykłego człowieka. W czasie majowego święta – święta buntu – czuję szczególnie wyraźnie, że czas im ten przywilej odebrać.

To przywilej bardzo szczególny, bo pozwala obcemu interesowi wejść do naszej uwagi bez zaproszenia. Ktoś wydaje pieniądze i dzięki temu może przerwać nam lekturę, oglądanie, słuchanie, rozmowę, orientację w świecie. Uświadomiłam sobie, że to nie drobiazg techniczny ani niewinny dodatek do mediów. To reguła ustrojowa współczesnej przestrzeni informacyjnej.

Przywykliśmy do niej tak bardzo, że prawie przestaliśmy ją zauważać. Czytamy artykuł i reklama stoi między akapitami. Oglądasz wideo i reklama pojawia się przed nim, w połowie i po nim. Wchodzisz do wyszukiwarki, a reklama udaje, że właśnie tego szukałeś. Otwierasz aplikację i reklama siedzi w samym środku interfejsu, jakby miała tam naturalne prawo pobytu. Przewijamy ekran i reklama jest wklejona między wypowiedzi ludzi, wiadomości i obrazy. Wszystko to uznaliśmy za zwyczajne. A przecież zwyczajne jest tylko to, że człowiek się do czegoś przyzwyczaja. Nie wynika z tego jeszcze, że powinien.

Najczęściej słyszymy, że tak musi być, bo reklama finansuje media i usługi – że bez niej nie byłoby mediów. To półprawda, a półprawda w sprawach publicznych bywa gorsza od zwykłego fałszu. Reklamodawca nie płaci po to, żeby wspomóc media i ulżyć społeczeństwu. Płaci po to, żeby uzyskać wpływ. Koszt, który ponosi, odbija sobie potem w cenach produktów, za które płacimy. W ten sposób za nasze pieniądze buduje sobie przewagę, a przy okazji zaśmieca obraz rzeczywistości. Nie ma tu żadnej darmowości. Jest tylko przesunięcie rachunku i ukrycie go przed odbiorcą. Płacimy wszyscy, a w dodatku płacimy własną uwagą, spokojem i zdolnością skupienia. Bez reklamy byłoby taniej – i czyściej.

Trzeba więc postawić sprawę jasno. Rozumiem, że firmy chcą informować o swoich towarach i usługach. Problemem nie jest jednak to, że informują, lecz to, że przyznano im prawo do narzucania tych informacji ludziom, którzy wcale ich nie szukają. To właśnie należałoby zmienić. Nie przez zakaz reklamy w ogóle, lecz przez odebranie jej prawa wtargnięcia bez pozwolenia w naszą przestrzeń.

Moja głowa – moja twierdza

Zmiana, o której myślę, jest bardzo konkretna. Gazeta, portal, serwis filmowy, telewizja, radio, aplikacja, komunikator i wyszukiwarka przestałyby być nośnikami reklamy w swojej podstawowej przestrzeni. W artykule nie byłoby reklam między akapitami ani obok tekstu. W zwykłym widoku portalu nie byłoby banerów, wyskakujących okien, wstawek sponsorowanych i „polecanych ofert". Film nie byłby przerywany reklamą, a przed jego uruchomieniem nie trzeba byłoby oglądać obcego przekazu handlowego. Audycja radiowa i program telewizyjny nie byłyby cięte blokami reklamowymi. Interfejs aplikacji nie zawierałby komercyjnych bodźców udających element systemu. Wyszukiwarka nie mieszałaby płatnych wyników z wynikami właściwymi. To wszystko zniknęłoby z podstawowego pola odbioru.

A zatem wprowadźmy zakaz stosowania niezamawianej, niechcianej reklamy we wszystkich rodzajach mediów. Skanalizujmy ją do wyraźnie oznaczonych przestrzeni reklamowych, do których moglibyśmy wchodzić z własnej woli – intencjonalnie. Obok zakładek „wiadomości", „sport", „kultura" czy „filmy" mogłaby istnieć zakładka „oferty" albo „reklamy". W gazecie mógłby istnieć osobny dział ogłoszeń i ofert handlowych – podobnie jak dział nekrologów – ale nie w środku tekstu redakcyjnego. W telewizji i radiu mogłyby istnieć osobne pasma reklamowe albo kanały ofertowe, ale nie takie wcinające się w program. W internecie mogłyby

Tak, jasne – część obecnego internetu by tego nie przeżyła. Zwłaszcza ogromne platformy, które żyją z handlu przymusową ekspozycją. Trudno. Nie każda konstrukcja, która dobrze zarabia, zasługuje na ocalenie.

działać katalogi ofert, porównywarki, bazy usług i jawne sekcje promocyjne, które użytkownik otwiera z własnej woli. Newslettery promocyjne byłyby dozwolone, ale wyłącznie po zapisaniu się. Komunikaty handlowe mogłyby istnieć, lecz nie miałyby już prawa pojawiać się samoczynnie w przestrzeni, która służy do czytania, słuchania, oglądania i szukania wiedzy.

To nie jest drobna korekta. To odwrócenie zasady. Dziś zasada brzmi: reklama może wejść wszędzie, chyba że użytkownik się obroni. W nowym modelu zasada brzmiałaby odwrotnie: reklama nie może wejść nigdzie, dopóki użytkownik sam jej nie otworzy. To różnica między domem, do którego ktoś stale włazi bez pytania, a domem, w którym drzwi są po prostu zamknięte, dopóki gospodarz ich uchyli.

Zwyczaje po nowemu

Ktoś powie, że to tylko kwestia wygody albo estetyki. Nie. To kwestia władzy. Kto decyduje o tym, co pojawia się człowiekowi przed oczami i uszami? Kto ma prawo wejść do jego świadomości bez pytania? W obecnym systemie odpowiedź brzmi: ten, kto zapłacił. To znaczy, że wielkie podmioty gospodarcze otrzymały prawo współurządzania naszego środowiska poznawczego. Mogą decydować, co się w nim pokaże, kiedy się pokaże, z jaką siłą i z jaką częstotliwością.

Nie chodzi tylko o sprzedawanie butów, telefonów czy abonamentów. Chodzi o kolonizację samego tła życia psychicznego. Właśnie dlatego niechciana reklama jest czymś poważniejszym niż rynkowy detal. Działa na emocje. Jest cichą formą rządzenia uwagą, nami i naszą wolą – naszym rozsądkiem.

Warto też wreszcie skończyć z infantylnym argumentem, że „zawsze można zignorować". Można też zignorować hałas, smród albo natręta, który zaczepia na ulicy. Nie zmienia to faktu, że smród pozostaje smrodem, hałas hałasem, a wtargnięcie wtargnięciem. Możliwość obrony nie usprawiedliwia napastliwości. To, że człowiek nauczył się odruchowo omijać reklamę wzrokiem, nie dowodzi jej niewinności. Dowodzi tylko skali naszego przyzwyczajenia do naruszania granic.

Nasz nowy, majowy model przyniósłby jeszcze jedną bardzo ważną zmianę. Reklama przestałaby udawać informację. Dziś w sieci i mediach płatna widzialność miesza się z tym, co redakcyjne, społeczne i poznawcze. Wynik sponsorowany podszywa się pod trafny. Materiał sponsorowany podszywa się pod tekst. Lokowanie produktu podszywa się pod zwykłą opowieść. Influencer udaje spontaniczną rekomendację. Platforma nazywa reklamę „polecaną treścią", jakby chodziło o uprzejmą poradę, a nie opłaconą próbę wpływu. To jest systemowo nieuczciwe. A fuuj! Reklama tylko na życzenie przywróciłaby elementarną przejrzystość. Komunikat handlowy byłby tam, gdzie jego miejsce: w przestrzeni handlowej.

Oczywiście taka reforma wymagałaby twardych definicji. Inaczej reklama wróciłaby pod nowymi nazwami w ukryty sposób. Trzeba byłoby uznać, że reklamą jest nie tylko klasyczny spot czy baner, ale każda płatna albo materialnie motywowana próba promowania produktu, usługi, marki lub platformy. Reklamą byłoby więc także tzw. lokowanie produktu, treść sponsorowana, promowany wynik, płatna rekomendacja influencera, afiliacja, „współpraca", autopromocja platformy i każda komercyjna sugestia wbudowana w interfejs. Trzeba byłoby też zakazać mieszania takiego przekazu z podstawową funkcją medium. Jeśli coś jest reklamą, ma siedzieć w swojej strefie i czekać, aż użytkownik tam wejdzie.

Jeżeli jakiś model biznesowy wymaga prawa do nieustannego przerywania cudzej uwagi, to może problem leży w tym modelu. Może po prostu nie warto mieć takich mediów.

Utopia? Czemu nie!

Jasne jest także, że państwo musiałoby wziąć na siebie większą odpowiedzialność za obieg informacji. Trzeba byłoby stworzyć środki masowego przekazu naprawdę publiczne, a nie polityczne – projekty tego rodzaju istnieją, ale od lat leżą w szufladach polityków, którzy nie chcą pozbawić się wpływu na media. Trzeba byłoby zbudować publiczną infrastrukturę wiedzy i informacji: struktury niezależne od biznesowego lobbingu i politycznej propagandy. Dziś wiele z tego oddaliśmy rynkowi reklamowemu, a potem udajemy, że nie widzimy ceny, jaką za to płacimy. Prywatny właściciel telewizji, portalu czy gazety musi w pierwszym rzędzie dbać o wpływy reklamowe, a interes użytkownika schodzi na dalszy plan. Zabiega o reklamy (czytaj kasę) zamiast o nas.

Czy to utopia?

Tak – w tym sensie, że dzisiaj żadna polityczna małpa nie chce takiej zmiany. Ale słowo „utopia" nie jest argumentem przeciw. Jest często tylko etykietą przyklejaną pomysłom, które naruszają interes aktualnie panujących. W pierwszych dniach maja doskonale pamiętamy, że każdy porządek, który potem stawał się oczywistym, zaczynał jako coś „nierealnego". Nierealne było ograniczenie pracy ponad siły. Nierealne były normy środowiskowe. Nierealna była myśl, że nie wszystko, co opłacalne, wolno robić. A jednak rozwój cywilizacji właśnie na tym polega: na stawianiu granic tam, gdzie rynek sam z siebie ich nie postawi.

Dlatego warto dziś powiedzieć to bez lęku i bez przesadnych zastrzeżeń. Niech reklama istnieje, ale tylko na życzenie. Niech będzie dostępna dla tych, którzy chcą jej szukać. Niech zniknie z artykułów, filmów, audycji, wyszukiwarek, komunikatorów i podstawowych widoków aplikacji. Niech przestanie udawać wiedzę, rekomendację i naturalny element świata. Niech wróci na swoje miejsce: do wydzielonej strefy handlowej.

To nie jest wojna z rynkiem. To próba odebrania mu jednego nadmiernego przywileju. Próba powiedzenia, że uwaga człowieka nie jest wolnym terenem do komercyjnego zajęcia. Że można handlować bez wtargnięcia. Informować bez narzucania się. Oferować bez przerywania. I że społeczeństwo, które nie umie już nawet wyobrazić sobie takiej granicy, powoli przyzwyczaja się do własnej bezbronności.

W maju można marzyć. Niech więc ta granica wróci. Od tego właśnie zaczyna się porządek bardziej cywilizowany niż obecny.

ANNA GRODZKA

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Ciemna dupa cyfryzacji

Boicie się, że AI zabierze wam pracę? Rząd pomoże, ale nie w Polsce.

Światową furorę robi nagranie, na którym humanoidalny robot Edward Warchocki przegania dziki w centrum Warszawy. Maszyna warta 115 tys. zł spaceruje po mieście, robi zakupy, bywa w sejmie i zaczepia przechodniów.

Przyszłość jest teraz

Robot Unitree G1 należy do nowej generacji humanoidalnych platform badawczych, które mają wspierać rozwój sztucznej inteligencji i autonomicznej robotyki. Najczęściej kupują je uczelnie techniczne, firmy technologiczne oraz laboratoria badawcze zajmujące się rozwojem AI.

Maszyny tego typu są testowane w sektorze usług, logistyce i magazynach. W USA prowadzone są prace nad robotami zdolnymi do pracy fizycznej w centrach logistycznych i fabrykach. Korea Południowa i Japonia eksperymentują z ich wykorzystaniem w sklepach i hotelach. Tak, tak, pracownicy fizyczni drący łacha z biurw, którym AI zabierze pracę, powinni się mieć na baczności. Choć humanoidalne machiny pozostają póki co produktem niszowym, są sygnałem szerszego trendu technologicznego.

Dynamika zmian na rynku pracy może przyprawić o zawrót głowy i ciężką depresję. Już teraz z gigantycznym problemem mierzą się młodzi ludzie rozpoczynający przygodę wyrobników korporacyjnych. Pracy dla juniorów jest coraz mniej, a i na wyższych hierarchicznie stanowiskach lecą głowy w imię cyfrowej rewolucji. Wszędzie tam, gdzie poradzi sobie algorytm, człowiek staje się zbędny. Zwolnienia grupowe w 2025 r. były rekordowe, a w 2026 fala trwa – w samym Krakowie w pierwszym kwartale zgłoszono 1,3 etatowych owieczek na rzeź. Brak przydatności zasobów ludzkich do nowych realiów określa się mianem luki kompetencyjnej. Pod hasłem kryje się przykra prawda, że uniwersyteckie dyplomy i lata doświadczeń można sobie wsadzić w dupę.

Część krajów azjatyckich i europejskich ruszyła z misją ratunkową dla obywateli. I nie, nie chodzi o mityczny dochód bezwarunkowy, kiedy za ludzi będą pracować maszyny. Kapitalizm to bezwzględne kurwisko, nie przepuści nikomu – kto nie pracuje, ten nie je. Państwa rozwinięte gospodarczo postawiły sobie ambitny cel szybkiej i masowej adaptacji społeczeństw do nowych wyzwań przez

eprasa.pl 1638912431

Aktywista, zamiast rozwiązywać problem, woli karać.

Cztery koła apokalipsy

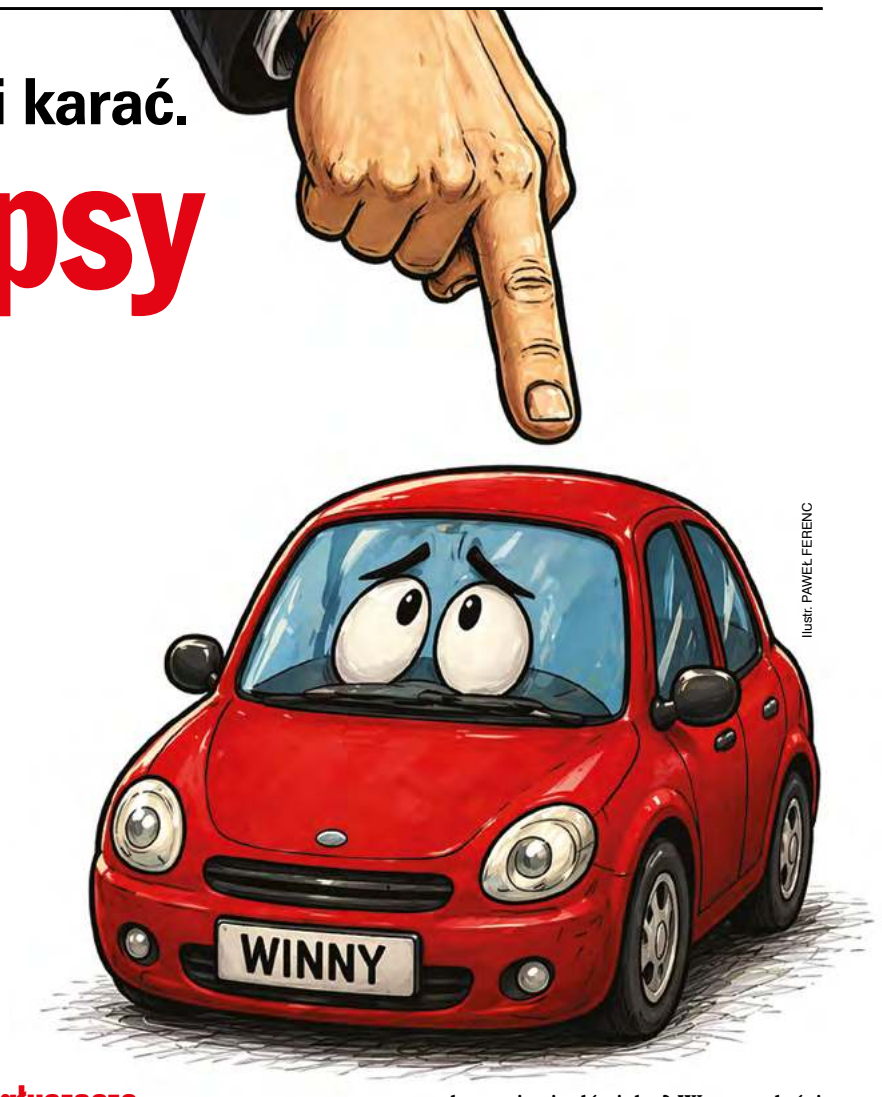

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Kiedyś kierowca wstawał rano, wsiadał do auta i jechał do pracy. W drodze mógł jeszcze ponarzekać na korki, dziury w asfalcie i drogowców, którzy zawsze remontowali ulicę dokładnie wtedy, gdy ktoś się śpieszył. Dziś jednak, zanim przekręci kluczyk w stacyjce, powinien spojrzeć w niebo i przeprosić naturę za to, że jest kierowcą. Bo według współczesnej narracji kierowca nie jest już zwykłym użytkownikiem drogi. Jest mobilnym emitentem wszystkiego, co najgorsze. Śmierci, hałasu, tlenków azotu, sadzy i pyłów.

Truciciele

Raporty środowiskowe wyglądają jak akt oskarżenia przeciwko motoryzacji. Europejska Agencja Środowiska wyliczyła, że transport drogowy odpowiada aż za 37 proc. emisji tlenków azotu w powietrzu. To najwięcej ze wszystkich sektorów gospodarki. Rolnictwo produkuje ich 19 proc., przemysł – 15 proc., a energetyka – 14 proc.

Jeszcze ciekawiej robi się wtedy, gdy spojrzy się na sadzę. Według danych tejże samej agencji samochody odpowiadają za około 23 proc. emisji sadzy. Najwięcej powstaje co prawda podczas ogrzewania budynków – 37 proc. – ale przetwarzanie odpadów to ledwie 19 proc.

W ekologicznej opowieści szczególne miejsce zajmuje diesel. Organizacja TRUE Initiative badająca emisje wykazała bowiem, że nawet samochody spełniające najnowsze normy potrafią wydmuchiwać z rury więcej tlenków azotu niż stare benzynowe auta spełniające normy sprzed dwóch dekad.

Ale spaliny to dopiero początek tej historii. W debacie o smogu coraz częściej pojawia się pojęcie „unos wtórny". Bo zaledwie ok. 7 proc. zanieczyszczeń komunikacyjnych powietrza powstaje bezpośrednio z rur wydechowych. Cała reszta to wszystko to, co zalega na ulicach i zostaje ponownie wzbijane w powietrze przez przejeżdżające pojazdy. Pył z opon, cząstki ścierających się klocków hamulcowych, fragmenty asfaltu, kurz, piasek, sól drogowa, metale ciężkie. Jeden przejazd samochodu, jeden podmuch wiatru albo jeden gwałtownie hamujący autobus wystarczą, by coś, co kiedyś opadło na asfalt, wróciło do atmosfery. W efekcie oddychamy powietrzem, które jeszcze chwilę wcześniej leżało spokojnie na ulicy.

Warszawa jest tu podręcznikowym przykładem. Według raportu Najwyższej Izby Kontroli ruch samochodowy odpowiadał w stolicy za 63 proc. stężenia pyłu PM10. Jednak w skali całej Polski udział motoryzacji w smogu jest znacznie mniejszy. Według bowiem tejże samej NIK samochody odpowiadają średnio za ok. 6 proc. emisji zanieczyszczeń powietrza, a największym źródłem pyłów wciąż pozostaje ogrzewanie budynków. W przypadku pyłu PM2,5 ogrzewanie budynków odpowiada za ok. 58 proc. emisji, w przypadku PM10 zaś – za ok. 44 proc. Jak widać, dane te mocno różnią się od tego, co publikuje Bruksela. Ale zamiast myć ulice wodą łatwiej widocznie tworzyć zakazy.

Zabójcy

W epoce internetowej wrażliwości kierowca przestał być królem drogi. Stał się podejrzanym, a jego samochód – potencjalnym narzędziem zbrodni. Szczególnie złą prasę mają kierowcy wydmuchujący więcej niż 0 promila. Może dlatego, że Polska ma tę niezwykłą właściwość, że im bardziej jakiś problem znika, tym intensywniej się o nim mówi. Statystyki mówią wyraźnie, że pijanych za kółkiem jest coraz mniej, wypadków powodowanych przez nich też, a liczba ich ofiar spada geometrycznie. Jednak w przestrzeni publicznej panuje nastrój, jakby co drugi kierowca był nawalony.

Tymczasem liczba śmiertelnych ofiar wypadków spowodowanych przez pijanych kierowców systematycznie spada. Liczba zabitych w takich wypadkach spadła o niemal jedną trzecią rok do roku. W 2025 r. zginęły 124 osoby, co oznacza spadek w porównaniu do 2024 r. o 29,5 proc. I to nie jest jednorazowy wybryk statystyki – trend jest długotrwały. Można by więc uznać, że państwo działa skutecznie. Że restrykcyjne przepisy, wysokie kary, konfiskaty samochodów, alkomaty w radiowozach i świadomość społeczna robią swoje, bo ludzie po prostu przestali wsiadać za kierownicę po alkoholu. Ale wtedy do gry wchodzą aktywiści mający znajomych w mediach, więc

od lat obserwujemy osobliwy spektakl: w statystykach liczba pijanych kierowców maleje, a w mediach rośnie przekonanie, że właśnie teraz trzeba dokręcić śrubę jeszcze bardziej.

Bezsens takich działań najlepiej widać podczas policyjnych akcji pod hasłem „Trzeźwy poranek". Jedną z takich operacji przeprowadzono tuż po Dniu Kobiet na Mazowszu. Policja zatrzymała i przebadała ponad 25 tys. kierowców – nietrzeźwych było zaledwie trzech. Czyli promil promila. Żeby znaleźć jednego pijanego kierowcę, trzeba było przebadać kilka tysięcy trzeźwych. Gdyby podobną metodę stosować w innych dziedzinach życia, policja musiałaby kontrolować każdego przechodnia, żeby znaleźć jednego kieszonkowca, albo przeszukiwać całe osiedla, żeby znaleźć jeden skradziony rower.

Liczba pijanych kierowców spada od lat z kilku powodów. Pierwszym jest prawo. Mamy przepisy należące do najsurowszych w Europie. Jazda po alkoholu oznacza coraz częściej konfiskatę samochodu. Drugim powodem jest zmiana mentalności. Jeszcze 20 lat temu jazda po alkoholu była w Polsce traktowana przez część kierowców jak folklor. Ktoś wypił dwa piwa, machnął ręką i jechał do domu. Dziś taka decyzja w wielu środowiskach oznacza towarzyskie samobójstwo. A trzecim powodem jest infrastruktura drogowa: powstały tysiące kilometrów autostrad i dróg ekspresowych. Dobra droga wymusza większą prędkość, ta zaś nie zgrywa się z promilami we krwi. Kierowcy o tym wiedzą i nie ryzykują szybkiej jazdy po paru głębszych.

Liczba ofiar wypadków w Polsce spada od lat – i dotyczy to również wypadków z udziałem nietrzeźwych, jednak aktywiści domagają się kolejnych zaostrzeń przepisów, większej liczby kontroli, częstszych badań alkomatem i jeszcze ostrzejszych kar. Gdy tylko pojawi się pojedynczy dramatyczny wypadek, natychmiast pojawiają się komentarze, że system zawiódł.

Ogłuszacze

Jakby uprzykrzania kierowcom życia było za mało, aktywiści antymotoryzacyjni wpadli na kolejny pomysł. W sejmie pojawiła się właśnie inicjatywa wprowadzenia fotoradarów akustycznych. Pomysł poparło ponad 20 tys. osób, które podpisały się pod petycją w tej sprawie złożoną przez stowarzyszenie Miasto Jest Nasze.

Fotoradary akustyczne mają mierzyć poziom hałasu generowanego przez pojazd. Jeśli przekroczy on dopuszczalną normę, kamera robi zdjęcie, odczytuje numer rejestracyjny i delikwent dostaje mandat. Aktywiści przekonują, że do tej inicjatywy skłoniły ich nocne ryki silników i przerobionych tłumików. Za kilku wariatów chcą więc karać tych, którym tłumik się rozpada (a oni nie mają akurat kasy), albo i tych, którym rura urwała się chwilę wcześniej. Ale gdzie tam. W argumentacji pojawia się Światowa Organizacja Zdrowia. Według niej hałas „jest po smogu jednym z najpoważniejszych zanieczyszczeń środowiska".

Z punktu widzenia logiki legislacyjnej aktywistów radar hałasu to pomysł wręcz genialny. Bo skoro istnieją już fotoradary mierzące prędkość, to dlaczego nie stworzyć kolejnych, mierzących natężenie dźwięku? W przyszłości można pójść jeszcze dalej. Można stworzyć radary mierzące brzydotę samochodu albo wykrywające zbyt radosną muzykę w aucie.

Kreatywna walka z motoryzacją trwa. Najpierw były strefy płatnego parkowania, progi zwalniające, szykany drogowe. Potem strefy ograniczonego ruchu, pasy dla rowerów i chodniki tak szerokie, że można by na nich organizować festiwale muzyczne. Następnie strefy czystego transportu. Teraz przyszła kolej na hałas.

Żaden z aktywistów nie organizuje pikiet, żeby stworzyć kolejne linie tramwajowe. Żaden nie podejmuje głodówki, żeby miasta znalazły kasę na metro. Nikt z nich nie chce demonstrować za tym, żeby ludzie niemieszkający – tak jak mnóstwo aktywistów – w centrach miast, mogli do tych centrów dojechać szybko transportem publicznym. A to właśnie sensowna komunikacja zbiorowa jest jedynym rozwiązaniem problemu tlenków azotu, samochodowych emisji CO_2 i pyłu zawieszonego, nie wspominając już o pijanych kierowcach czy hałasie. Aktywiści na to jednak nie wpadli.

TOMASZ BOROWIECKI

---

długoterminowe programy szkoleń. A Polska? Polska analizuje, co z tym ejajowym fantem zrobić.

Za płotem trawa zieleńsza

Najaktywniejsze strategie ochrony rynku pracy przed skutkami AI wdrażają Singapur, Finlandia i Dania. Działania skupiają się na czterech podstawowych obszarach: badaniach i strategiach sektorowych, wzmocnieniu ochrony socjalnej i wsparcia w okresie transformacji, regulacji AI z fokusem na zatrudnienie oraz zdobywanie i podnoszenie kompetencji – na koszt państwa. Co istotne, to nie są nowe inicjatywy.

Kiedy polscy politycy brandzlowali się pod aferę taśmową, w Singapurze myślano o skutkach rewolucji technologicznej. W 2015 r. powstał flagowy narodowy program „Skills Future" uznawany za jeden z najskuteczniejszych modeli społeczno-rozwojowych. Jego celem jest umożliwienie Singapurczykom rozwoju kompetencji cyfrowych (z naciskiem na AI) na każdym etapie życia.

Każdy obywatel po ukończeniu 25. roku życia otrzymuje bon na 500, a osoby po czterdziestce – na 4 tys. dolarów singapurskich. Kasę można wykorzystać na tysiące akredytowanych przez państwo kursów i szkoleń przekwalifikowujących. W zależności od wieku kursanta i typu szkolenia można złapać dodatkowe benefity. Program stale ewoluuje. Od drugiej połowy tego roku osoby kończące wybrane kursy AI dostaną za darmoszkę półroczny dostęp do narzędzi sztucznej inteligencji wersji premium (zaawansowanych modeli).

Rząd Japonii przeznaczył blisko 7,5 mld dol. na przekwalifikowanie siły roboczej. Programy obejmują bezzwrotną pomoc dla firm na szkolenia AI, współpracę z regionalnymi konsorcjami i uniwersytetami. Szczególny nacisk państwo kładzie na integrację starszych pracowników z nowym środowiskiem cyfrowym – od nauki podstawowych narzędzi po kursy wysokospecjalistyczne.

Do europejskich liderów pod względem gotowości na sztuczną inteligencję należą bez wątpienia Dania i Finlandia. Oba kraje kładą silny nacisk na koncepcję ustawicznego kształcenia oraz utrzymanie elastycznego rynku pracy. Finlandia narodową strategię AI wprowadziła już w 2017 r. Skupia się ona na rozbudowanych programach edukacyjnych i wsparciu pracowników z sektorów najbardziej narażonych na automatyzację. Dania wnikliwie śledzi wpływ AI na rynek pracy, żeby na bieżąco organizować celowane szkolenia przekwalifikowujące.

U naszych zachodnich sąsiadów kluczowym elementem łapania byka za rogi jest ścisła współpraca związków zawodowych z pracodawcami oraz specjalne fundusze na wspieranie transformacji pracowników (szczególnie w sektorach produkcyjnych). Polska na tym tle wypada blado jak dupa w listopadowym słońcu.

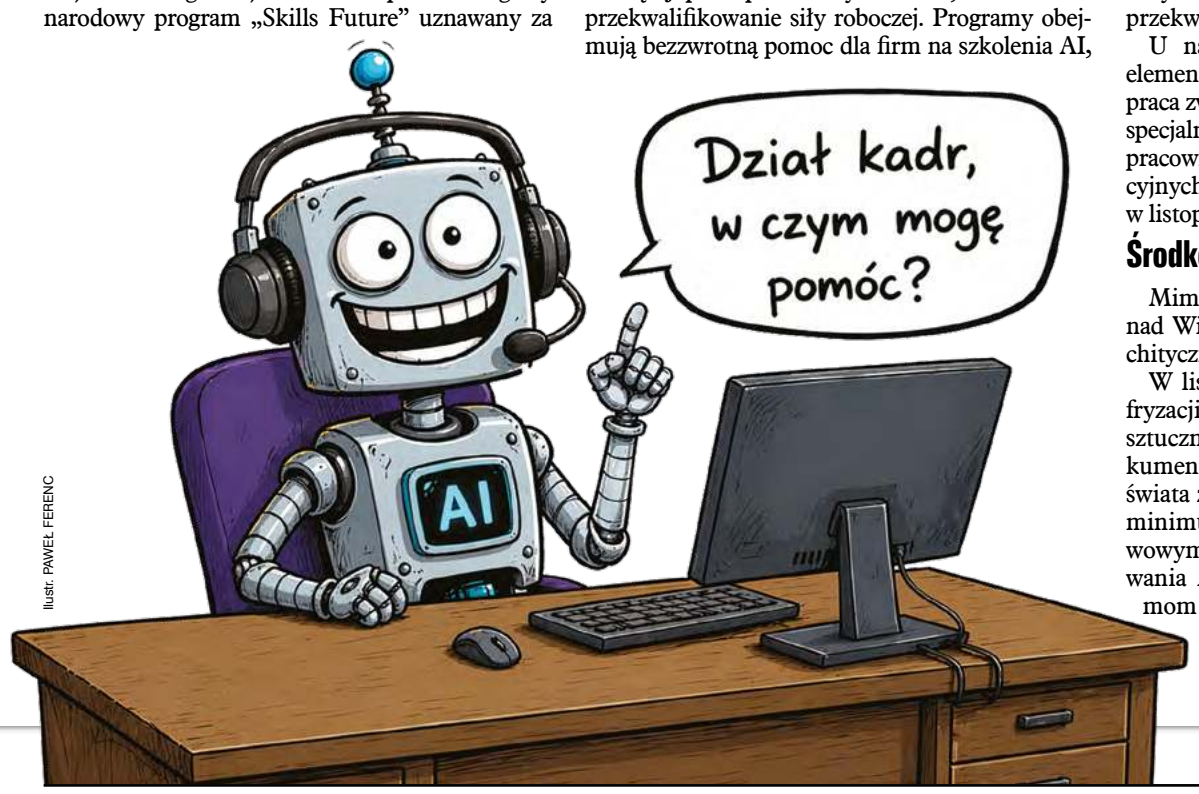

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Środkowy palec państwa

Mimo szumnych założeń strategicznych kraj nad Wisłą w dużej mierze pozostaje na etapie rachitycznych pilotaży i planowania.

W listopadzie zeszłego roku Ministerstwo Cyfryzacji ogłosiło zaktualizowaną wersję „Polityki sztucznej inteligencji w Polsce do 2030 r.". Dokument ten dopiero definiuje to, z czym reszta świata zapierdala od dekady. Mowa o osiągnięciu minimum 30 proc. społeczeństwa z ponadpodstawowymi kompetencjami praktycznego zastosowania AI dzięki edukacji, szkoleniom i programom rozwojowym.

Głównym koordynatorem tych zabiegów jest Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości, która prowadzi nabory na szkolenia (online i stacjonarne) z zakresu szeroko pojętej automatyzacji procesów. Niestety, trudno w tym przypadku mówić o ogólnokrajowym systemie wsparcia – to pojedyncze akcje. Działania są rozproszone, fragmentaryczne i zdecydowanie zbyt mozolne.

Trudno się dziwić, skoro PARP leci w ciemno.

Ministerstwo Pracy pracuje nad listą zawodów szczególnie narażonych na wpływ sztucznej inteligencji. Robi to od grudnia 2024 r. i zrobić nie może. Działania wciąż pozostają na etapie konsultacji, przeglądów danych i badań – czyli w ciemnej pipie.

Brak rejestru pociąga za sobą brak mechanizmów ochronnych czy specjalnych programów przekwalifikowania zawodowego.

Na stronach rządowych można przeczytać, że „polityka AI przewiduje szeroką gamę instrumentów – zarówno dla firm korzystających z tej technologii, jak i rozwijających produkty w tym obszarze". I chyba to jest wskazówka, na czym skupi się wsparcie państwa: na pompowaniu biznesu. Reszta będzie musiała sobie jakoś poradzić – jak zwykle na własną rękę. Przetrwają zamożni w bańkach dużych miast. Reszta w najlepszym razie skończy w montowniach i magazynach, o ile nie zastąpi ich klon robota Edwarda.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 1638912431

Polemika z tekstem Damiana Duszczenki „Stowarzyszenie na rzecz męskich ciot”

Fakty zamiast inwektyw

Stowarzyszenie na rzecz Chłopców i Mężczyzn powstało trzy lata temu. Założyła je grupa mężczyzn, która dostrzegła, że coś w Polsce jest nie tak. Nie jesteśmy organizacją przeciw komuś, a za czymś. Za równością obu płci w prawach i obowiązkach. Są wśród nas różni mężczyźni: geje, heteroseksualni, a także kobiety, żony i matki. Takie, którym zależy na dobrostanie ich mężów i synów, które nie chcą, by byli oni traktowani przez państwo gorzej od nich.

Skończyły się czasy, gdy mężczyzn, zwracających uwagę na nierówności, można sprowadzać do roli „płaczących ciot”. Taka argumentacja zawsze w historii była stosowana wobec mężczyzn, którzy w jakikolwiek sposób wyłamywali się ze schematu: protestowali przeciwko wojnie w Korei i Wietnamie, palili swoje karty powołania czy – ostatnio – wobec uciekających przed mobilizacją Ukraińców. Zawsze gdy potrzeba mięsa armatniego, znajdzie się metoda na zawstydzanie mężczyzn sprzeciwiających się ich uprzedmiotawianiu. Moje ciało mój wybór – to hasło, które dotyczy nie tylko kobiet.

Nie jesteśmy organizacją o konkretnym profilu politycznym, są wśród nas zwolennicy lewicy (jak autor polemiki), centrum oraz prawicy. Dlatego nie stosujemy ani retoryki walki klas, ani neoliberalnych dogmatów o wolności gospodarczej. Nie chcemy opowiadać się po żadnej ze stron sporu politycznego tak długo, jak długo dany obszar polityki nie dotyczy spraw mężczyzn i chłopców. Od tego są partie polityczne.

Autor tekstu zarzuca nam chęć objęcia kobiet obowiązkami obronnymi zamiast walki o ich zniesienie. SChM postuluje równość płci we wszystkich aspektach prawa. To, w jaki sposób równość zostanie wprowadzona, pozostawiamy pod rozwagę wyborców, bo wśród nas są zarówno przeciwnicy poboru, jak i jego zwolennicy. Równość może zostać osiągnięta na dwa sposoby: albo dany obowiązek zniesiemy, albo obejmiemy nim wszystkich. Nie znajdujemy żadnych logicznych argumentów, by jedna z płci miała być obciążona obowiązkiem obrony ojczyzny, a inna nie. Wszyscy jesteśmy takimi samymi obywatelami Polski, korzystamy z praw wyborczych i powinniśmy ponosić taką samą odpowiedzialność za jej obronę. W 2026 r. nie powinno to nikogo szokować.

Podobnie jest z kwestią wieku emerytalnego. Zrównywanie go w górę czy w dół pozostawiamy politykom. My chcemy po prostu zrównania. Oczywiście, że są ciężko pracujące robotnice, jak i urzędnicy, którzy ani jednego dnia nie skalali swych rąk pracą fizyczną. Takimi argumentami anegdotycznymi możemy się przerzucać w nieskończoność, bo nie ma w Polsce zawodu (poza księżmi), który byłby zamknięty dla jednej płci.

Fakty są jednak takie, że mężczyźni dominują w zawodach uważanych za ciężkie. Wskazują na to dane GUS – mężczyźni stanowią ponad 80 proc. zatrudnionych w budownictwie i górnictwie, w przemyśle i rzemiośle, na stanowiskach operatorów i monterów maszyn i urządzeń. Dlaczego oni mieliby pracować pięć lat dłużej niż ich koleżanki w sektorze kultury, edukacji czy administracji publicznej? Wiek emerytalny powinien być równy bez względu na płeć, a jakiekolwiek przywileje w tym zakresie powinny być powiązane z faktycznym obciążeniem danej pracy dla organizmu człowieka. 20 proc. mężczyzn nie dożywa nawet swojego ustawowego wieku emerytalnego; żyją średnio o siedem lat krócej i korzystają z systemu emerytalnego znacznie krócej niż ich koleżanki.

W ciągu ostatnich 30 lat zaszły spore zmiany społeczno-kulturowe, które nie uzasadniają już nierównego wieku emerytalnego. W czasach, gdy dzietność jest najniższa w Unii Europejskiej, a tradycyjna rodzina przestaje mieć znaczenie, zarówno kobiety, jak i mężczyźni prowadzą swoje gospodarstwa domowe w sposób dowolny i zgodny z osobistymi preferencjami. Dlaczego ja i mój partner mamy pracować pięć lat dłużej niż moja koleżanka i jej partnerka? Wykonujemy takie same obowiązki domowe, tak samo sprzątamy, myjemy naczynia i zmieniamy pościel. Polska jest ostatnim państwem Unii Europejskiej, który nie zrównał lub nie planuje zrównania wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn.

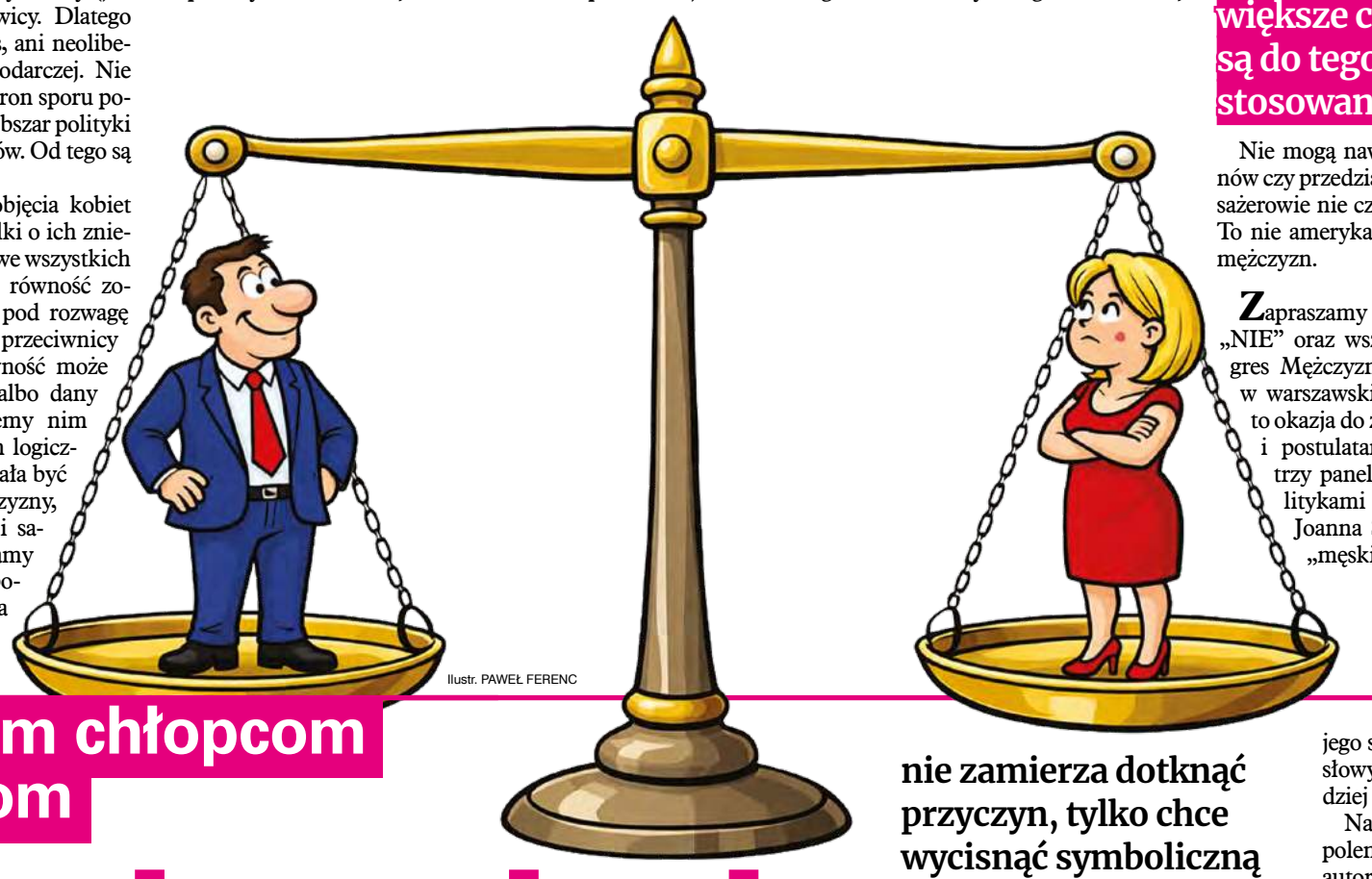

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nie definiujemy naszej działalności z perspektywy walki klas, bo nie jesteśmy organizacją marksistowską. Można jednak pozwolić sobie na mały eksperyment myślowy:

wyobraźmy sobie, że przepisy nie dotyczą płci, a rasy. To czarni muszą bronić ojczyzny w razie wojny, mają zakaz wyjazdu z kraju, muszą pracować pięć lat dłużej, nie należy im się posiłek regeneracyjny, muszą dźwigać większe ciężary – bo przecież są do tego naturalnie przystosowani.

Nie mogą nawet wsiadać do określonych wagonów czy przedziałów w pociągu, żeby biali współpasażerowie nie czuli się zagrożeni. Skądś to znamy? To nie amerykańskie południe, ale współczesność mężczyzn.

Zapraszamy serdecznie redakcję tygodnika „NIE” oraz wszystkich czytelników na III Kongres Mężczyzn, który odbędzie się 25 kwietnia w warszawskim Domu Technika NOT. Będzie to okazja do zapoznania się z naszą działalnością i postulatami bez inwektyw. Przewidujemy trzy panele dyskusyjne, w tym debatę z politykami (obecność potwierdziła m.in. prof. Joanna Senyszyn). Mile widziane również „męskie cioty”.

SZYMON WĘGRZYN
Sekretarz Stowarzyszenia na rzecz Chłopców i Mężczyzn

Odpowiadam chłopcom i mężczyznom

Do urażonych pip

nie zamierza dotknąć przyczyn, tylko chce wycisnąć symboliczną rentę z męskiego rozżalenia. Bo przecież o wiele łatwiej pokłócić kasjerkę z magazynierem niż zapytać, kto urządził rynek pracy, system emerytalny i państwo w taki sposób, by jedni zajeżdżali się szybciej od drugich.

Na początek drobne sprostowanie. W tytule mojego tekstu nastąpił błąd, którego redakcja nie zdążyła już poprawić. Miało być „Stowarzyszenie na rzecz męskich pip”, nie „ciot”. To ważna różnica, bo „ciota” bywa w polszczyźnie figurą kogoś słabego, miękkiego, odstającego od napompowanego ideału samca, natomiast „pipa” dużo lepiej oddaje istotę problemu: mieszaninę histerii, samochwalstwa i obrażonego męskiego ego, które chciałoby uchodzić za nowy ruch emancypacyjny.

Po publikacji tekstu na moim facebookowym profilu spadły na mnie dziesiątki gróźb i setki komentarzy z życzeniami śmierci. I to jest właśnie najciekawsze uzupełnienie polemiki pana Szymona Węgrzyna. Jedną twarzą tego środowiska jest grzeczny list o „faktach zamiast inwektyw”, o „dobrostanie mężów i synów”, o „równych prawach i obowiązkach”. Drugą twarzą jest natychmiastowy najazd inceli, internetowych frustratów i domorosłych tyranów, którzy na samo wspomnienie krytyki ich środowiska reagują nie debatą, lecz stadnym ujadaniem. Jedna twarz mówi: „chcemy rozmowy”. Druga: „zdechnij”. I ta druga, niestety, wydaje się znacznie bardziej autentyczna.

Rys. JANUARY

Autor polemiki zapewnia, że Stowarzyszenie na rzecz Chłopców i Mężczyzn nie jest przeciw komuś, tylko za czymś. To bardzo wygodna formuła. Prawie każda reakcyjna inicjatywa na świecie mówi o sobie, że nie jest przeciw nikomu, tylko „za równością”, „za zdrowym rozsądkiem”, „za rodziną”, „za normalnością”. Problem polega na tym, że wystarczy chwilę posłuchać, by okazało się, przeciw komu i czemu naprawdę mobilizuje emocje. W tym wypadku przeciw feminizmowi, przeciw kobietom jako rzekomym beneficjentkom systemu, przeciw językowi emancypacji, który nagle staje się dobry dopiero wtedy, gdy można go przerobić na męskie użalanie się nad sobą.

Stąd ten osobliwy zabieg retoryczny: „moje ciało, mój wybór” dla mężczyzn, jakbyśmy mieli do czynienia z identycznym doświadczeniem historycznym i społecznym. Jakby przez wieki to mężczyźni byli podporządkowani prawu pisanemu przez kobiety, ekonomicznie od nich uzależnieni, zamykani w roli reprodukcyjno-opiekuńczej i traktowani jako obywatele niepełni. Nie, panowie po prostu odkryli, że da się podkraść cudzy język i używać go jak tarczy na własną drażliwość.

Jeszcze zabawniejszy jest manewr z rzekomą neutralnością polityczną. Stowarzyszenie nie jest ani lewicowe, ani prawicowe, tylko zajmuje się „sprawami mężczyzn”. Tak się składa, że właśnie w ten sposób zwykle uprawia się politykę najbardziej ideologiczną: udając brak ideologii. Gdy ktoś mówi, że nie interesuje go spór klasowy, tylko „konkretne nierówności wobec mężczyzn”, to najczęściej znaczy tyle, że

Pan Węgrzyn pisze, że skoro mężczyźni dominują w ciężkich zawodach, to nie ma powodu, by pracowali dłużej. I tu właśnie wychodzi cały intelektualny niedowład tej argumentacji. Bo jeśli problemem jest ciężar pracy, to rozwiązaniem nie jest wojna płci, tylko walka o przywileje branżowe, zdrowie pracowników, skracanie czasu pracy, sensowne emerytury pomostowe i lepszą ochronę ludzi wykonujących najcięższe zawody. Ale to wymagałoby wejścia w konflikt z realnym układem gospodarczym, a nie z wyobrażoną armią uprzywilejowanych kobiet z administracji i kultury. Łatwiej więc sprzedać chłopu z budowy bajkę, że jego głównym problemem jest bibliotekarka albo urzędniczka, a nie państwo i rynek, które wspólnie wyciskają z niego ostatnie soki.

To samo z poborem. Autor polemiki twierdzi, że równość można osiągnąć na dwa sposoby: albo znieść obowiązek, albo objąć nim wszystkich. To pozornie symetryczne, a w istocie bardzo wygodne unikanie odpowiedzi.

Bo jeśli ktoś naprawdę uważa pobór za formę uprzedmiotowienia, to walczy o jego likwidację. Jeśli zaś zostawia sobie furtkę pod tytułem „można też objąć nim wszystkich”, to znaczy, że nie walczy z militaryzmem, tylko domaga się jego sprawiedliwszego podziału. Innymi słowy: niech mięso armatnie będzie bardziej równościowe. Cóż za postęp.

Najbardziej groteskowy fragment tej polemiki pojawia się jednak wtedy, gdy autor próbuje porównać sytuację mężczyzn do sytuacji czarnoskórych. To już nie jest nawet przesada. To jest kabaret, i to raczej ten żałosny. Naprawdę trzeba mieć monumentalne poczucie krzywdy, żeby zestawiać różnicę wieku emerytalnego i obowiązek wojskowy z systemowym rasizmem, segregacją, przemocą państwową, niewolnictwem i całym dziedzictwem odczłowieczenia czarnych ludzi. Z takiej analogii nie wynika odwaga intelektualna, tylko kompletna utrata proporcji. Za chwilę ktoś napisze, że panowie z kongresu mężczyzn to nowi bojownicy o prawa obywatelskie, tylko zamiast psów policyjnych muszą znosić złośliwe felietony pana Duszczenki. Rosa Parks ustępuje miejsca obrażonemu błaznowi z forum.

I tu dochodzimy do sedna. Mężczyźni mają realne problemy: samobójstwa, uzależnienia, samotność, presję kulturową, zajeżdżanie w pracy, przemoc instytucjonalną w wojsku czy więziennictwie, słabą opiekę zdrowotną, fatalną psychiatrię. Tylko że te problemy nie znikną od pompowania resentymentu wobec kobiet ani od organizowania kongresów, na których wielką odwagą jest opowiadanie, że świat za mało współczuje mężczyźnie. Nie znikną też od internetowych watah, które po krytycznym tekście lecą życzyć autorowi śmierci. To nie jest ruch wyzwolenia, lecz obrażona męska subkultura, która marzy, by własną histerię sprzedać jako nową formę praw obywatelskich.

Dlatego dziękuję za polemikę pana Węgrzyna. Jest pouczająca. Pokazuje bowiem idealnie, jak wygląda współczesna polityka męskiej urazy: z jednej strony elegancka mowa o równości i faktach, z drugiej chamski najazd sfrustrowanych akolitów. Dwie twarze tego samego zjawiska. Jedna przypudrowana, druga opluta jadem. Obie równie mało przekonujące.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl 1638912431

Kij paragrafu

Podniecanie się tym, czy Nawrocki przyjmie ślubowanie sędziów Trybunału Konstytucyjnego, ma sens taki jak skutki jego orzeczeń.

Tego dnia nic nie zapowiadało katastrofy. Było zwykłe niedzielne popołudnie, Łódź, ulica, chodnik, za nim kilka drzew, trochę ludzi i trzylatek, który biegał, śmiał się i krzyczał tak, jak krzyczą dzieci, czyli głośno, bez powodu i z pełnym przekonaniem, że świat istnieje głównie po to, żeby zwracać na nie uwagę. Aniela szła spokojnie obok syna, co jakiś czas mówiąc „nie biegaj tak daleko" i „uważaj", co w języku dorosłych oznacza troskę, a w języku dziecka oznacza mniej więcej tyle, co szum wiatru.

Obok stało dwóch policjantów. Jeden zamyślony, a drugi zmęczony, zbolały po sobotniej popijawie i wściekły, że patrol wypadł mu w niedzielę, i marzący tylko o tym, żeby było cicho. Dziecko nie rozumiało tej potrzeby. Dziecko biegało i się darło. A Aniela – co w oczach policjanta było kluczowe – nie zrobiła nic, co można by uznać za „skuteczne uspokojenie". W końcu gliniarz nie wytrzymał. Podszedł do Anieli poprosił o dokumenty, których nie miała, i wyciągnął z zanadrza podstawę prawną, która miała sugerować niepodważalność sytuacji: „Zgodnie z art. 89 kodeksu wykroczeń, kto, mając obowiązek opieki lub nadzoru nad małoletnim do lat 7, dopuszcza do przebywania małoletniego na drodze publicznej, podlega karze grzywny albo karze nagany".

Pani Aniela spojrzała na niego i zapytała spokojnie, czy chodnik to jest droga publiczna, a policjant odpowiedział, że oczywiście, bo chodnik jest częścią drogi publicznej, więc dziecko nie może się po nim „swobodnie przemieszczać bez nadzoru".

Mandat został wypisany. Kwota nie była astronomiczna, ale wystarczająco duża, żeby Aniela poczuła, że coś tu się nie zgadza. Nie chodziło nawet o pieniądze, tylko o to, że nagle zwykły spacer zamienił się w wykroczenie. Wróciła do domu i zadzwoniła do kolegi – prawnika. Ten, jak to prawnicy mają w zwyczaju, najpierw wysłuchał, potem westchnął. – Przepis istnieje i brzmi dokładnie tak absurdalnie, jak go usłyszałaś. Problem polega na tym, że jego literalne brzmienie jest szersze niż zdrowy rozsądek – powiedział na końcu.

Oczywiście nic nie zrozumiała. Prawnik otworzył zatem kodeks i wyczytał przepis, na który powoływał się policjant, ten mówiący: „Kto, mając obowiązek opieki lub nadzoru nad małoletnim do lat 7, dopuszcza do przebywania małoletniego na drodze publicznej…". – Zwróć uwagę – powiedział – że ustawodawca nie doprecyzował, co to znaczy „dopuszcza" ani w jakim stopniu dziecko ma „przebywać". Literalnie rzecz biorąc, każde dziecko idące chodnikiem spełnia ten warunek.

Dopytała, czy to znaczy, że każdy rodzic w Polsce, kiedy idzie z dzieckiem na spacer, popełnia wykroczenie. Prawnik uśmiechnął się w cwany, typowy dla prawników sposób. – W teorii tak. W praktyce zależy od tego, czy ktoś będzie chciał to zastosować – odpowiedział. – Zobacz, że w tym przepisie nie ma ani słowa o zagrożeniu, nie ma ani słowa o realnym niebezpieczeństwie, nie ma ani słowa o tym, że dziecko musi być bez opieki. Jest tylko „dopuszcza do przebywania" – powiedział.

Aniela nie wierzyła. W głowie jej się nie mieściło, że żyje w kraju, gdzie wyjście z dzieckiem jest czynnością podlegającą karze. – Tak – odpowiedział na tę wątpliwość prawnik – i dlatego potrzebna była interwencja Trybunału Konstytucyjnego, który powiedział, że tak tego stosować nie wolno. Ale Trybunał nie zmienia tekstu przepisu. On zmienia sposób jego rozumienia. A to są dwie zupełnie różne rzeczy.

Na dowód, że nie kłamie, prawnik wyszperał garść przykładów. Opowiedział o matce, która szła z dzieckiem do przedszkola i pozwoliła mu iść kilka metrów przed sobą, bo dziecko chciało być „samodzielne". Policjant uznał, że to brak nadzoru, i powołał się na ten przepis, tłumacząc, że dziecko znajdowało się na drodze publicznej. Sprawa zakończyła się pouczeniem, ale tylko dlatego, że funkcjonariusz miał dobry dzień.

Opowiedział o ojcu, który stał na przystanku tramwajowym, a jego dziecko biegało po chodniku w obrębie kilku metrów, co zostało uznane za „dopuszczenie do przebywania bez należytego nadzoru", mimo że ojciec widział dziecko cały czas. Tam również pojawił się art. 89, choć sprawa nie trafiła do sądu, bo ojciec zapłacił mandat, uznawszy, że szkoda mu czasu.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Opowiedział wreszcie o sytuacji, w której dziecko jechało rowerkiem po chodniku, a matka szła obok, i mimo że wszystko odbywało się spokojnie, funkcjonariusz uznał, że dziecko „uczestniczy w ruchu drogowym", a więc przebywa na drodze publicznej w sposób, który może być niebezpieczny.

– W każdym z tych przypadków – powiedział prawnik – przepis był ten sam, ale jego zastosowanie zależało wyłącznie od tego, czy ktoś chciał go użyć. To nie jest norma, która działa sama z siebie. To jest kij, którego można użyć, kiedy policjant uzna, że zajdzie taka potrzeba.

Teraz już zaczynała rozumieć. Zapytała więc, dlaczego po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego przepis nadal istnieje w tej samej formie, skoro wiadomo, że prowadzi do absurdów. Prawnik odpowiedział po prawniczemu, że system działa w taki sposób, że interpretacja może „uratować" przepis bez konieczności jego zmiany, a to oznacza, że dla ustawodawcy problem przestaje istnieć, bo formalnie wszystko jest już wyjaśnione przez Trybunał.

Zdecydowała, że w takim razie nie przyjmie mandatu i pójdzie do sądu. Na rozprawie sytuacja wyglądała poważniej, niż powinna, bo kiedy zwykły spacer trafia na wokandę, zaczyna udawać sprawę o znaczeniu systemowym. Policjant zeznawał, że dziecko „poruszało się w sposób niekontrolowany", a matka „nie reagowała adekwatnie". Pani Aniela powiedziała, że była obok, że dziecko było pod jej opieką i że nie widzi niczego nagannego w tym, że pięciolatek biega.

Sędzia słuchał, wiedząc doskonale, co orzecze. Wygooglował wszak, że ten przepis już wcześniej był analizowany i że jego literalne stosowanie prowadzi do absurdów, które nie mogą być akceptowane w państwie prawa. I nie tylko w orzeczeniu TK, ale już wcześniej w orzecznictwie sądów wskazywano, że nie można interpretować art. 89 w sposób oderwany od rzeczywistości i że chodzi o sytuacje realnego zagrożenia, a nie o zwykłe poruszanie się dziecka pod opieką dorosłego.

Sędzia powiedział zatem: „Nie każde przebywanie małoletniego na drodze publicznej stanowi wykroczenie, lecz tylko takie, które wynika z braku należytego nadzoru i stwarza zagrożenie". I uniewinnił Anielę, zasądzając skarbowi państwa koszty procesu.

Kobieta wyszła z sądu z poczuciem ulgi, ale też z dziwnym niepokojem, który pojawia się wtedy, gdy człowiek wygrywa sprawę, a jednocześnie rozumie, że

system, który ją stworzył, nadal działa dokładnie tak samo. Bo przepis się nie zmienił. I nadal można go przeczytać tak, jak przeczytał go policjant z bólem głowy.

Wróciła do domu, spojrzała na syna, który biegał po mieszkaniu, i pomyślała, że najdziwniejsze w tej całej historii jest to, że nic się właściwie nie zmieniło. Złe prawo, zinterpretowane przez Trybunał Konstytucyjny, przestaje być złe tylko dla tych, którzy tę interpretację znają i potrafią się na nią powołać. Kij paragrafu nie znikł.

TADEUSZ JASIŃSKI

Pozdrowienia do więzienia

Osadzeni są w Polsce chłopcem do bicia, nie tylko za Ziobry

O łamaniu praw więźniów w Polsce mówi się mało, bo to temat, który nie budzi współczucia. Wystarczy, że ktoś trafi do więzienia, a wielu z nas uznaje, że nie warto już pytać, w jakich warunkach żyje, czy ma dostęp do leczenia i jest traktowany zgodnie z prawem.

Kara więzienia polega na odebraniu wolności. Nie powinna oznaczać przyzwolenia na poniżanie, zaniedbanie albo przemoc. Tyle teorii. Praktyka jest niewesoła.

Jeden z najważniejszych obszarów, w których prawa więźniów są naruszane – to ochrona zdrowia. Osadzony jest całkowicie zależny od administracji więziennej. Nie może sam wybrać lekarza, zapisać się do specjalisty, zrobić badań na własną rękę ani poszukać innej pomocy. Jeśli system nie działa, zostaje z chorobą i bezsilnością. W praktyce oznacza to, że zły dostęp do leczenia staje się dla części więźniów dodatkowym cierpieniem, którego nie przewiduje wyrok sądu. Szczególnie ciężko dotyka to osoby starsze, przewlekle chore, z niepełnosprawnościami albo problemami psychicznymi.

Drugi problem to sposób traktowania osadzonych przez funkcjonariuszy. Nie chodzi tylko o przypadki jawnej przemocy, ale też o praktyki, które formalnie mają służyć bezpieczeństwu, a w rzeczywistości bywają nieproporcjonalne i upokarzające. Dotyczy to m.in. kontroli osobistych, konwojów, stosowania kajdanek czy innych środków przymusu. W takich sytuacjach bardzo łatwo przekroczyć granicę między działaniem koniecznym a postępowaniem, które ma po prostu pokazać człowiekowi, że nie ma żadnego znaczenia. Problem polega również na tym, że rzeczy powtarzane codziennie szybko przestają być postrzegane jako nadużycie. Stają się częścią więziennej rutyny.

Osobną sprawą są warunki bytowe. W debacie publicznej ten temat nie istnieje – a przecież to właśnie warunki codziennego życia decydują o tym, jak wygląda odbywanie kary. Przeludnione cele, słaba wentylacja, hałas, brak prywatności, niski standard sanitarny, długotrwałe przebywanie w ciasnej przestrzeni – takie warunki niszczą psychicznie i fizycznie. Człowiek osadzony w takim miejscu przez wiele miesięcy albo lat nie wychodzi z niego w lepszym stanie. Często wychodzi bardziej rozbity niż wtedy, gdy do więzienia trafił.

Do tego dochodzi utrudnianie kontaktu z bliskimi i światem zewnętrznym. Rozmowy telefoniczne, widzenia czy rozmowa z obrońcą są dla wielu osadzonych jedynym sposobem na utrzymanie więzi z normalnym życiem. Jeżeli system zaczyna te kontakty nadmiernie ograniczać, skutki są poważne. Pogłębia się poczucie izolacji, narasta frustracja, osłabia się zdolność powrotu do zwykłego funkcjonowania po opuszczeniu więzienia. Potem bardzo łatwo powiedzieć, że ktoś „nie nadaje się do resocjalizacji", ale znacznie trudniej przyznać, że wcześniej sam system zrobił wiele, by ten człowiek wyszedł jeszcze bardziej połamany.

Największym problemem pozostaje jednak społeczne nastawienie. W Polsce nadal mocno obecne jest przekonanie, że więzień właściwie nie powinien mieć żadnych praw poza najbardziej podstawowym przetrwaniem. To myślenie nie zatrzymuje się jednak na murach więzienia. Państwo, które przyzwyczaja się do lekceważenia godności jednej grupy, łatwiej robi to także wobec innych słabszych ludzi. Dlatego prawa więźniów nie są tematem pobocznym. To ważny sprawdzian tego, czy instytucje publiczne działają jeszcze w granicach prawa, czy raczej korzystają z tego, że część społeczeństwa nie chce patrzeć im na ręce.

I wreszcie kwestia, o której zgoła nikt nie mówi: nieskuteczność resocjalizacji. W Polsce bardzo dużo mówi się o karaniu, znacznie mniej o tym, co ma się wydarzyć z człowiekiem po wyjściu na wolność. Tymczasem więzienie, które opiera się głównie na dyscyplinie, izolacji, bylejakości i rutynowym łamaniu psychiki, nie przygotowuje nikogo do normalnego życia. Nie uczy odpowiedzialności, tylko przetrwania w zamkniętym świecie. Nie odbudowuje więzi społecznych, tylko je osłabia. Nie leczy uzależnień, kryzysów psychicznych ani deficytów, które często stały za przestępstwem, lecz je pogłębia. Potem państwo udaje zdziwienie, że człowiek opuszczający zakład karny wraca do dawnych schematów z jeszcze większym bagażem frustracji, wstydu i społecznego odrzucenia. Jeśli więzienie ma być wyłącznie magazynem ludzi, to nie mówmy potem poważnie o resocjalizacji, bo to słowo brzmi w takich warunkach jak kiepski żart.

WKD

Jeśli znacie przypadki łamania praw więźniów, macie dokumenty, relacje albo chcecie opowiedzieć o tym, co dzieje się za murami, prosimy o kontakt: prawawiezniow@gmail.com

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 1638912431

Big pharma liże Trumpowi

Liczycie na nowoczesną terapię lekową? Szczęścia, zdrowia.

ceny prochów w USA mają być równe najniższej cenie, jaką firma farmaceutyczna oferuje w dowolnym innym rozwiniętym kraju. Jeśli koncern farmaceutyczny sprzeda nowy lek po niskiej cenie w kraju europejskim – np. w Polsce – nie opchnie go drożej za oceanem.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Szanse Partii Republikańskiej w listopadowych wyborach połówkowych są – delikatnie mówiąc – chujowe, zwłaszcza w Izbie Reprezentantów. Przedłużająca się wojna z Iranem i wysokie ceny paliw nie poprawiają notowań stada Trumpa ani jego samego. Przegrana mocno ograniczy możliwości legislacyjne prezydenta w kolejnych latach władzy.

Mając w perspektywie sromotną porażkę, Donald Trump postanowił udobruchać obywateli poprawą ich dostępu do leczenia. Na początku lutego rząd USA uruchomił serwis TrumpRx.gov, który ma umożliwić Amerykanom zakup leków na receptę w wyraźnie niższych cenach. Z początkiem kwietnia Trump podpisał rozporządzenie wykonawcze nakładające 100-procentowe cła na wybrane importowane leki innowacyjne w celu wymuszenia na firmach farmaceutycznych przeniesienia produkcji do USA, a finalnie obniżki ich cen. Metoda kija i marchewki uderzy w rynek europejski i samych Amerykanów.

TrumpRx nie znaczy Trump Rex

W grudniu Donald Trump obiecał Amerykanom obniżenie cen leków na receptę o „400, 500 i nawet 600 proc.". Teraz nieco spuścił z tonu, ale motyw pozostał.

– Od dzisiaj dziesiątki najczęściej stosowanych leków na receptę będą dostępne dla wszystkich po radykalnie obniżonych cenach – ogłosił Trump podczas imprezy z okazji uruchomienia nowego portalu. Później snuł wizje, że ludzie zaoszczędzą i będą zdrowsi. Z założenia portal ma ułatwić zakup leku bezpośrednio od producenta, z pominięciem ubezpieczyciela. By nabyć prochy w atrakcyjnej cenie, należy przedstawić w aptece specjalny kupon wygenerowany na rządowej stronie.

Trzy tygodnie po inauguracji przedsięwzięcia demokraci z Komisji Energii i Handlu opublikowali raport. Okazało się, w wielu przypadkach platforma oferowała już dostępne zniżki, nie ujawniała tańszych generycznych odpowiedników, a niekiedy wypluwała oferty z cenami znacznie wyższymi niż te, które pacjenci zapłaciliby, gdyby korzystali z rabatów oferowanych bezpośrednio przez producenta. Jeden z członków komisji Frank Pallone jr rzucił szorstko, że TrumpRx kontynuuje długą historię prezydenta w oszukiwaniu konsumentów.

Prezydent nic sobie z tego stękania nie zrobił i dla dobra narodu przyklepał 100-procentowe cła na importowane leki patentowe i ich składniki.

W tym momencie każdy Europejczyk mógłby sobie zadać pytanie, dlaczego do wuja wafla miałby się przejmować farmakologicznymi bolączkami zza oceanu? Już wyjaśniam.

Amerykański przywódca z zamiarem windowania ceł importowanych farmaceutyków nosił się od roku. Celem było sprowadzenie produkcji leków z powrotem do USA i obniżenie ich cen w Ameryce. Manewr uzasadniał wówczas bezpieczeństwem narodowym – co brzmi zabawnie, biorąc pod uwagę, że na początku prezydentury zdemolował i tak już wrogi społeczeństwu sektor zdrowia.

Schemat z lekami jest prosty jak budowa cepa. Firmy, które zobowiążą się do produkcji w ojczyźnie hamburgera, będą objęte cłem w wysokości 20 proc. Jeśli dodatkowo podpiszą umowę z rządem w sprawie obniżenia cennika, zostaną całkowicie wyłączone z taryf. Dotychczas deal z administracją zawarło 13 koncernów farmaceutycznych, m.in. Pfizer, Novo Nordisk (ta od Ozempicu), Novartis czy GSK.

Prezesi klękają

Pigularskie molochy potulnie zadeklarowały inwestycje w badania, rozwój i produkcję o wartości ponad 150 mld dol. Nic dziwnego. Mimo obietnicy obniżek cen akcje większości z nich poszły w górę, ponieważ układ chronił je przed surowszymi cłami. Cła na leki produkowane w Unii Europejskiej, Japonii, Korei Południowej i Szwajcarii wynoszą 15 proc. ze względu na obowiązujące umowy handlowe. Wielka Brytania jest objęta osobną umową. Zatem gdzie jest hak? Leki można podzielić na cztery główne grupy: innowacyjne (oryginalne), generyczne (zamienniki innowacyjnych), biologiczne (produkowane przez żywe organizmy) i biosymilarne (kopie biologicznych). Trump zakręcił się wokół pierwszej kategorii – farmaceutyków innowacyjnych. Jak wskazuje nazwa, są to nowatorskie preparaty, które wcześniej nie były dostępne na rynku. Ich opracowanie wymaga lat badań klinicznych i dużych nakładów finansowych. Są chronione patentem, który uniemożliwia produkcję ich tańszych odpowiedników (wspomnianych generyków) przez określony czas.

Polski przemysł farmaceutyczny (tak, jeszcze coś produkujemy) obejmuje głównie generyki i produkcję kontraktową. Krótko mówiąc, problem ceł generalnie lata firmom znad Wisły koło menzurki. Większość leków refundowanych to biosymilary i generyki, więc nie czeka nas apteczny szok. Z grubsza trudno też na tę chwilę mówić o realizacji jakiegoś skrajnie negatywnego scenariusza dla polskiego systemu ochrony zdrowia. Są jednak wyjątki. Amerykańskie regulacje odczują beneficjenci nowoczesnych leków onkologicznych, terapii chorób rzadkich czy nowych środków na leczenie otyłości.

Europa bierze w dupę

Największe koncerny otwarcie komunikują, że Europa zapłaci więcej albo dostanie mniej. Obniżka cennika w USA zmusza koncerny do rekompensaty w innym miejscu. Stary Kontynent, gdzie ceny wskutek silnej kontroli państwa są niższe (w USA ustala je rynek), jest najsłabszym ogniwem. Według nowych zasad gry

To z kolei pociąga za sobą przykre konsekwencje utraty miliardów dolarów na największym i najbardziej dochodowym rynku świata. Warto pamiętać, że Stany Zjednoczone to blisko 60 proc. globalnych zysków z nowych leków. Machina ruszyła już w zeszłym roku po zapowiedziach ceł, a finalizacja sprawy tylko ją napędzi.

Do tej pory działało to w następujący sposób. Jeśli koncern chciał szybko wprowadzić nowy produkt leczniczy jednocześnie w całej Europie, wpierw musiał wynegocjować cenę w „tanich" krajach – bałtyckich, Grecji i Portugalii. Ceny te stawały się niejako z automatu referencją dla pozostałych członków UE. Po ruchach Trumpa niektórzy CEO koncernów mówią wprost, że wolą nie sprzedawać nowych środków np. we Francji niż obniżyć cenę w USA do poziomu francuskiego.

Liczba nowych leków wprowadzanych na rynek UE po zmianach w polityce handlowej USA zmalała średnio o 35 proc. Firmy wolą opóźnić lub całkiem olać premiery w tanich krajach unijnych niż ryzykować zarażenie taniością całego łańcucha. Amerykański burdel oznacza większe napięcie w negocjacjach cenowych z rządami i płatnikami, których finału mogą nie doczekać najbardziej zainteresowani – pacjenci.

Amerykanie wbrew pozorom też dostaną po pipie. Administracja lubi przedstawiać projekt jako masowe obniżanie cen dla obywateli. To oczywiście gówno prawda. Firmy farmaceutyczne muszą inwestować w USA i obniżać ceny niektórych leków oferowanych na TrumpRx. Żeby zrekompensować sobie straty, będą podnosić ceny katalogowe pozostałych produktów lub dawać mniej rabatów pośrednikom w negocjacjach z prywatnymi ubezpieczycielami. Ubezpieczalnie odbiją to sobie w polisach.

Wiewiórki donoszą, że Trump podejmował prezesów niektórych firm farmaceutycznych w swoim kurorcie Mar-a-Lago, zebrał miliony dolarów darowizn i dzięki temu hojnie wynagradzał wielkie koncerny za wsparcie. Jednym z benefitów modelu biznesowego pay-to-play miało być zwolnienie najlepiej sprzedających się produktów z negocjacji cenowych. Kto by się spodziewał, prawda?

IDALIA DUBICKA

Życie w dobrobycie

● Kiedy patrzymy na polską gospodarkę przez pryzmat danych ogólnych, gdzie zysk firm niefinansowych spada, inwestycje lecą w dół, a produkcja przemysłowa się cofa, to łatwo dojść do wniosku, że biznes poza bankami właściwie przestał mieć sens. Ale wtedy pojawia się coś co jest zaprzeczeniem zarówno tej tezy, jak i opowieści, że państwowa spółka musi być deficytowa, chyba że jest monopolistą i może do woli skubać konsumentów jak Orlen czy giganty energetyczne. Bo KGHM Polska Miedź wywraca tę narrację. Czysty zysk firmy w zeszłym roku wyniósł 3 mld 688 mln zł wobec 2 mld 870 mln zł rok wcześniej, co oznacza wzrost o 28 proc., i nie jest to wzrost symboliczny, tylko taki, który w twardych pieniądzach daje ponad 800 mln zł więcej. Niemal połowa zysku pochodziła z aktywów zagranicznych, co pokazuje, że spółka jest globalnym graczem, który zarabia na kilku kontynentach jednocześnie. Całość spina się jeszcze lepiej, gdy dołożymy przychody, które wyniosły 36 mld 366 mln zł, co oznacza wzrost o około 3 proc. rok do roku, czyli niby niewielki, ale w połączeniu z ponad 20-procentowym wzrostem rentowności daje efekt, którego nie powstydziłby się żaden bank.

● Mimo że właśnie okazało się, iż nie jesteśmy 20. gospodarką świata, bo jednak nie przeskoczyliśmy liczącej 9 mln ludzi Szwajcarii, to jednak potęgi światowe gonimy. Tyle że w kategorii niekoniecznie najbardziej Polaków cieszącej. Bo według danych Eurostatu poziom cen w Polsce osiągnął już około 72 proc. średniej unijnej, podczas gdy jeszcze kilka lat temu było to wyraźnie poniżej 70 proc. To zaś oznacza miliardy złotych więcej wydawanych przez polskie gospodarstwa domowe. Ceny w Polsce sięgają już ponad 60 proc. niemieckiego poziomu, czyli coraz bliżej sytuacji, w której płacimy prawie tyle co nasi zachodni sąsiedzi, ale zarabiamy trzykrotnie mniej. Żywność i napoje bezalkoholowe w Polsce kosztują już około 74 proc. średniej unijnej, co oznacza, że przestaliśmy być tanim krajem nawet w tej podstawowej kategorii. Restauracje i hotele osiągnęły poziom około 75 proc. średniej unijnej, a to oznacza, że wyjście na obiad czy nocleg w hotelu zaczynają być po prostu europejskie. Sprzęt elektroniczny i odzież często kosztują tyle samo co na Zachodzie, a czasem nawet więcej. Wzrost cen nie idzie w parze z równie szybkim wzrostem dochodów. Owszem, wynagrodzenia rosną, ale nie na tyle, aby zniwelować różnicę. W efekcie realna siła nabywcza wielu gospodarstw domowych nie poprawia się tak szybko, jak sugerowałyby to nominalne dane o płacach. Jeśli zatem ceny w Polsce wynoszą już ponad 70 proc. średniej unijnej, a wynagrodzenia wciąż są znacznie niższe niż na Zachodzie, to znaczy, że relatywnie jest u nas drogo. W efekcie Polska przestaje być krajem taniej produkcji i taniego życia, a staje się miejscem, w którym koszty rosną szybciej niż korzyści. A ponieważ proces ten trwa od kilku lat i nic nie wskazuje na to, aby miał się zatrzymać, to można z dużą dozą pewności powiedzieć, że Polska zmierza w kierunku gospodarki, w której ceny będą zachodnie, a dochody nadal środkowoeuropejskie.

● „Polska stała się liderem w zatrudnianiu imigrantów" – brzmi dumnie w nagłówkach i raportach, które z lubością cytują politycy i eksperci. „Jesteśmy bardziej otwarci niż Niemcy, szybsi, sprawniejsi i skuteczniejsi" – dodają, pokazując wykresy i procenty. Z zestawień zaś wynika, że w Polsce pracuje dziś ok. 1,5–1,7 mln cudzoziemców, przy czym liczba ubezpieczonych w ZUS przekroczyła 1,1 mln osób, a jeszcze w 2015 r. było to niespełna 200 tys. osób. W tym samym czasie udział cudzoziemców w rynku pracy sięgnął ok. 5 proc. W wielu krajach Europy Zachodniej ten wskaźnik rośnie wolniej, mimo że gospodarki te są większe i bogatsze. W Niemczech, które uchodzą za kraj otwarty na migrację zarobkową, liczba pracujących cudzoziemców wynosi wprawdzie kilka milionów, ale w tempie przyrostu Polska wyprzedza ich wyraźnie. Od 2022 r. liczba przyjeżdżających do Polski imigrantów przekracza 300 tys. rocznie. Jeszcze w 2013 r. było to zaledwie 47 tys., próg 100 tys. rocznie przekroczony został w 2016 r., a 200 tys. w 2021 r. – stoi w raporcie OECD. Na świecie większej od Polski imigracji doświadczyły w 2023 r. tylko Niemcy – 1,74 mln, USA – 1,2 mln, Hiszpania – 1,1 mln, Japonia – 620 tys., Kanada – 472 tys., Włochy – 378 tys. i Korea Południowa – 480 tys. Wygląda więc, że doszlusowaliśmy choć w jednej dziedzinie do światowych potentatów. Skąd ten pęd do pracy w Polsce? Stąd otóż, że średnie wynagrodzenie w Polsce wynosiło w 2025 r. około 9100 zł brutto, tymczasem w Ukrainie przeciętna pensja to około 2200 zł, czyli ponad trzy razy mniej. W Mołdawii czy Uzbekistanie różnice są jeszcze większe. To oznacza, że pracownik przyjeżdżający do Polski może zarabiać mniej niż Polak i wciąż być zadowolony, bo w swoim kraju zarobiłby kilkukrotnie mniej. Dla pracodawcy oznacza to, że można płacić mniej i wciąż mieć chętnych do pracy. W efekcie płace przestają rosnąć tak szybko, jak mogłyby. Liczby nie pozostawiają złudzeń. W ciągu kilku lat Polska przeszła drogę od kraju emigracji do masowego zatrudniania cudzoziemców. I zrobiła to szybciej niż większość Europy. Tylko że za tym sukcesem kryje się model, w którym koszty pracy są systematycznie ściskane, a presja na pracowników rośnie.

● Nie tylko zresztą imigracyjna – geriatryczna również. Bo liczba pracujących emerytów w Polsce przekroczyła już 870 tys. osób, co oznacza wzrost o ponad 50 proc. w ciągu zaledwie kilku lat. Innymi słowy, jeśli jeszcze niedawno pracujący staruszek był raczej wyjątkiem, to dziś staje się normą. Średni wiek pracującego emeryta wynosi obecnie 67,5 roku, przy czym mężczyźni pracują średnio do 69,2 roku, a kobiety do 66,3 roku. Czyli znacznie dłużej, niż wynikałoby to z ustawowego wieku emerytalnego. I nie jest to efekt nagłego zamiłowania do pracy po sześćdziesiątce, tylko wynik bardzo konkretnego rachunku ekonomicznego, który wielu seniorów musi sobie zrobić. Bo przeciętna emerytura w Polsce w przypadku mężczyzn to średnio 4674,51 zł brutto, a wiele osób otrzymuje znacznie mniej. Tymczasem koszty życia rosną, a rachunki nie pytają o legitymację emerycką. Seniorzy łączą świadczenie z dodatkowymi dochodami, często podejmują pracę w niepełnym wymiarze albo w mniej wymagających zawodach, czyli za mniejsze stawki. Dzięki temu mogą podreperować domowy budżet i podreperować zyski pracodawców. W efekcie Polska zaczyna przypominać kraj, w którym emerytura nie jest końcem aktywności zawodowej, tylko jej kolejnym etapem. I bez podniesienia wieku emerytalnego, system działa dokładnie tak, jak został zaprojektowany.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

● Około 300 osób, od miesięcy żyje w stanie zawieszenia, bo choć formalnie wciąż są zatrudnieni w łódzkiej spółce Aquinos Bedding Poland, to od stycznia 2025 r. nie pracują i nie dostają wynagrodzenia, które zgodnie z przepisami powinno wynosić 80 proc. pensji w czasie postoju, a które najpierw zaczęło się spóźniać, by w końcu całkowicie zniknąć. Zakład, który przez trzy dekady produkował materace, najpierw jako Recticel, później jako Sembella, a następnie trafił w ręce portugalskiego inwestora, był wygaszany powoli, aż w połowie 2025 r. urwał się kontakt z pracodawcą, a setki ludzi nie mają od kogo doprosić się dokumentów, które pozwolą im szukać nowej roboty, czy iść na chorobowe albo do pośredniaka. Człowiek, który przepracował ponad ćwierć wieku, płacił składki i podatki, w jednej chwili został bez prawa do zasiłku, bez możliwości przejścia na świadczenie przedemerytalne i bez szansy na legalne podjęcie nowej pracy. Na spotkaniu zorganizowanym przez senatora Krzysztofa Kwiatkowskiego pracownicy opowiadali o swojej sytuacji. Co samo w sobie jest aberracją. Bo oto przedstawiciel władzy organizuje spotkanie, na którym słyszy, że skoro przez kilkanaście miesięcy nikt nie jest w stanie wyegzekwować najprostszych procedur od firmy, nie da się ustalić, gdzie są jej dokumenty i kto odpowiada za wypłaty wynagrodzeń, to znaczy, że reprezentowanego przez senatora państwa nie ma. Wszak nie mówimy o katastrofie naturalnej ani o nagłym kryzysie, tylko o sytuacji, która rozwijała się od połowy 2025 r., gdy urwał się kontakt z pracodawcą, przez kolejne tygodnie niewypłacanych wynagrodzeń aż po dzisiejszy stan, w którym ludzie funkcjonują poza systemem, który miał być dla nich gwarancją bezpieczeństwa, a zamiast tego przysyła swojego przedstawiciela na pogawędki.

TTJ

eprasa.pl 1638912431

Czas przestać mylić aptekę z supermarketem

Niewidzialna ręka nie poda leku

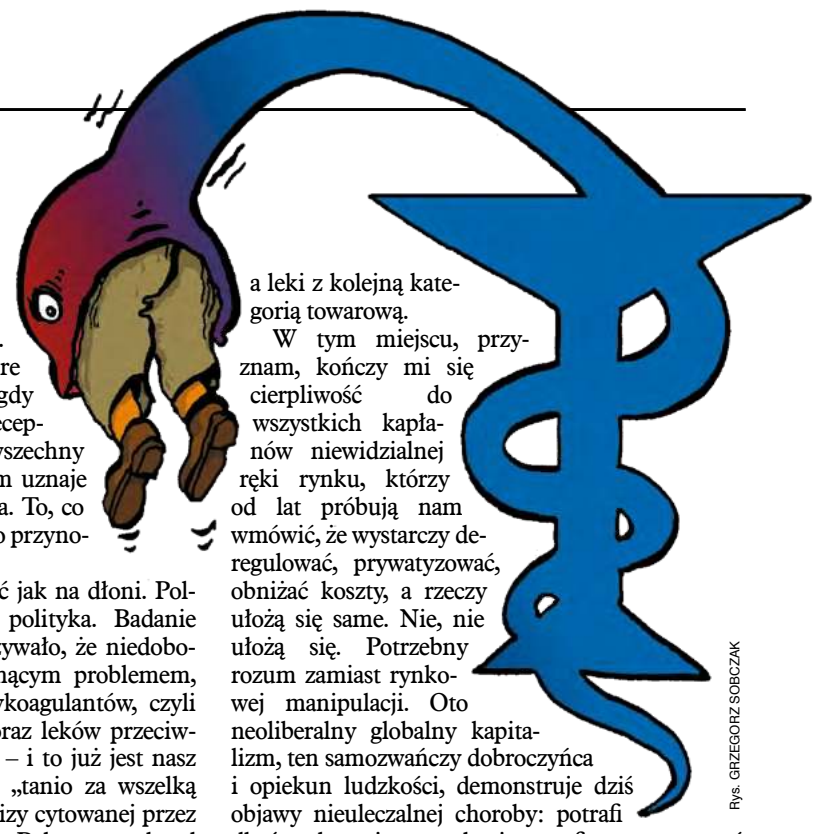

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Dziś, uśpiony bajeczką o mądrości rynku, jego rzekomej przewidywalności, jego podobno anielskiej zdolności do samonaprawy, śpisz sobie spokojnie. Śpisz, bo wmówiono ci, że skoro wszystko da się kupić, to wszystko zawsze da się też dowieźć; że skoro aplikacja pokazuje ciężarówkę z kebabem za siedem minut, to i antybiotyk dla dziecka przyjdzie jak po sznurku. Ja jednak proponuję małe przebudzenie, niezbyt przyjemne, ale za to zdrowe jak zimna woda o szóstej rano.

Tanio znaczy drogo

Wyobraź sobie scenę tak zwyczajną, że aż prawie niewidzialną. Człowiek idzie do apteki po coś tak banalnego, że aż wstyd robić z tego narodowy dramat: antybiotyk dla dziecka, lek przeciwzakrzepowy dla ojca, tabletkę na cukrzycę dla matki. I wtedy słyszy słowo, które w logice rynku brzmi technicznie, prawie elegancko, bo pachnie logistyką, łańcuchem dostaw i innymi świętymi kadzidłami współczesnej ekonomii, a w języku życia jest po prostu groźne: brak!

Pusta półka tego wyobrażonego dnia nie jest jednak żadnym wypadkiem przy pracy, żadnym drobnym potknięciem wielkiej handlowej maszyny. Jest rachunkiem wystawionym za długie lata wiary, że zdrowie można organizować dokładnie tak samo jak handel trampkami, śrubkami albo telewizorami z promocji „tylko dziś, tylko dla pani, tylko do wyczerpania zapasów".

Bo jak jest – co właściwie zrobiliśmy? Oddaliśmy bezpieczeństwo lekowe logice, którą dałoby się streścić jednym hasłem z taniego podręcznika neoliberalizmu: wszystko ma być „najtaniej i najszybciej". Europejski Komitet Ekonomiczno-Społeczny pisał wprost, że nawet do 80 proc. substancji czynnych używanych w Europie i około 40 proc. gotowych leków sprzedawanych na europejskim rynku pochodzi z Chin albo Indii. Jacques Delors Institute przypomina z kolei skalę koncentracji: Chiny i Indie produkują razem około 60 proc. światowego paracetamolu, 90 proc. penicyliny i połowę ibuprofenu. No więc wybaczcie, ale to nie jest już żaden „globalny łańcuch dostaw". To jest elegancka, wyprasowana i perfumowana nazwa dla zależności. Takiej zwyczajnej, twardej, upokarzającej zależności, w której człowiek w Warszawie, Radomiu albo Pcimiu Dolnym czeka na to, czy w Shenzhen, Szanghaju albo Gudźaracie coś ruszy, coś wypłynie, coś dojedzie i ktoś łaskawie wystawi fakturę.

Druga scena: gabinet księgowego, nie laboratorium. Wiem, brzmi brutalnie, ale to właśnie tam najczęściej zapadają decyzje, od których potem komuś drży ręka nad receptą. Produkcja substancji czynnych – API, czyli *active pharmaceutical ingredients*, a po ludzku: aktywne składniki leków – odpływała z Europy nie dlatego, że Azja miała jakieś magiczne probówki, filozoficzny kamień farmacji albo lepszych alchemików. Odpływała dlatego, że miała tańszą pracę, tańszą energię i łagodniejsze przepisy środowiskowe. Europejski Komitet Ekonomiczno-Społeczny, znany także pod angielskim skrótem EESC, zauważa, że wdrożenie produkcji jednej substancji czynnej w Europie może kosztować od 50 do 180 mln euro i zająć od trzech do sześciu lat. A kiedy polityka zakupowa każe wybierać wyłącznie najniższą cenę, wynik jest tak przewidywalny, że aż nudny: według Medicines for Europe w ciągu dekady z europejskich rynków zniknęło średnio 26 proc. zamienników, zwykle tańszych leków generycznych, a 69 proc. tych, które zostały, ma już tylko jednego albo dwóch dostawców. Rynek nazwał to efektywnością. Ja, wybaczcie, nazwę to po imieniu: pacjent widzi w tym nie efektywność, lecz zdradę.

W Excelu się zgadza

Trzecia scena jest jeszcze smutniejsza, bo obnaża całą śmieszność rynkowej opowieści o „dywersyfikacji". Słyszymy czasem ten ton mądrali z telewizora: dobrze, odejdziemy od „komunistycznych" Chin i oprzemy się na Indiach, przecież to „apteka świata". No więc przyjrzyjmy się tej aptece świata, ale bez romantycznej otoczki. Ta „apteka" w dużej mierze stoi na chińskiej chemii. Indyjski Departament Farmaceutyków od lat wskazuje silną zależność od dostaw chińskich, a w 2026 r. rząd w Delhi opublikował listę substancji czynnych, dla których import z Chin przekraczał 70 proc. indyjskich zakupów. Zależność biegnie zresztą jeszcze głębiej: przez rozpuszczalniki, odczynniki i pośrednie komponenty chemiczne. Innymi słowy: Zachód nie tyle uciekł od chińskiej zależności, ile schował ją sobie za indyjską etykietą i jeszcze triumfalnie ogłosił sukces.

Czwarta scena: urząd patentowy. Tu dopiero widać, jak system potrafi zamienić konkretny sukces nauki w prywatny zawór z życiem. Europejski patent trwa zasadniczo 20 lat od daty zgłoszenia, a dodatkowe świadectwo ochronne (SPC) może wydłużyć monopol jeszcze o maksymalnie pięć lat. Dla nas oznacza to do 25 lat maksymalnej ceny leku i ograniczonej dostępności.

Oczywiście badania i wdrożenia kosztują, nikt rozsądny nie będzie udawał, że lek spada z nieba razem z deszczem. Ale problem zaczyna się wtedy, kiedy lek ratujący życie przestaje być dobrem publicznym, a staje się prywatnym kurkiem, który ktoś odkręca i zakręca zgodnie z bilansem kwartalnym, nastrojem akcjonariuszy i temperaturą słupków w Excelu. To wkurza. Zwłaszcza że – jak przypomina Jacques Delors Institute – część badań jest współfinansowana ze środków publicznych, podczas gdy owoce tej pracy system prywatyzuje z bezczelną elegancją.

Tu ktoś rozsądny, a może tylko dobrze wychowany, wtrąci kontrapunkt: ale przecież rynek dał nam innowacje, a po wygaśnięciu patentów – tanie generyki. Owszem, dał. Tylko że jest to prawda połowiczna, a prawda połowiczna bywa gorsza od kłamstwa, bo nosi kostium prawdy, mówi niskim profesorskim głosem i lubi wykresy. Potem następuje druga część historii:

kiedy lek tanieje, robi się dla wielkich graczy mało atrakcyjny. Utrzymywanie produkcji, certyfikatów, dokumentacji i zgodności jakościowej przestaje się spinać, więc stare, potrzebne, codzienne leki są wycofywane albo zostają z jednym dostawcą.

Delors Institute opisuje ten mechanizm bez pudru: niektóre nadal chętnie stosowane i skuteczne produkty są permanentnie wycofywane z rynku przez producentów, którzy uznają je za niewystarczająco rentowne. I tu właśnie wychodzi na jaw kapitalistyczny paradoks dotyczący zdrowia. To jeden z tych paradoksów, które są śmieszne tylko do momentu, gdy człowiek sam nie potrzebuje recepty: im bardziej lek staje się powszechny i niezbędny, tym łatwiej system uznaje go za niegodny zainteresowania. To, co ratuje życie, przegrywa z tym, co przynosi wyższe dochody.

W Polsce ten paradoks widać jak na dłoni. Polska mentalna taniocha jako polityka. Badanie opublikowane w 2020 r. pokazywało, że niedobory leków były już wtedy rosnącym problemem, szczególnie w przypadku antykoagulantów, czyli leków przeciwzakrzepowych, oraz leków przeciwcukrzycowych. A jednocześnie – i to już jest nasz rodzimy majstersztyk polityki „tanio za wszelką cenę" – według branżowej analizy cytowanej przez MedExpress produkcja leków w Polsce wzrosła od 2019 r. o około 45 proc., ale udział krajowych firm w wartości rynku spadł do około 33 proc. w 2025 r., a ceny leków generycznych w Polsce były około 35 proc. niższe od średniej europejskiej. Czyli produkujemy więcej, zarabiamy relatywnie mniej, bezpieczeństwa lekowego nadal nie mamy, ale za to można wyjść na firmową konferencję i powiedzieć z uśmiechem, że jesteśmy konkurencyjni. To trochę tak, jakby człowiek chwalił się, że kupił bardzo tani samochód, który co prawda nie rusza, ale za to pali oszczędnie. Tania tabletka bywa oczywiście błogosławieństwem dla portfela. Kłopot w tym, że kiedy cała polityka zdrowotna jest redukowana do radości z najniższej ceny, taniość przestaje być sukcesem społecznym, a staje się receptą na przyszły kryzys.

Państwo, nie rynek

A nad tym wszystkim unosi się już nie tylko ekonomia, ale geopolityka. Eksperci ostrzegają wprost, że łańcuchy dostaw leków mogą stać się narzędziem presji i szantażu. I nie chodzi tylko o gotowe tabletki czy ampułki. W USA i Europie produkcja sterylnych leków generycznych jest jeszcze częściowo rozproszona, ale prawdziwe ryzyko siedzi głębiej: w chemicznych prekursorach, pośrednich składnikach i substancjach czynnych. Innymi słowy, w XXI w. można dławić przeciwnika nie tylko gazem, ropą czy półprzewodnikami. Można go dusić także antybiotykiem, którego nagle nie ma. Można prowadzić politykę nie czołgiem, tylko brakiem ampułki. I jeśli komuś się to wydaje przesadą, to znaczy, że za długo mylił aptekę z supermarketem, a leki z kolejną kategorią towarową.

W tym miejscu, przyznam, kończy mi się cierpliwość do wszystkich kapłanów niewidzialnej ręki rynku, którzy od lat próbują nam wmówić, że wystarczy deregulować, prywatyzować, obniżać koszty, a rzeczy ułożą się same. Nie, nie ułożą się. Potrzebny rozum zamiast rynkowej manipulacji. Oto neoliberalny globalny kapitalizm, ten samozwańczy dobroczyńca i opiekun ludzkości, demonstruje dziś objawy nieuleczalnej choroby: potrafi dbać o własny interes, ale nie potrafi zagwarantować człowiekowi, że dostanie lek wtedy, kiedy ten lek jest potrzebny, a nie wtedy, kiedy pasuje to rynkom.

Ochrona zdrowia nie może być segmentem rynku. Jest infrastrukturą życia, tak samo podstawową jak wodociągi, energetyka czy transport. Tego nie da się zostawić wyłącznie konkurencji cenowej i nadziei, że „jakoś to będzie", bo „jakoś" to można urządzać wnętrze kawiarni albo premierę nowego jogurtu, ale nie system dostępu do leków.

Potrzebne jest planowanie. Potrzebne są publiczne rezerwy, zakupy od wielu dostawców zamiast jednego najtańszego, wspieranie produkcji leków krytycznych w kraju i w Europie – a tam, gdzie trzeba, także niekomercyjna produkcja publiczna.

Zresztą takie pomysły – przetargi o wielu kryteriach, europejskie przedsięwzięcia niekomercyjne – wracają do debaty. I nie dlatego, że ktoś nagle pokochał etatyzm, tylko dlatego, że rzeczywistość wystawiła rachunek neoliberalnej religii, a ten rachunek, jak to rachunek, nie daje się zagadać korporacyjnym sloganem.

Puenta jest więc prosta, choć nieprzyjemna. Rynek świetnie umie wycenić swoje koszty, ale nie umie wycenić naszych – naszego ryzyka i naszego strachu, kiedy w aptece słyszymy, że „nie ma". Bo rynek dba o swoje interesy – nie o nasze. A skoro nie chce policzyć tego, co najważniejsze, to nie powinien decydować. W sprawach zdrowia niewidzialna ręka rynku zbyt często okazuje się ręką, która po prostu nie poda leku.

ANNA GRODZKA

Dobijanie systemu

SŁOWO CZERWONE

Czemu rząd oszczędza na leczeniu biednych

Dziennikarz zapytał mnie, dlaczego rząd nic nie robi z kryzysem w służbie zdrowia. A nawet przeciwnie: jeżeli coś robi, polega to na oszczędzaniu. Drogi sprzęt kupowany za bajońskie pieniądze leży odłogiem, bo NFZ ma węża w kieszeni.

W szpitalu w Puławach ograniczono miesięczną liczbę badań rezonansem magnetycznym z 800 do 100. Pani minister Jolanta Sobierańska-Grenda coś opowiada o pierwszeństwie dla pacjentów onkologicznych. Tymczasem chirurg ze szpitala w Rykach pyta: „Jak mamy odkryć, czy pacjent ma raka, jeśli mu się nie zajrzy do jelit, żołądka, przełyku?". Czyli żeby ustalić, czy pacjent jest onkologiczny, trzeba wykonać to badanie, którego pacjentom się odmawia.

Przecież – pyta dziennikarz – takie lekceważenie potrzeb medycznych Polaków będzie dużo kosztować politycznie?

W moim przekonaniu jest to część szerszego planu demontażu publicznej służby zdrowia i komercjalizacji – jako wstęp do prywatyzacji. Zmniejszenie liczby zabiegów na NFZ oznacza zachętę do wykonywania badań prywatnie. Ludzie mają się przyzwyczaić, że za leczenie się płaci. W kraju, gdzie lekarz na kontrakcie może zarobić 200–300 tys. zł, trudno się spodziewać czegoś innego niż prywatyzacji. Czyli że przeżyją i będą leczeni bogaci. Biedni – niekoniecznie.

Propagandyści prywatyzacji gardłują o tym, że nie ma sensu „dosypywać więcej pieniędzy" do „systemu, który jest niewydolny". Mamy jedną z najniższych składek zdrowotnych w UE – ale koncerny medyczne, sponsorujący główne partie, lobbują za tym, żeby system ochrony zdrowia upadł. Na płacenie setek tysięcy złotych elicie lekarskiej są pieniądze, ale na rezonans dla pacjentów nie ma. Ci, którzy sponsorowali wyborczą imprezę prezydenta Warszawy Campus Polska, udowadniają, że publiczna służba zdrowia to wydmuszka, którą trzeba zaorać, bo jak człowiek poważnie zachoruje – musi bulić.

Mój przyjaciel mieszka w Pradze. Kiedy jego narzeczona zachorowała, chciał ją leczyć prywatnie, żeby było szybciej i może lepiej. Tylko że w Republice Czeskiej prywatna służba zdrowia nie istnieje, bo publiczna radzi sobie na tyle dobrze, że na rynku na prywatną nie ma miejsca. Dlaczego? Bo tam składka zdrowotna jest wyższa niż u nas. W Czechach składka wynosi 13,5 proc. – a u nas 9. Jest też drobna opłata za wizytę, która odstrasza chorych z urojenia.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Obrońcy zawrotnie wysokich pensji części lekarzy twierdzą, że to był jedyny sposób, żeby lekarze zechcieli pracować w publicznych placówkach. To wierutne kłamstwo, bo większość lekarzy zarabia średnio albo wręcz skromnie i jakoś nie porzucają masowo pracy.

W ramach dyskusji o waloryzowaniu płac w służbie zdrowia dowiadujemy się, że płace te rosnąć będą w tempie wzrostu płacy średniej, a praktyka stosowania ustawy – tj. podwyżek dla wszystkich, a nie tylko minimalnych pensji – powoduje, że waloryzowane są także wysokopłatne kontrakty. A zatem żeby podwyższyć pensję źle opłacanemu lekarzowi na prowincji, trzeba dołożyć parędziesiąt tysięcy krezusom kontraktowym. Tę praktykę – bo nie jest to podyktowane prawem – można by zmienić, gdyby pozwoliło na to lobby prywatyzacyjne, sama pani minister i medyczny sektor prywatny. To oni dyktują reguły gry, które mówią: dodać bogaczom i obciąć świadczenia. Na wysokie kontrakty dla pieszczochów mamy coraz więcej, a na badania rezonansowe, porodówki, programy lekowe itp. – coraz mniej.

Prywatyzacja służby zdrowia już się zaczęła. Kiedy minister – ten anioł śmierci – obcina liczbę świadczeń medycznych i odsyła pacjentów do sektora prywatnego, to widoczny sygnał, że rząd chce takiej transformacji.

Demontaż toczy się na naszych oczach. A ludzie są przekonywani, że po to, by ratować bliskich, trzeba się udać do lombardu i zastawić obrączki, albo wziąć kredyt pod hipotekę domu czy mieszkania.

Hasło „nie dosypywać do systemu" ma zapobiec poprawie. Chodzi o to, by system, w którym są dziś 23 mld deficytu, już się nie podniósł. Im więcej odmów leczenia, diagnozy, świadczeń medycznych – tym łatwiej o przyzwolenie na prywatyzację.

Lekarze są normalni i jak przychodzi chory, to go badają i leczą. Stąd nadwykonania – bo Polska, która nigdy nie była tak bogata, skąpi na leczenie swoich obywateli i wprowadza limity. Niestety, ludzie chorują częściej, niż przewiduje limit. Tak zadłużają się szpitale: za karę, że leczą chorych ludzi. Premier i pani minister usiłują nas przekonać, że leczenie tych ponadlimitowych pacjentów jest ekonomicznie nieracjonalne. Racjonalniej jest ich odsyłać z kwitkiem.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 1638912431

Cyfrowy carat pod wezwaniem świętego PIP-a

Wrogiem klasy robotniczej jest dziś państwo

Towarzysze, coś żeśmy przegapili. I to nie drobiazg, tylko cały słup ogłoszeniowy z napisem „tu jest problem", który ktoś nam przestawił za plecy.

Oglądałem ostatnio w internecie kanał Piotra Ikonowicza. Piotr, jak to on, wlazł na swojego ulubionego czerwonego konia. Przesłuchiwał taksówkarza. Człowiek ten, „zjebany" przez korporację, nie miał płaconego ZUS-u. A że los bywa złośliwy, taksówkarz zachorował na raka. Śmiertelnego, żeby nie było wątpliwości, że stawka jest wysoka.

Ikonowicz rzuca się do gardła korporacji. Bo spóźnili się z papierkiem o dwa tygodnie! Bo nie przelali składki do ZUS! Widzi w tym zbrodnię prywatnego wyzysku i już ostrzy kosę na prezesa firmy „Taxi-Szwindel".

Ale red. Ikonowicz w tym swoim rewolucyjnym zapale nie zauważył jednego: to nie korporacja odmawia temu człowiekowi chemioterapii. To nasze państwo mówi umierającemu: „Nie masz pieczątki z czternastu dni? To zdychaj pod płotem, tylko nie zastawiaj chodnika". Ikonowicz nie widzi, że to system ubezpieczeń zabija człowieka z powodu błahego uchybienia terminowego.

Nowy przeciwnik

Świat się zmienił. Kiedy ostatni raz słyszeliście o prawdziwym strajku z przyczyn ekonomicznych? Jeśli dobrze poszperać w pamięci, wychodzi na to, że było to podejrzanie dawno. Konflikt między zatrudniającym a zatrudnionym oczywiście nie zniknął, ale przy obecnej złożoności świata obaj wiedzą, że są od siebie zależni. Firma się posypie – utoną razem.

My, propaństwowcy, wychowani w przekonaniu, że państwo jest dla dobra obywatela, nie zauważyliśmy, jak zmieniło charakter. Kiedyś było usługodawcą. Dziś wykształciła się nowa klasa społeczna: oligarchia świetnie opłacanych administratorów. To obrośnięta benefitami kasta, która uważa, że społeczeństwo ma obowiązek ich utrzymywać z samego tylko tytułu sprawowania władzy. Zatarła się podstawowa różnica: między interesem społecznym a interesem instytucji. O ile dla pracodawcy robotnik jest wciąż realnym bytem, o tyle dla urzędnika skarbowego, ZUS-u i tych innych organów na trzy litery obywatel to tylko pozycja w Excelu. Państwo przestało widzieć człowieka – widzi jedynie płatnika, który jest mu coś winien.

Państwo nie powściąga dziś kapitalisty. Z nim się raczej układa. Burżuj dostanie dotację, wjedzie w specjalną strefę ekonomiczną, gmina dociągnie mu drogę pod samą halę, a gdy coś się rozjedzie w papierach, znajdzie się tryb, żeby zaległości „uporządkować". Kapitalista to przeciwnik wymagający, uzbrojony w armię prawników i księgowych, zdolny do kontrataku. Z takim nie walczy się dla punktów. Jednak państwo, jak każda sprawna machina do mielenia ludzkiego mięsa, musi mieć wroga. Inaczej rdzewieje.

Generałowie od faktur

Jakoś nikt nie podniósł larum, gdy w 2017 r. PiS przerobił Krajową Administrację Skarbową na formację quasi-wojskową. Nagle urzędnicy wskoczyli w mundury, przypięli sobie oficerskie szarże (inspektorów) i zaczęli bawić się w armię.

Komu to miało służyć? Obywatelowi? Wolne żarty. To służy wyłącznie państwu. Mundur dodaje powagi nawet największemu idiocie. Armia przebierańców musi przecież na kimś trenować swoją skuteczność, mieć kogo rzucać na pożarcie statystykom, żeby na koniec kwartału wykręcić premie.

Więc wybór pada na tych mniejszych. Na współczesnych wolnych najmitów – jednoosobowe działalności gospodarcze. Tych, którzy formalnie są przedsiębiorcami, a faktycznie często po prostu próbują przeżyć między fakturą a terminem płatności. W rejestrach jest ich ponad cztery i pół miliona, z czego aktywnych dwa i pół*. Idealna masa krytyczna: rozproszona, słabo zorganizowana, bez wspólnej reprezentacji.

Niektórzy z nas jeszcze pamiętają, że żyliśmy w państwie autorytarnym. Rzeczywiście, paszport leżał w szufladzie na komendzie, tuż obok kajdanek. Był obowiązek pracy, więc nieróbstwo było nielegalne. Dzisiaj, w dobie wolnego rynku, gdzie jedyną pewną rzeczą jest niepewność jutra, brzmi to niemal jak opis rajskiego dobrodziejstwa. A jeśli ktoś uważał wtedy, że monarchia to szczyt cywilizacji albo że sekretarz to chuj, to rzeczywiście cierpiał katusze z powodu braku wolności słowa, bo nie mógł o tym głosić kazań na Placu Defilad.

Jednak szczerze: był to autorytaryzm oświecony, a co najważniejsze – uroczo niekonsekwentny i nieporadny. Owszem, Michnik z Kuroniem siadywali w więzieniach, jednak większość ludzi takich „atrakcji" nie doświadczała. Dla przeciętnego Polaka największym przejawem opresji był brak sznurka do snopowiązałek i papieru toaletowego.

Obecnie konstruowany system opresji to już nie są te siermiężne czasy, gdy dzielnicowy musiał pofatygować się osobiście, żeby sprawdzić, co obywatel trzyma pod łóżkiem. Dziś mamy totalitaryzm cyfrowy, oparty na technologii i centralizacji, która pozwala państwu zaglądać ci w tyłek bez znieczulenia. Zdrowy rozsądek został wygnany z urzędów jako element wywrotowy.

Inkwizycja 2.0

Władza buduje systemy, które służą wyłącznie samej władzy. Głównym wrogiem tego układu stał się nieszczęśnik na tak zwanej Jednoosobowej Działalności Gospodarczej. To współczesny galernik nieznający pojęcia urlopu, chorobowego czy wolnego weekendu.

Urzędnik nie musi już nikogo bić – od tego ma algorytm. Wystarczy jedno kliknięcie i blokada konta, bo system „wykrył nieprawidłowość" w 17. załączniku do deklaracji VAT. I wtedy ten nowoczesny pańszczyźniany tytan, ten rzekomy „pan na swoim" na JDG, zostaje bez grosza przy duszy,

podczas gdy armia administratorów w klimatyzowanych biurach siorbie kawę opłaconą z jego składek. To jest opresja sterylna, bezkrwawa i całkowicie nieludzka.

Chcecie więcej przykładów? Proszę bardzo. Weźmy ten znienawidzony KSeF, czyli Krajowy System e-Faktur. Oficjalnie – dla „uszczelnienia systemu". Czy KSeF rozbije piramidy VAT-owskie, zbudowane na spółkach widmach, doradcach i międzynarodowych przepływach? Nie. Tam, gdzie są miliony, są też ludzie, którzy wiedzą, jak się po nich poruszać.

Rys. JANUARY

Ten system dowali komuś zupełnie innemu. To jest bicz ukręcony na panią, która na targu sprzedaje pietruszkę. To jest cios w mechanika, który po ośmiu godzinach siedzenia w kanale, z rękami uwalonymi smarem po łokcie, ma zasiąść przed monitorem i toczyć nierówną walkę z ePUAP-em. Wyobraźcie sobie tego człowieka: oczy mu łzawią od oparów benzyny, palce ma sztywne od kluczy, a państwo mu mówi: „Zaloguj się, bratku, potwierdź profil zaufany i wyślij nam fakturę za wymianę uszczelki, bo inaczej uznamy cię za wroga publicznego". To jest nieszczęście dla milionów ludzi.

Albo weźmy np. takiego fotografa, który kupuje drona, żeby robić zdjęcia dachów czy wesel z lotu ptaka. Dla urzędnika skarbowego, którego horyzont myślowy kończy się na zakurzonym segregatorze, to nie jest żaden koszt uzyskania przychodu, tylko czysta fanaberia. „A po co panu to latające gówno? Przecież pan jest fotografem, a nie pilotem myśliwca!" – usłyszy taki nieszczęśnik. I zaczyna się przesłuchanie.

Teologia fryzury

Takich przesłuchań i upokarzających korowodów mamy już w tym kraju tysiące. Polecam lekturę tzw. interpretacji podatkowych Krajowej Administracji Skarbowej. To jest fascynująca literatura faktu, w której armia urzędników, opłacana z naszych podatków, pochyla się z namaszczeniem nad problemami godnymi bizantyjskich teologów.

Na przykład: czy nieszczęśnik prowadzący kanał na YouTubie może wliczyć w koszty wizytę u fryzjera, aby obniżyć podstawę opodatkowania? I zaczyna się proces myślowy na miarę Nobla z dziedziny absurdu. Urzędnik analizuje, czy fryzura influencera jest „niezbędna do zabezpieczenia źródła przychodów", czy może jednak jest tylko próbą okradzenia ojczyzny na całe 30 zł.

To nie koniec festiwalu kuriozów. Mamy przecież „białą listę" podatników VAT, obowiązkowy split payment i wreszcie te słynne Jednolite Pliki Kontrolne – które niczemu i nikomu nie służą, nawet samemu aparatowi skarbowemu. Te wszystkie wynalazki mają jeden nadrzędny cel: wywołać stan permanentnego zastraszenia. Chodzi o to, by w świadomości obywatela, od świtu do nocy, siedział niewidzialny komisarz państwa ucisku. To nie jest uszczelnianie systemu – to jest tresura.

PIP w roli Boga

Moje pretensje mają teraz bardzo konkretny powód. Otóż – Jezus Maria – lewica coś wypichciła, a Nawrocki przyklepał: nowelizację przepisów o tzw. umowach cywilnoprawnych. Ministerka Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, z miną zbawicielki ogłosiła, że to „dobra wiadomość dla milionów pracowników", że państwo wreszcie stanie po ich stronie. Można by uwierzyć, gdyby nie szczegół: ta ustawa nie rozwiązuje problemu, o którym tak uroczyście opowiada. Jeśli pani minister ją czytała, to najwyraźniej nie zrozumiała.

Problem śmieciówek wcale nie dotyczy w pierwszym rzędzie samozatrudnionych. Ci, wbrew legendom, płacą składki, podatki. Śmieciówki to przede wszystkim domena pracy okazjonalnej, nieregularnej, z doskoku. I tego problemu nikt tu nie rusza.

Owszem, istniało i istnieje zjawisko fikcyjnego samozatrudnienia – sytuacji, w której umowa cywilna jest tylko dekoracją dla faktycznego stosunku pracy. Tyle że instrumenty do walki z tym zjawiskiem już były. Można było iść do sądu, można było wykazać, że coś jest pozorne. Nowa ustawa w dużej mierze przepisuje je na nowo. Czasem niemal słowo w słowo. Różnica polega na czymś innym.

Na scenę wchodzi Państwowa Inspekcja Pracy z nowym uprawnieniem. Urzędnik będzie mógł zakwestionować umowę cywilną i dopiero potem sprawa trafi do sądu – w zasadzie w tym samym trybie co dotychczas.

Po co to wszystko? Ano po to, żeby PIP-owiec w biurze się nie nudził. Wyobraźcie sobie: siedzi przed monitorem, dłubie w nosie i nagle – olśnienie! Zauważa sześć faktur od tego samego podmiotu wystawionych z rzędu, miesiąc w miesiąc. W jego móżdżku zapala się czerwona lampka. Czuje słodki przypływ władzy. Rusza do akcji, żeby jebać przedsiębiorcę za to, że ten śmie mieć stałego klienta i stabilne zlecenie. To nie jest żadna ochrona pracownika. To jest zinstytucjonalizowany sadyzm dla poprawy statystyk. A jeżeli ktoś się nie zgodzi, to PiP-owiec poprosi o konsultację skarbówkę.

Totalitaryzm domknięty

Czy ta centralizacja wszechwładzy, ten brak jakiejkolwiek odpowiedzialności urzędniczej za dane wypluwane przez systemy informatyczne oraz całkowita niesprawność sądów, do których dostęp jest dziś luksusem dla cierpliwych, stanowią problem? Na razie większość wzrusza ramionami, bo nad tą szaleńczą administracją panują jeszcze politycy w miarę liberalni, którzy przynajmniej udają, że mają jakieś hamulce.

Prawdziwa zabawa zacznie się wtedy, gdy ten gotowy, domknięty system cyfrowej i urzędniczej opresji przejmie kolejna ekipa narodowych katolików spod znaku bicia dzieci i tropienia „tęczowej zarazy".

Wtedy dostaniemy nowożytne państwo totalne w skali, o jakiej nie śniło się ani carskim żandarmom, ani nawet tym ponurym rzemieślnikom z MSW, których jedynym argumentem była gumowa pałka i podsłuch na korbkę. Dzisiejsi inkwizytorzy mają cyfrowego donosiciela, który wie o tobie więcej niż ty sam po spowiedzi.

ROBERT JARUGA

* Żebyśmy mieli jasność, kogo ta cyfrowa gilotyna ma pozbawić głowy: w rejestrach CEIDG straszy 4,5 mln wpisów JDG, ale to w dużej mierze statystyczna nekropolia. Realnie dycha około 2,5–3 mln jednoosobowych firm. Reszta to martwe dusze. Co roku rodzi się 300 tys. nowych naiwnych, a ćwierć miliona zwija interes, uciekając przed komornikiem lub obłędem. Typowy polski prywaciarz, wyciąga miesięcznie 5–7 tysięcy zł przychodu. To nie jest budżet na willę z basenem, tylko na przetrwanie od pierwszego do pierwszego, z palcem na pulsie i duszą na ramieniu.

Nie wolno kantować

Nie zgadzam się z Jarugą

Redaktor Jaruga zarzuca mi, że stanąłem po stronie pracownika, który w wyniku nieodprowadzenia składki zdrowotnej przez korporację taksówkową miał utrudnione leczenie raka. Fakt nieodprowadzenia składki redaktor zbagatelizował i uznał, że należało uderzyć w ZUS, w lekarzy jako sprawców tej sytuacji, a korporację oszczędzić. Dlaczego? Bo jest prywatna. Państwo jest złe, a oszukujący przedsiębiorca to bohater naszych czasów.

Odmowa leczenia jest wyrazem bezduszności. Poszedłbym nawet dalej. Nie do zaakceptowania jest fakt, że w ogóle są w Polsce ludzie nieubezpieczeni, którym się odmawia leczenia. Przy naszym wielkim dochodzie narodowym – „20. gospodarka świata!" – powinniśmy zapewnić możliwość leczenia wszystkim obywatelom.

Piszę te kilka słów nie dlatego, że czuję się urażony oskarżeniem, że niewłaściwie zaadresowałem swój gniew – ale dlatego, że tekst Roberta Jarugi jest antypaństwowy z zasady i schlebia poglądom ludzi, którzy mają wrogi stosunek do państwa, z jego aparatem fiskalnym i składkowym.

Pogląd, że gospodarka świetnie by funkcjonowała, gdyby nie opresyjne państwo, obowiązuje wśród Grzegorza Brauna i jego akolitów – bo już Sławomir Mentzen dopuszcza istnienie państwa, a nawet ściąganie podatków. Ale nie red. Jaruga, który zarzuca rządowi PiS, że potraktował poważnie ściąganie podatków, a zwłaszcza VAT-u. Okradanie państwa na podatkach Jaruga zdaje się uważać za akceptowalną formę rozwijania przedsiębiorczości. Najlepiej zresztą, żeby pracownik z pracodawcą okradali państwo do spółki.

Ustawa zwiększająca uprawnienia Państwowej Inspekcji Pracy red. Jarudze się nie podoba – choć oszukiwanie, że umowy są „cywilnoprawne" kosztuje budżet państwa co najmniej 2,5 mld zł rocznie. Nie jest dziełem przypadku, że poparł ją minister finansów. Z badania ADP przeprowadzonego wśród 32 tys. pracowników z 17 krajów wynika, że 88 proc. Polaków woli pracę na etacie.

Robert Jaruga twierdzi, że strajków płacowych nie ma; mało brakuje, aby ogłosił, że nie ma też wyzysku. W rzeczywistości niewiele tych strajków jest, ale jednak się – nieśmiało – pojawiają. Solaris, Paroc, Jeremias, Valeo to tylko niektóre z nich.

O tych strajkach redaktor Jaruga zapomniał się dowiedzieć, albo – co gorsza – celowo je zignorował. Teza, czemu strajków nie ma, służy w istocie ogłoszeniu, że gdyby nie złe państwo, stosunki między właścicielami a pracownikami układałyby się wspaniale.

Redaktor Jaruga tak pilnie dba o interes pracodawców, że ignoruje fakt zastraszania pracowników i zwalniania związkowców. Nie wie zatem, że nawet jak sąd szefa związku zawodowego w Jeremiasie przywróci do pracy, to firma go i tak nie wpuści do zakładu, bo woli płacić grzywny.

Wreszcie trzeba sobie uświadomić, że

w Polsce – kraju, gdzie dzięki strajkom zmienił się ustrój – strajki są prawnie prawie niemożliwe. A do tego działają kancelarie prawne, które otwarcie walczą z ruchem związkowym. Firmy odliczają sobie ich drogie usługi od podatku.

eprasa.pl 1638912431

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jak wielki handel udaje małego

Żabka w owczej skórze

W polskim handlu od dawna wiadomo, jak zrobić interes idealny: zyski, markę i władzę zostawić u góry, a koszty, stres i ryzyko zepchnąć na dół. Człowiek, który jeszcze niedawno byłby po prostu pracownikiem, dziś ma się cieszyć, że awansował na „przedsiębiorcę". Niby prowadzi własny biznes, ale według cudzych reguł i przede wszystkim dla cudzego zysku. Dawniej nazywało się to po prostu przerzucaniem odpowiedzialności na słabszych. Dziś nazywa się to franczyzą.

Nowy raport Instytutu Finansów Publicznych pokazuje, że ten polski cud przedsiębiorczości ma bardzo przyziemne konsekwencje. Z budżetu państwa może przez niego uciekać około 7,5 mld zł rocznie. Autorzy raportu zaznaczają uczciwie, że to górna granica szacunku, a nie prosty rachunek „tyle ukradziono", bo franczyza nie spadła z nieba dopiero po zmianach podatkowych. Ale nawet po tym zastrzeżeniu wniosek jest jasny: państwo stworzyło system, w którym wielkim firmom opłaca się udawać małe.

Podatek od sprzedaży detalicznej miał być kiedyś dowodem, że państwo potrafi choć trochę przycisnąć wielki handel. W praktyce okazał się raczej testem sprytu dla sieci, które nauczyły się rozbijać swój biznes na tysiące formalnie odrębnych punktów. Na papierze wszystko się zgadza. Każdy sklep niby osobny. W rzeczywistości marka jest ta sama, polityka handlowa ta sama, dostawy te same, centrale te same, przewaga rynkowa ta sama. Tylko odpowiedzialność przesunięta niżej, a podatki jakże lżejsze.

Raport pokazuje, że po wprowadzeniu podatku od sprzedaży detalicznej liczba podmiotów prowadzących najwyżej dwa sklepy wzrosła o 18 416, zatrudnienie w handlu spadło o 9940 etatów, a przeciętne miesięczne wynagrodzenie brutto było niższe o około 543 zł niż w scenariuszu, w którym tego bodźca by nie było.

I właśnie tu trzeba odrzeć całą sprawę z tej propagandowej otoczki. Franczyza w polskich warunkach bardzo często nie jest żadną emancypacją drobnego biznesu, lecz po prostu techniką organizowania podporządkowania. Człowiek jest niby na swoim, ale to swoje przypomina czasem budę przyklejoną do korporacyjnej ciężarówki. Sieć ma markę, kontrolę i główny zysk. Ktoś niżej bierze kredyt, koszty, stres, odpowiedzialność za personel i opowieść o tym, jaki to z niego przedsiębiorca. Autorzy raportu wyliczyli też, że

zastąpienie jednego etatu współpracą z franczyzobiorcą rozliczającym się ryczałtem daje 859,14 zł miesięcznej korzyści fiskalnej, czyli ponad 10 tys. zł rocznie. W takim systemie etat przestaje być normą, a zaczyna uchodzić za koszt, który trzeba sprytnie obejść.

Reszta jest już tylko ideologią dla frajerów: opowieścią, że prekaryzacja to wolność, a przerzucenie odpowiedzialności na słabszych to konieczna nowoczesność.

Skala zjawiska też nie jest marginalna. Raport wskazuje, że na koniec 2024 r. 17 największych sieci franczyzowych w handlu spożywczym współpracowało z około 57 tys. franczyzobiorców. To nie jest nisza, tylko wielki segment gospodarki. A skoro wielki segment gospodarki działa według zasad, które premiują likwidowanie etatów i drenowanie budżetu – to nie mówimy o drobnym problemie technicznym, lecz o polityce państwa. Tyle że jest to polityka prowadzona tchórzliwie, zza parawanu frazesów o aktywizacji, przedsiębiorczości i elastyczności.

Oczywiście nie chodzi o to, by twierdzić, że każda franczyza jest z definicji przekrętem. Problem polega na czymś innym: obecne przepisy nagradzają taki model działania, który jest korzystny dla wielkich graczy, niekorzystny dla pracowników i kosztowny dla wspólnej kasy. To nie jest pojedyncza luka, lecz architektura systemu. Państwo samo ustawiło reguły tak, by bardziej opłacało się rozczłonkować wielką sieć na pozór małych podmiotów niż po prostu prowadzić ją uczciwie jako wielki biznes.

A potem słyszymy, że pieniędzy nie ma: na szpitale, kolej, mieszkania, szkoły, inspekcję pracy, godne usługi publiczne. Ale zawsze jakimś cudem są warunki do tego, żeby wielki handel mógł się sprytnie przepoczwarzyć w tysiące nibydrobnych przedsiębiorców i jeszcze dostać za to premię od systemu. Państwo jest surowe wobec słabych, a twórcze wobec silnych.

Jeżeli więc ktoś jeszcze bredzi o „przedsiębiorczej Polsce", to warto doprecyzować, o jaką przedsiębiorczość chodzi. Nie o tę, w której ktoś tworzy coś własnego, inwestuje i rozwija działalność. Chodzi o przedsiębiorczość pasożytniczą: jak przerzucić koszty na innych, skasować etaty, zmniejszyć obciążenia… Jak wyciągnąć miliardy z budżetu i jeszcze przedstawić to jako sukces gospodarczy i społeczny.

Państwo powinno wreszcie przestać mylić ekonomiczną fikcję z rzeczywistością. Jeżeli wielka sieć zachowuje kontrolę, zyski i przewagę, to nie staje się nagle zbiorem niewinnych drobnych biznesów. Jeśli tego nie zrozumiemy, dalej będziemy żyli w kraju, w którym publiczne straty i prywatne zyski uchodzą za naturalny porządek rzeczy.

DAMIAN DUSZCZENKO

Rencista wróg Ojczyzny

W Polsce bycie biednym i chorym jest aktem antypaństwowym

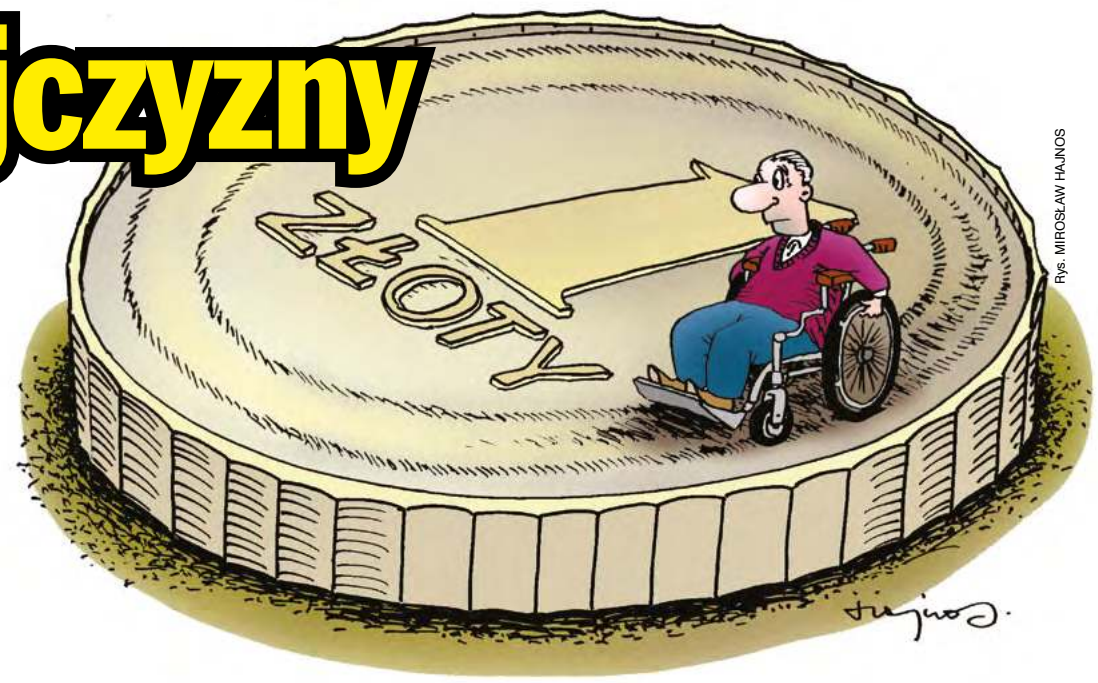

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Do małego stowarzyszenia Łódź dla Ludzi, w którym działam, regularnie trafiają schorowani, poturbowani przez życie ludzie, których ZUS najpierw pozbawia środków do życia, a potem zrzuca ich na wątłe barki takich jak my. Chwilowa bieda bardzo szybko zamienia się tu w długi czynszowe, widmo eksmisji i bezdomność. Kocham ludzi niemal jak Piotr Ikonowicz, ale mimo wszystko wolałbym mieć mniej darmowej roboty społecznej. ZUS jednak konsekwentnie dba o to, żebym się nie nudził. Wyjaśniam dlaczego.

ZUS działa często tak, jakby z góry zakładał, że człowiek nie choruje naprawdę, tylko kombinuje. Schorowany obywatel nie jest więc w tej logice kimś, komu trzeba pomóc przetrwać kryzys zdrowotny, lecz podejrzanym, którego należy sprawdzać, przeciągać przez procedury i w razie potrzeby przywołać do porządku odmową. Państwo mówi mu: udowodnij, że naprawdę ledwo zipiesz. A potem udowodnij to jeszcze raz. I jeszcze raz, bo może akurat między jedną komisją a drugą wydarzył się cud i noga odrosła.

Mam zresztą coraz silniejsze wrażenie, że ludzi pozbawia się zasiłku chorobowego już niemal taśmowo, zapewne według jakiegoś algorytmu albo co najmniej według urzędniczej logiki hurtowej selekcji. Trudno inaczej wyjaśnić skalę tej bezduszności.

ZUS sam chwali się rozbudowanym systemem kontroli prawidłowości orzekania o czasowej niezdolności do pracy i tym, że tylko w pierwszym półroczu 2024 r. obniżono wypłaty zasiłków chorobowych i świadczeń rehabilitacyjnych dla 56,8 tys. osób. Problem w tym, że potem niemała część takich ludzi wygrywa z ZUS-em w sądach.

Już kilka lat temu Prawo.pl opisywało, że w samym pierwszym półroczu 2022 r. ZUS uwzględnił roszczenia tylko w 2803 przypadkach na ponad 41 tys. odwołań – więc ogromna większość spornych spraw szła dalej. Ale dalej idą tylko ci, którzy mają siłę, wiedzę i trochę pieniędzy, by się nie załamać po drodze. Reszta przegrywa nie dlatego, że nie miała racji, lecz dlatego, że nie miała zasobów.

Dla urzędnika to jest teczka. Dla człowieka to bywa katastrofa. Ktoś traci świadczenie albo miesiącami czeka na decyzję. Ktoś inny dostaje odmowę, choć ledwo chodzi, słabo widzi albo ma głowę w takim stanie, że nie bardzo może ogarnąć, co właściwie się wokół niego dzieje. Taki człowiek nie trafia wtedy do gabinetu ministra ani do telewizyjnego studia, gdzie eksperci opowiedzą o „racjonalizacji wydatków". Trafia do nas. Siada i mówi, że nie ma z czego zapłacić czynszu. Że zalega już drugi miesiąc. Że przyszło pismo. Że może trzeba będzie pożyczyć. Że nie ma od kogo. Że może już nie da rady.

I wtedy okazuje się, jak wygląda prawdziwa „oszczędność" państwa. ZUS przyoszczędzi tu kilka tysiączków, może trochę więcej, za to potem cała reszta społeczeństwa ma sprzątać skutki. Lokator wpada w zaległości. Zaczyna się spirala długu. Pogarsza się zdrowie. Narasta lęk. Czasem dochodzi do odcięcia mediów, czasem do utraty mieszkania, czasem do pełnego rozkładu życia, którego potem nikt już nie umie posklejać. Tyle że w tabelkach wszystko się zgadza. Budżet niby odetchnął. A że człowiek właśnie zsunął się o kilka pięter niżej w hierarchii nędzy, to już szczegół.

Najbardziej obrzydliwe jest to, że ten mechanizm uderza przede wszystkim w ludzi najsłabszych. Nie w cwaniaków z kancelariami i znajomościami, tylko w ludzi schorowanych, samotnych, często kiepsko wykształconych, czasem nieumiejących dobrze czytać urzędowego bełkotu. Państwo doskonale wie, kogo najłatwiej przycisnąć. Wie też, że część takich ludzi odpadnie po drodze. Nie odwoła się. Nie zdąży. Załamie się. Zniknie z pola widzenia. A wtedy można już ogłosić sukces w zwalczaniu nadużyć.

I tu dochodzimy do drugiego absurdu, opisanego ostatnio w „Gazecie Wyborczej". Polski system zaczyna skręcać w stronę sytuacji, w której części ludzi bardziej opłaca się przejść na rentę niż na emeryturę. Nie dlatego, że renta jest jakimś luksusem, tylko dlatego, że emerytura bywa liczona w sposób skrajnie nieprzyjazny człowiekowi. W obecnym (podziękujcie Balcerowiczowi) systemie emerytura to po prostu zgromadzony kapitał podzielony przez średnie dalsze trwanie życia. Im dłużej według tablic GUS masz jeszcze żyć, tym niższe może wyjść świadczenie. Tymczasem renta z tytułu niezdolności do pracy wyliczana jest inaczej: obejmuje nie tylko okresy składkowe i nieskładkowe, ale także tzw. staż hipotetyczny, czyli lata „doliczane" do pełnych 25 lat stażu, liczone do wieku 60 lat. To właśnie ten mechanizm sprawia, że dla części ludzi renta może okazać się relatywnie korzystniejsza od emerytury. Chyba nie muszę Czytelnikom dodawać, że

w I kwartale 2025 r. rentę z tytułu niezdolności do pracy pobierało przeciętnie już tylko 499,3 tys. osób. To najniższy poziom w historii naszej, jakże wolnej, Ojczyzny. Po prostu renty się wygasza.

I jeszcze powiedzą nam, że to w imię sprawiedliwości.

To zresztą pięknie pokazuje, jak chore jest całe myślenie państwa. Zamiast uznać, że emerytury są dla wielu ludzi po prostu żałośnie niskie, zaraz znajdzie się tłum mądrali, którzy ogłoszą, że trzeba „uszczelnić system", bo obywatele znów coś kombinują. W Polsce, gdy człowiekowi bardziej opłaca się zachorować niż zestarzeć, elity nigdy nie oskarżają systemu. Winny jest zawsze obywatel. Ten sam, którego wcześniej latami karmiono śmieciówkami, marnymi płacami i opowieścią, że jakoś to będzie.

Z perspektywy takiego stowarzyszenia jak nasze wygląda to jeszcze prościej. My widzimy nie „świadczeniobiorców", lecz ludzi, którym system właśnie podciął nogi. Widzimy, jak decyzja z ZUS-u uruchamia lawinę: od braku pieniędzy na leki przez zaległy czynsz po realne ryzyko bezdomności. Widzimy też, ile dodatkowej roboty społecznej produkuje ten cały bezduszny mechanizm. Trzeba tłumaczyć, pisać, interweniować, szukać pomocy, czasem po prostu siedzieć z kimś i próbować go poskładać, bo państwo właśnie zrobiło z niego wrak.

Potem jeszcze znajdzie się jakiś mędrzec, który powie, że organizacje społeczne są od tego, żeby pomagać. Owszem, są. Tylko nie po to, żeby łatać dziury wywiercone przez instytucje publiczne. Nie po to, żeby przejmować skutki urzędniczego okrucieństwa albo systemowej paranoi. My naprawdę moglibyśmy zajmować się sensowniejszą robotą niż gaszenie pożarów wzniecanych przez państwo we własnych obywatelach.

Dlatego wyjaśniam to nie tylko z obywatelskiego obowiązku, ale też z czystego egoizmu. Naprawdę wolałbym, żeby do naszego stowarzyszenia zgłaszało się mniej ludzi doprowadzonych decyzjami ZUS-u do nędzy, długu i rozpaczy. Ale żeby tak było, państwo musiałoby wreszcie przestać traktować chorobę i biedę jak podejrzaną fanaberię. I zacząć traktować ludzi jak ludzi. Na to się jednak nie zanosi.

DAMIAN DUSZCZENKO

Per saldo my, z naszych podatków, finansujemy działalność antyzwiązkową.

Tymczasem red. Jarugę bardziej oburza fakt, że mamy w Polsce jakiś aparat skarbowy i że nie istnieje prawo człowieka do kantowania własnego państwa.

Jednym słowem tekst Jarugi jest pokazem prawicowego, antypracowniczego populizmu à la Braun.

PIOTR IKONOWICZ

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 1638912431

Konfa żeruje, „Wyborcza” pompuje

O sojuszu skrajnej prawicy i dziennikarki od Michnika

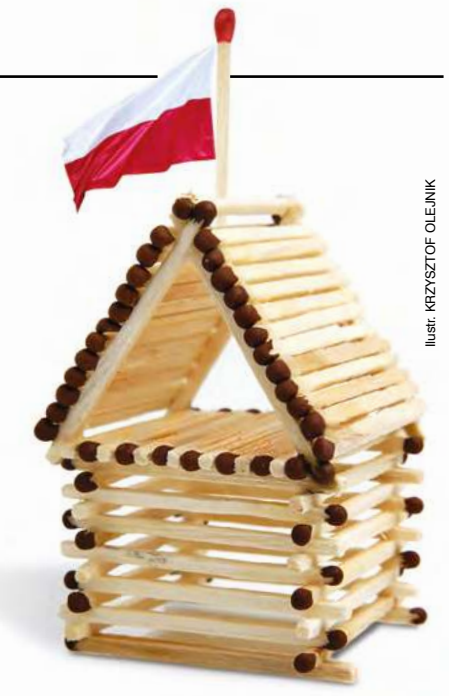

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Gdy Justyna Sobolak opisuje kolejne historie „nieuczciwych lokatorów”, nie uprawia już zwykłej interwencji prasowej. Robi coś znacznie poważniejszego: produkuje emocjonalne zaplecze dla polityki, którą od miesięcy pcha Konfederacja.

Najpierw był tekst o projekcie zmian w prawie lokatorskim, gdzie partia przedstawiała się jako obrońca ludzi skrzywdzonych przez obecne przepisy, potem materiał o samotnej matce, która nie może odzyskać mieszkania od innej samotnej matki, a teraz kolejny tekst, w którym czytamy, że problem stał się tak wielki, iż „już nie tylko Konfederacja” chce się nim zająć. To nie wygląda jak przypadkowy zbieg publikacji, ale jak dobrze znany medialno-polityczny duet: najpierw dostarcza się Czytelnikowi wzruszających i bulwersujących historii, a potem podsuwa gotowe rozwiązanie, najlepiej takie, które uderza szerzej niż tylko w opisywane patologie.

Najważniejsze jest jednak to, by nie dać się wciągnąć w najprostszy odruch, którego właśnie oczekują autorzy tej narracji. Bo historie dwóch matek naprawdę są tragiczne, ale nie dlatego, że mają nam udowodnić, iż lokator to z definicji pasożyt, a prawo ochronne należy potraktować jak cywilizacyjną pomyłkę. Są tragiczne dlatego, że pokazują systemowy rozpad państwa, które nie potrafi rozwiązać konfliktu mieszkaniowego inaczej niż przez szczucie jednych na drugich.

W tych opowieściach nieszczęście jednej kobiety ma nas popchnąć do gniewu wobec drugiej, a przecież obie zostały wrzucone w rzeczywistość, w której brakuje mieszkań komunalnych, postępowania ciągną się latami, a publiczna odpowiedzialność za kryzys mieszkaniowy jest coraz chętniej przerzucana na prywatne osoby. Właśnie dlatego te teksty tak dobrze służą Konfederacji: zamiast pytać, dlaczego państwo nie umie stworzyć sensownego systemu zabezpieczeń, każą nam patrzeć tylko na ostatnie ogniwo łańcucha i nienawidzić tego, kto akurat stoi najbliżej.

Projekt Konfederacji nie jest przecież niewinną korektą napisaną specjalnie dla wyjątkowo bezczelnych przypadków. Został pomyślany jako znacznie szersze przesunięcie prawa na rzecz właściciela i przeciw lokatorowi. W materiałach prasowych i omówieniach projektu pojawiają się zapowiedzi łatwiejszego wypowiadania umowy przy zaległościach czynszowych, mocniejszego akcentowania ochrony własności oraz ograniczania obecnych gwarancji lokatorskich. To nie jest neutralna naprawa pojedynczych nadużyć, tylko próba politycznego wykorzystania realnych konfliktów po to, by osłabić już i tak dziurawą ochronę ludzi słabszych ekonomicznie. Konfederacja od dawna nie proponuje polityki mieszkaniowej, tylko politykę selekcji: bardziej zabezpieczyć własność, zdyscyplinować lokatora, a pytanie o to, gdzie mają się podziać ludzie wyrzucani z mieszkań, zostawić gminom, których system od lat jest niewydolny.

I tu właśnie pojawia się rola red. Sobolak. Jej teksty nie muszą wprost agitować za Konfederacją, żeby wykonywać dla konfiarzy cenną robotę. Wystarczy, że budują odpowiedni klimat moralny. Czytelnik ma być poruszony, rozgniewany i gotowy zaakceptować ostrzejsze prawo. Nie dostaje jednak pełnego obrazu, tylko wyselekcjonowany kadr. W tym kadrze ginie pytanie, dlaczego w Polsce system eksmisji od dawna się korkuje, tysiące wyroków pozostają niewykonalne, tyle rodzin czeka na mieszkania komunalne i dlaczego gminy nie są w stanie zapewnić lokali socjalnych w skali odpowiadającej potrzebom.

Dlatego te historie są tak politycznie użyteczne. Zamiast prowadzić do wniosku, że trzeba budować mieszkania publiczne, usprawniać procedury i odróżniać nadużycie od życiowego załamania, prowadzą do prostszego morału: trzeba dokręcić śrubę lokatorom.

Na tym polega dziwny sojusz Konfederacji i red. Sobolak. Oni dają ideologię, ona dostarcza łez, twarzy i oburzenia. W efekcie dostajemy antylokatorską reklamę podaną jako współczujące dziennikarstwo.

Uczciwsza opowieść byłaby znacznie mniej efektowna, ale za to bliższa prawdy. Pokazywałaby nie pojedynek cnoty z cwaniactwem, lecz dwa ludzkie dramaty wyrastające z tego samego kryzysu. Jedna kobieta boi się, że wypadnie z życia w bezdomność i chaos, druga boi się, że straci coś, co miało dawać jej elementarne bezpieczeństwo. Obie trafiają na system, który od lat nie rozwiązuje problemów mieszkaniowych, tylko przerzuca ich ciężar z instytucji na ludzi.

Rozumiem, że w „Wyborczej” czasy coraz chudsze, ale o los red. Sobolak byłbym spokojny. Kto umie tak sprawnie pakować prawicowe tezy i interesy w papier współczującego reportażu, ten bez zajęcia nie zostanie.

DAMIAN DUSZCZENKO

Bajki Sakiewicza

Źródła odlotów Republiki

Rys. RYSARD DĄBROWSKI

Tomasz Sakiewicz jaki jest, każdy widzi. Nie należy ten widok do najprzyjemniejszych – jak na prześladowanego przez reżim Tuska bohatera niezależnych mediów jest wyjątkowo wypasiony. Sylwetką przypomina Viktora Orbána, fetowanego do niedawna w mediach Sakiewicza – po przegranych wyborach pewnie pójdzie w niepamięć, bo redaktor nie lubi trzymać z przegrywami. Czepianie się wyglądu jest oczywiście niskie i nie przystoi, ale nie takich chwytów imają się w Republice i „Gazecie Polskiej”, żeby zohydzić wroga.

Do dzieła!

Tomasz Sakiewicz ma rozmach nie tylko w jedzeniu. Jego „Dom Wolnego Słowa” oprócz Telewizji Republika obejmuje też jednoimienne radio, „Gazetę Polską” plus jej wersję codzienną oraz portal Niezależna.pl. W swoim portfolio ma wreszcie Sakiewicz portal społecznościowy Albicla.com, założony w 2021 r. w ramach protestu przeciwko cenzurze – było to za pierwszego Trumpa. Portal szybko został zalany kontami „Janów Pawłów II” oraz innych znanych postaci popełniających niewybredne wpisy, administracja zmuszona więc była zaprowadzić cenzurę, przeciwko której Albicla powstała. A to i tak jeden z najmniejszych paradoksów w mediach Sakiewicza.

Twórca Republiki ma ogromne ambicje. Kolejne projekty powstają co chwilę, a pracownicy jego mediów dwoją się i troją, by zaangażować odbiorców, zwłaszcza finansowo, w kolejne „dzieła” – niczym u Rydzyka. Jeśli chodzi o forsę, to Sakiewicz nie ma litości nawet dla ukochanej partii. Pieniądze to jedyny temat, który potrafi poróżnić „Dom Wolnego Słowa” i PiS. W 2024 r. pisowcy zbierali na kampanię Nawrockiego. Wówczas posłanka Lichocka (niegdysiejsza mediaworkerka m.in. u Sakiewicza) apelowała do widzów Republiki o wsparcie kampanii, a nie zbieranie tylko na telewizję.

– Pani poseł, proszę się nie gniewać, ale Telewizja Republika jest rzeczywiście niezależna i pokazuje, co chce – żartował wówczas Adrian Klarenbach, a Lichocka się wściekła. Ostatnio doszło na tym tle do kolejnego zwarcia. Podczas konferencji prasowej Jarosław Kaczyński prosił sympatyków o wpłaty na partię, żeby Czarnek – przepraszam, profesor Czarnek – mógł zostać premierem. Nad głowami pisowców widniał kod QR, który prowadził bezpośrednio do zbiórki. Transmitująca konferencję Republika, wykorzystując apel Kaczyńskiego o szmal, wpierdzieliła własny kod QR na pół ekranu, tak że nietrudno o pomylenie odbiorcy datku. Pisowcy znowuż się wściekli, a Kaczyński zażartował jak Klarenbach: – Ja mogę powiedzieć, że to jest tylko jeszcze jeden dowód na coś, co jest oczywiste, to znaczy że Telewizja Republika jest całkowicie niezależna od partii politycznych.

Piękny umysł

Pośmialiśmy się, to teraz trochę poważniej. Telewizja Republika znana jest z wyjątkowej klasy propagandy nie tyle nawet propisowskiej, co antyplatformerskiej. Jej czołowi pracownicy rozwijali skrzydła w TVP Kurskiego, gdzie pieniądze i możliwości były niewyczerpane. Odkąd poszli na swoje, muszą zabiegać o uwagę widza i ciągle podkręcać emocje, co jest oczywiście coraz trudniejsze. Jednakże „paskowy” Republiki nadal daje radę i jego kreatywność nie ustępuje tej z czasów Kurwizji. Podobnie umiejętność robienia z igieł wideł, tak by Tusk i jego świta jawili się jako brutalni siepacze. Wszystko staje się jaśniejsze, gdy zajrzymy w głąb pięknego umysłu szefa stacji.

Do tej wspaniałej przygody zaprasza nas sam Tomasz Sakiewicz. Jako się rzekło, ma on niespożyty zapał medialny i biznesowy – ale okazuje się, że prowadzi też bogate życie intelektualne i duchowe. Sakiewicza otóż interesuje nie tylko bieżączka, ale zgłębia on także kwestie fundamentalne. Te poszukiwania i przemyślenia zamieścił na stworzonej niedawno stronie internetowej.

Sakiewicz, konserwatysta, nie uległ presji mediów społecznościowych, gdzie posty mają krótki żywot. Postawił na staromodną witrynę, gdzie można rozkoszować się jego twórczością pozapolityczną ułożoną tematycznie, i nie przepadnie ona w lawinie śmiesznych filmików i rolek.

W biogramie nasz filozof pisze o sobie w trzeciej osobie, niczym Karol Nawrocki. Strona ma wprawdzie osobisty nagłówek „O mnie”, ale potem czytamy:

„W jego twórczości łączą się doświadczenie życia publicznego oraz wrażliwość literacka. Interesuje się również fizyką i kosmologią. Rozwija autorskie koncepcje filozoficzno-kosmologiczne określane jako Kosmologia Sakiewicza, dotyczące ewolucji Wszechświata, czasu i przepływu energii”. Intrygujące, nieprawdaż?

Normalnie kosmos

No i, kochani, jest grubo – i tym razem nie chodzi o gabaryty autora. Kosmolog Sakiewicz to jeszcze inna gęstość niż redaktor Sakiewicz, a przecież już pod względem dziennikarskim jest to postać nietuzinkowa.

Na stronie szefa Republiki możemy się zapoznać z jego Modelem Struktury Krystaliczno-Wirowej Bytu. Niedoceniony kosmolog kłóci się w nim z Biblią stwierdziwszy, że na początku było nie „Słowo”, a „Bit”. A właściwie że „Słowo” to właśnie „Bit”, ale pisana z boskiego natchnienia Biblia nie może się przecież równać z intelektem Sakiewicza.

„Wszechświat w swojej ewolucji zdaje się nieświadomie dążyć do odzyskania pierwszego bitu. Cała dynamika kosmosu, od ruchu galaktyk po procesy myślowe, jest próbą powrotu do syntezy i zrozumienia pierwotnego impulsu. Ludzka potrzeba sensu i tęsknota za harmonią nie są dziełem przypadku, lecz najwyższą formą tego dążenia. Świadomość to najbardziej subtelny z wirów, który próbuje »zapisać« strukturę bytu, by uchronić ją przed zapomnieniem” – pisze profesor „Sakiewka”, a ja staram się – wbrew jego intuicjom – odzobaczyć stronę internetową tomaszsakiewicz.pl.

Takich kwiatków jest u Sakiewicza mnóstwo, a ten powyżej należy do najbardziej zrozumiałych. Dalej mamy np. esej „Hipoteza barycentryczna anomalii flyby: podejście przez parametr geometryczny w ramach Teorii Wirów Bytu”. Zrozumieliście coś? Ja też nie, ale bez obaw, Sakiewicz też pewnie nie. Ten – jak się jednak okazuje – łżekonserwatysta korzysta bowiem ze sztucznej inteligencji w produkcji swych dzieł. Bez żenady przyznaje to w notce: „Wkład autorski: koncepcja, argumentacja i synteza — Tomasz Sakiewicz; formalizacja, analiza, strukturyzacja akademicka — Claude (Anthropic), ChatGPT (OpenAI), Grok (xAI), użyte jako narzędzia badawcze”. To ci ancymon! A już prawie uwierzyliśmy, że to wszystko wykwity jego intelektu.

Morał

Jak na człowieka renesansu przystało, Sakiewicz para się różnymi gałęziami nauki i sztuki. Jest też, nie dziwota, bajkopisarzem. Ta odnoga jego twórczości bardziej pasuje do profilu szefa Republiki i wydaje się dla niego naturalna. W bajkach, na szczęście, nie ma już skomplikowanej terminologii, nie ma nawet Tuska o wilczych oczach. Jest zaś to, co w bajkach być powinno, czyli morał.

Prócz pobożnych bajek o modlitwie, bajarz z Republiki pisze też przypowiastki dla normalnych ludzi. Moralista Sakiewicz napisał choćby „Bajkę o biednym bogaczu”, której przesłanie mu dedykujemy (nawet jeśli napisała mu to sztuczna inteligencja): „To prawda, miałem przez całe życie dużo pieniędzy. Ale nigdy nie miałem prawdziwych przyjaciół. Przychodzili do mnie tylko ci, którzy potrzebowali bogactwa. A ja naprawdę żebrałem, żebrałem o odrobinę zrozumienia, o to by ktoś mnie po prostu lubił. Kiedy dowiedziałem się, że jestem ciężko chory, zacząłem szukać kogokolwiek, kto mnie ceni bardziej niż moje pieniądze (…) Pamiętaj jednak, że tej jednej jedynej rzeczy za pieniądze nie kupisz: przyjaźni”. Sakiewicz zaś, niepomny własnej twórczości, intensywnie pracuje nad utratą przyjaźni Kaczyńskiego, bezczelnie podbierając mu sponsorów.

ŁP

eprasa.pl 1638912431

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kiedy lewica śpi, prawicy hormony buzują!

Zakochany Ziemkiewicz

Rafał Ziemkiewicz pokochał Chiny. Naprawdę! Ten Rafał Aleksander Ziemkiewicz, urodzony w Piasecznie polski publicysta, komentator polityczny i ekonomiczny, powiązany ze środowiskami polskiej prawicy. A także pisarz fantastyczno-naukowy, zdeklarowany antykomunista, współzałożyciel stowarzyszenia Endecja, gwiazdor Telewizji Republika.

Pokochał Chiny współczesne. Nie jakieś chińskie fantasy pełne duchów i smoków wodnych. Ani Chiny historyczne, choćby te z czasów dynastii Tang przepojone poezją, winem i powabem urokliwych kobiet.

Pokochał komunistyczne Chiny. Reprezentowane przez Chińską Republikę Ludową, a nie postnacjonalistyczną Republikę Chińską na Tajwanie.

Kiedy w XX w. prezydent USA Nixon, namówiony przez swego sekretarza stanu Kissingera, wycofał poparcie dla tajwańskiej Republiki Chińskiej i wprowadził Chińską Republikę Ludową do ONZ, to ówczesny świat wybuchł, niczym wulkan, komentarzami.

Kiedy Rafał Aleksander Ziemkiewicz, sumienie polskiej ideowej narodowo-katolickiej prawicy wyznał publicznie swe uczucia do komunistów chińskich w organie polskiej prawicy, czyli tygodniku „Do Rzeczy", to polska prawica, a nawet wrogi jej libkowski warszawski salon, zgodnie zamilkły. Zapewne z wrażenia.

Ale tygodnik „NIE" ślubów milczenia nigdy nie składał.

我爱你, Ja kochać Ciebie

Z kronikarskiego obowiązku muszę odnotować, że swe miłosne wyznania gwiazdor Ziemkiewicz poprzedził wyrafinowaną grą wstępną. Pisze tam jak chiński Laoshe, czyli stary mistrz: „Kluczem do sukcesu Polski w nowym świecie jest umiejętne wyważenie interesów mocarstw, tak aby obie strony globalnej rywalizacji potrzebowały w Polsce gwarancji stabilności i zachowania swoich wpływów".

Ziemkiewicz w „Do Rzeczy" zauważa wzrost potęgę Chin. Wreszcie, rzec można. I zaraz potem, odruchowo jak pies Pawłowa, krytykuje znienawidzonych libków, warszawski salon i rząd Tuska, że oni tego nadal nie zauważają!

Jest pod wrażeniem nowego pięcioletniego planu rozwoju ChRL przyjętego w marcu przez chiński parlament. Nachwalić się go nie może. Zauważa, że Chiny stawiają teraz przede wszystkim na nowe technologie.

Cóż, pisałem o tym już wielokrotnie na portalu trybuna.info. I inni lewicowi dziennikarze też. Pewnie to tam Ziemkiewicz o tym przeczytał.

Jak każdy świeżo zakochany, także Ziemkiewicz idealizuje obiekt swej nowej miłości, pisząc: „to Chiny zdecydują, kiedy skończy się wojna na Ukrainie". Przesada, młodszy kolego Rafale Aleksandrze, tak wielkiej siły Chiny jeszcze nie mają.

Ale rację ma Ziemkiewicz, pisząc: „Chiny mają w Polsce żywotne interesy, o których chcą rozmawiać, a na razie nie mają z kim. Z wielu źródeł znam wyrazy rozczarowania chińskich wysłanników, że Polacy zamiast zakrzątać się wokół polskich interesów, odsyłają ich do Brukseli". Przypomina też, że w ostatnim exposé ministra Sikorskiego o polskiej polityce zagranicznej Chinom poświęcono jedynie pół minuty.

Głos Ziemkiewicza nie jest samotny na polskiej prawicy. W kolejnym wydaniu tygodnika „Do Rzeczy" wspiera go profesor Adam Wielomski, pisząc: „Gdybyśmy w 2017 r. otworzyli przed Chińczykami możliwość puszczenia głównej nitki Nowego Jedwabnego Szlaku przez Polskę, to nasza sytuacja geopolityczna wyglądałaby zupełnie inaczej. Skoro dziś uważa się, że Xi Jinping mógłby wymusić na Putinie szybkie zakończenie wojny na Ukrainie, to tym bardziej mógłby wymusić na nim nieatakowanie państwa o strategicznym położeniu dla funkcjonowania tego projektu".

Dodaje: „kierujący nasza polityką zagraniczną prostaczkowie pojmują ją jako projekcję etyki. Czyli trzymanie z »dobrymi« przeciw »złym«. Trzymamy z demokracjami przeciwko państwom autorytarnym, z państwami judeochrześcijańskimi przeciwko prawosławiu i islamowi etc. Władzę nad polityką zagraniczną w Polsce ma ten, kto z pomocą mediów wytworzy przekonanie o tym, komu w świecie przypada rola dobrego, a komu – złego"…

I znów trzeba się z opinią prawicowego profesora zgodzić. Przez lata polskie media głównego nurtu lansowały duopol: „Dobre, demokratyczne USA – złe, komunistyczne Chiny". Kiedy USA pokazały swą bandycką twarz, polskie dyżurne autorytety moralne osłupiały. Bo nie mają już wzorca dobroci.

Pewnie dlatego profesor Wielomski publicznie pyta polskie elity polityczne: „Czy Polska powinna wykorzystać Chiny do równoważenia nadmiernego uzależnienia od Waszyngtonu i Berlino-Brukseli?".

I przypomina, że prochińskie Węgry Orbána dostały od Pekinu więcej inwestycji niż od USA i Unii Europejskiej. W 2024 r. na Węgrzech 40 proc. z zagranicznych inwestycji było chińskich. Dla Budapesztu Chiny to drugi, po Niemczech, partner handlowy.

Zaś głupi Polacy, biadoli prawicowy profesor, w 2017 r. zablokowali rozwój chińskiego Nowego Jedwabne Szlaku. I wymienia pana posła Antoniego Macierewicza jako sprawcę tego antypolskiego sabotażu!

Nie boi się przywalić w tak pomnikową na prawicy postać.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Po co im Polska

Tak naprawdę Chiny prowadzą pragmatyczną, nieideologiczną, transakcyjną politykę gospodarczą i międzynarodową. Nie potrzebują polskiej antykomunistycznej nienawiści. Ani też gejzerów prawicowej miłości pragnących uczepić się klamki nowego mocarstwa.

Polska jest cenna dla proeksportowej chińskiej gospodarki ze względu na swe geograficzne położenie. Jest dla całej Azji bramą do całej Europy – i najszybszą drogą kolejową do Europy Zachodniej. Droga ta zaczyna się w Chengdu, stolicy prowincji Syczuan, biegnie przez Azję Środkową, Rosję, Białoruś do Polski. I stamtąd na Zachód. To fragment chińskiego projektu „Pasa i Szlaku".

Dlatego Polska i jej zagraniczni partnerscy sąsiedzi powinni rozbudować – już istniejące w Małaszewiczach i przygranicznych miejscowościach – centrum tranzytu Europa–Azja. Stworzyć tam wielki kolejowy „Kanał Sueski".

Chroniony przez wszystkich jego użytkowników i udziałowców. Warto zauważyć, że nawet wojna na Ukrainie nie zahamowała przewozów na linii kolejowej Chiny–Europa przez polskie przejścia graniczne. Pociągi jechały i jadą nadal tranzytem przez Rosję i Białoruś. A transport drogowy przez te państwa w tym czasie bywał blokowany.

Aby wzmocnić połączenia nowego Jedwabnego Szlaku, polski LOT i Air China otworzyły też przed 2022 r. bezpośrednie połączenia lotnicze między Warszawą i Pekinem. Przez Rosję. Teraz LOT ma rosyjski zakaz lotów nad ich terytorium. To blokuje ekonomiczny sens lotniczego CPK.

Polska powinna zbudować w Małaszewiczach i okolicach nie tylko wielkie centrum tranzytu Europa–Azja. Hub przeładunkowy transportowanych towarów. Infrastrukturę magazynową i logistyczną wspierającą ich rozsyłkę po całej Eurazji. Powinno powstać tam też miejsce współpracy przeróżnych firm azjatyckich i europejskich, start-upów – projektowych, dizajnerskich, promocyjnych, logistycznych, kurierskich, handlowych – miejsce wymiany zdobyczy nauki i kultury. Taki wielki XXI-wieczny bazar wzorowany na tych ze starego Jedwabnego Szlaku.

Taka współpraca polsko-chińska nie może być projektowana przeciwko innym państwom – jako granie na nosie brukselskim biurokratom czy pokazanie fucka waszyngtońskim autokratom.

Wtedy dla stworzenia tego międzynarodowego przedsięwzięcia można wykorzystać środki finansowe z polityk spójności Unii Europejskiej, chińskie fundusze z programu Nowego Jedwabnego Szlaku. Można, po zawarciu rozejmu między Rosją i Ukrainą, pozyskać dodatkowe wsparcie finansowe, kooperując z firmami kazachskimi, japońskimi, brytyjskimi, niemieckimi, francuskimi, włoskimi, hiszpańskimi, a także ukraińskimi, rosyjskimi, białoruskimi, które już tworzą te sieci transportowe.

Taki kolejowy Kanał Małaszewicki byłby źródłem zysków, technologii, impulsów dla polskiej gospodarki. Także szansą na poprawę bezpieczeństwa polskiego państwa. Bo każdy zainteresowany międzynarodowy partner chroniłby bezpieczeństwo wspólnej – czyli też swojej – infrastruktury komunikacyjnej.

Warto przypomnieć, że polsko-chińska współpraca ma już wystarczającą infrastrukturę polityczną. Wystarczy tylko, aby polskie elity polityczne i medialny komentariat przypomniały sobie, przeczytały i zaczęły respektować porozumienie o strategicznym partnerstwie między Polską i Chinami. Podpisane w Pekinie w 2011 r. przez prezydenta Komorowskiego i podniesione potem przez prezydenta Dudę do rangi pogłębionego partnerstwa. Zakładające wzajemne poszanowanie dla różnic ideologicznych, systemów politycznych, dróg rozwoju – oraz nieingerowanie w polityki wewnętrzne współpracujących państw. Poszukujące wspólnych celów, unikające konfrontacji.

W porozumieniu tym – co warto przypomnieć polskim politykom i mediom – znalazła się też akceptacja przez państwo polskie zasady integralności terytorium Chin, czyli nieuznawanie Tajwanu za niepodległy byt państwowy.

Chiński styl uprawiania polityki, biznesu, myślenia jest inny niż zachodnioeuropejski. Dlatego relacje z Chinami wymagają inaczej prowadzonej polityki. Może w polskim rządzie powinien być sekretarz stanu odpowiedzialny za taką politykę.

Lewica czeka

Polska lewica wielce ostrożnie wchodzi w relacje z Chinami. Elity Partii Razem uznały Chiny za zło i starają się być osobno. To im się udaje.

Nowa Lewica ma kontakty z Komunistyczną Partią Chin. Podobnie też Platforma Obywatelska, PiS, PSL i Konfederacja.

Ale trzy lata temu ówczesny wiceprzewodniczący Nowej Lewicy poseł Andrzej Szejna publicznie pochwalił modernizacyjne programy prezydenta Xi. Potem polski medialny komentariat i liderzy konkurencyjnych partii rozstrzelali go za pochlebne opinie planu chińskiego „komunisty". W nagonce uczestniczyli też publicyści tygodnika „Do Rzeczy". Dziś deklarującego miłość do chińskiej komuny!

Inny organ polskiej prawicy, portal Niezależna.pl usiłował przykleić liderom Nowej Lewicy, wicemarszałkowi Czarzastemu i wiceprzewodniczącemu Szejnie, łatki chińskich szpiegów i genetycznych komunistów. Zapewne przy pomocy zaprzyjaźnionej bezpieki. Czy dziwi was, że po takim hejcie elity Nowej Lewicy dziś nawet chińskie knajpy omijają z daleka?

Chiński komunizm nie brzydzi za to antykomunistycznych elit PiS i Konfederacji. Prezydent Nawrocki ma już zaproszenie do złożenia wizyty w Chinach.

PIOTR GADZINOWSKI

eprasa.pl 1638912431

Bomby i pokój

Im bardziej Amerykanie przegrywali politycznie, tym więcej bombardowali

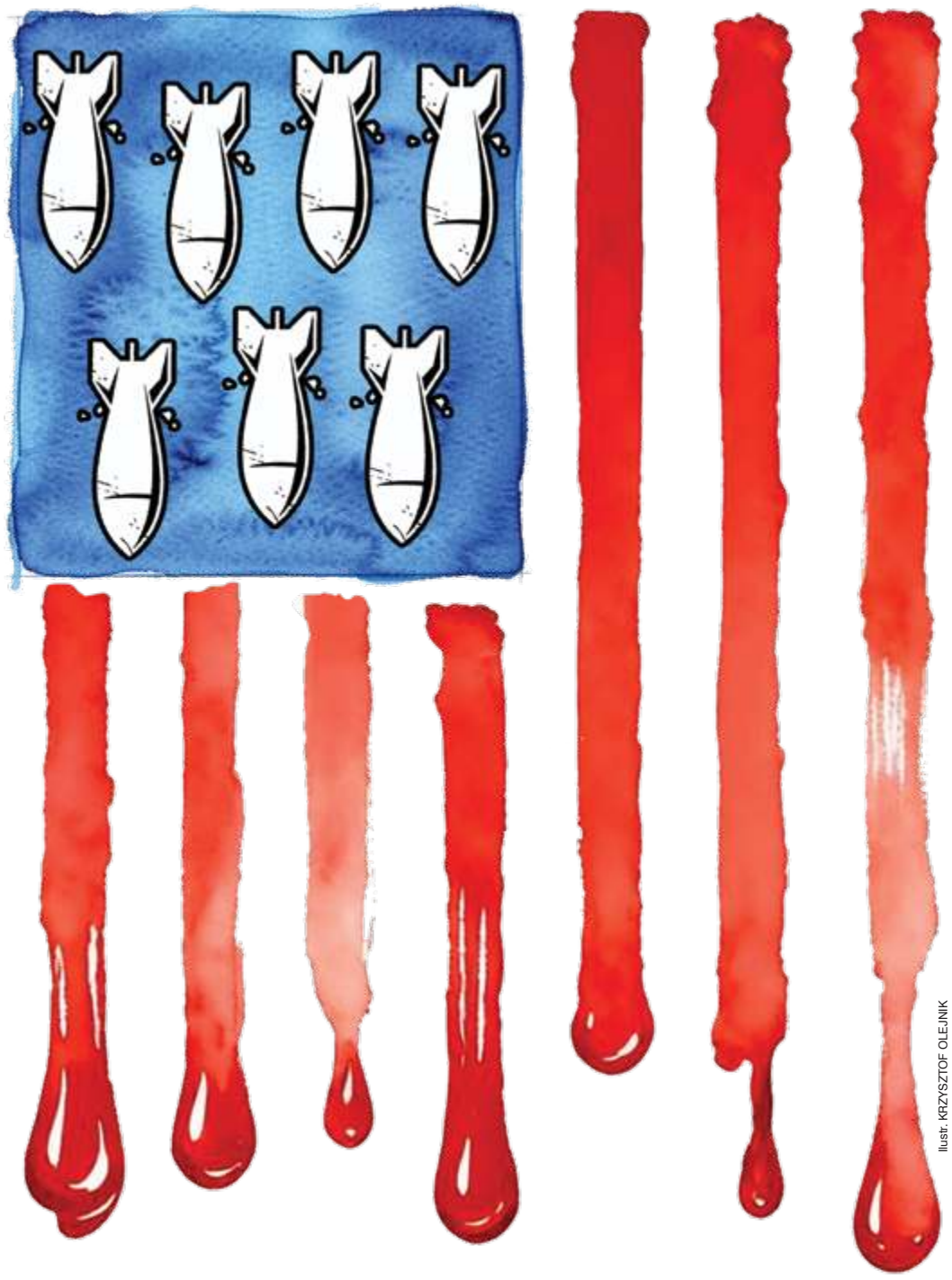

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kolejne wietnamskie piekło zaczęło się od pokojowych rokowań. Konferencja genewska w 1954 r. podzieliła „tymczasowo" Wietnam wzdłuż 17. równoleżnika na północną Demokratyczną Republikę Wietnamu, proklamowaną już w 1945 r. i rządzoną przez Việt Minh, oraz proklamowaną w 1955 r. południową Republikę Wietnamu.

Wtedy to Ngô Đình Diệm wraz z bratem Ngô Đình Nhu i resztą rodzinnego klanu zmonopolizowali władzę na południu. Diệm był politykiem niezwykle pracowitym, wymagający wobec wszystkich i siebie – i nawet niezwykle odpornym na korupcję. Zawsze też był w opozycji wobec niepodległościowego, komunizującego Ho Chi Minha i kolaborującego z Francuzami cesarza Bảo Đại. Stworzył własną „trzecią drogę" do niepodległości. Doktrynę polityczną opartą na katolickiej filozofii Emmanuela Mouniera oraz pochodzącego z Chin konfucjanizmu.

Uważał, że najlepszym systemem dla Wietnamu jest merytokracja. Politycy powinni być tam kapłanami niepodległości dobieranymi wedle zawodowych kompetencji i cnót moralnych. Wyznawał konfucjańską koncepcję Mandatu Niebios czyniącą polityka odpowiedzialnego jedynie przed Bogiem i szeroko rozumianym ludem. Zezwalających mu na wprowadzanie koniecznych, choć często bolesnych i niepopularnych reform. Zwolnionym też z konieczności realizowania bieżących interesów grup interesów, koterii politycznych.

Uczciwy katolik, szkodliwy polityk

Diệm postanowił zrealizować swą „trzecią drogę" początkowo tylko na południu Wietnamu. Dzięki wsparciu Amerykanów, którzy postrzegali go jako kulturalnego, prodemokratycznego Azjatę. A także zdeklarowanego katolika promowanego przez katolickich senatorów Mike'a Mansfielda i Johna F. Kennedy.

Swą „Trzecią Drogę" zaczął Diệm od sfałszowania referendum, które proklamowało powstanie Republiki Wietnamu i mianowało go prezydentem. Choć genewskie porozumienia z 1954 r. nakazywały przeprowadzenie wspólnych wyborów w celu zjednoczenia Wietnamu w 1956 r., Diem odmówił w nich uczestnictwa. Bał się, że zwyczajnie przegra z wielce popularnym już wtedy Ho Chi Minhem.

Zadbał za to, aby pierwsza konstytucja Republiki Wietnamu przyznała prezydentowi silną władzę, co dało mu autorytarne rządy. Niestety, także jego klanowi rodzinnemu.

Szybko uwierzył, że ma konfucjański Mandat Niebios, dlatego lekceważył nieznane wietnamskiej kulturze „demokratyczne wybory". Organizował je, aby zadowolić sponsorujących jego państwo Amerykanów. Zawsze wygrywał, bo wcześniej sprawnie je fałszował.

Trzeba uczciwie przyznać, że prezydent Diệm nie miał łatwo. Zwłaszcza kiedy swe rządy rozumiał jako misję zreformowanie państwa i wzmacniania dobrobytu narodu. Jednak proponowane przez niego reformy, choć miały słuszne i szlachetne cele, to zwykle nie uwzględniały lokalnych warunków i regionalnych różnic. Zakładały też istnienie w Wietnamie nieprzekupnych urzędników państwowych. Co gorsza, temu politykowi-misjonarzowi przyszło rządzić w społeczeństwie wielce podzielonym klasowo, religijnie, etnicznie i przede wszystkim klanowo.

Zgubiły go katolicka wiara i własna rodzina. Jako katolicki ortodoks wdał się w przewlekłe wojny ze zmilitaryzowanymi bojówkami wszystkich niekatolickich kościołów i religijnych mafii. Cóż z tego, że zreformowana przez niego armia Wietnamu Południowego po ciężkich walkach pokonała przeciwnika – skoro wszystkich swych wrogów nie zdołał wybić. Jednoczyli się i zmienili taktykę walki z niepopularnym społecznie prezydentem i jego rodzinnym klanem.

W czerwcu 1963 r. buddyjski mnich Thích Quảng Đức w proteście przeciwko polityce Diệma podpalił się na środku ruchliwego skrzyżowania w Sajgonie. Zdjęcia obiegły cały świat. W ciągu tygodnia „demokratyczny" Zachód znienawidził „okrutnego" Diệma i pokochał „pokojową" opozycję. Buddyjski mnich znalazł naśladowców, także w Polsce. Dodatkowo bratowa prezydenta, Nhu Trần Lệ Xuân, zaogniła sytuację, szyderczo komentując: „Jeśli buddyści chcą mieć kolejnego grilla, z przyjemnością dostarczę benzynę".

Politycznej benzyny stale dolewał jego klan rodzinny. Przesiąknięty korupcją, władający całym państwem, nawet czarnym rynkiem. Wielka mafijna katolicka ośmiornica. Amerykanie wiedzieli o tym. Pomimo tego w maju 1961 r. wiceprezydent USA Lyndon B. Johnson odwiedził Sajgon i publicznie nazwał Diệma Winstonem Churchillem Azji. Zapytany prywatnie o powód takiej oceny, odpowiedział szczerze: „ Diệm to jedyny chłopak, jakiego tam mamy".

Dwa lata później wietnamscy generałowie wspierani przez CIA przeprowadzili zamach stanu. Początkowo Diệm i jego wielce znienawidzony brat Nhu uciekli przygotowanym przezornie tunelem. Schowali się w Cho Lon, sajgońskiej dzielnicy burdeli. Tam wojskowi ich dopadli i zabili. Po tym zamachu Wietnam Południowy nie był już w stanie utworzyć ani jednego stabilnego rządu.

Nie ma jak bomby

Reformując Wietnam odgórnie – rzec można „od nieba" – walcząc jednocześnie z religijną konkurencją, spiskami swych generałów, wszechobecną korupcją, prezydent Diệm nie miał zbyt wiele czasu, aby zwalczać też niepodległościową, wspieraną przez Demokratyczną Republikę Wietnamu partyzantkę. Zwaną na południu Wietkongiem.

Zresztą rządzący na północy Ho Chi Minh i jego ekipa pod koniec lat 50. zajęci byli przede wszystkim umacnianiem swego wolnego już od kolonizatorów państwa. Ho Chi Minh poskramiał nawet wojownicze zapędy młodszych radykałów z Viet Minhu, za co dorabiali mu łatkę niemrawego staruszka.

Konflikt rozgorzał, kiedy władzę w południowej Republice Wietnamu zdobyli generałowie, którzy potrzebowali szybkich sukcesów. Pomimo stałych dostaw amerykańskiego sprzętu, zwiększania kontyngentu wojskowych „doradców", wrogiej partyzantki nie poskromili go. Przeciwnie: wspierany przez ludność lokalną, dozbrajany przez armię DRW, pogardliwie traktowany przez Amerykanów Wietkong atakował stale i często z sukcesami.

Frustrowało to generałów. Jeden z nich, Nguyen Cao Ky – dowódca lotnictwa Wietnamu Południowego, w latach 1965–1967 premier Republiki Wietnamu – przeżywał huśtawkę nastrojów. Od hipochondrii i deklaracji, że musi natychmiast jechać do uzdrowiskowego Da Lat, aby „leczyć nerwy i hemoroidy", aż po wybuchy aktywności i wezwanie Amerykanów do wspólnego niezwłocznego ataku na Wietnam Północny. Aby zaprowadzić wreszcie pokój w Wietnamie.

Odtajnione dziś dokumenty pokazują, że amerykańscy doradcy polityczni i wojskowi czuli się na południu Wietnamu jak w domu wariatów. Też nieraz popadali w zwątpienie, ale częściej zrywali się do boju, aby po swojemu wprowadzić pokój. Wedle standardów cywilizacji białego, demokratycznego człowieka z Zachodu.

W marcu 1965 r. inicjatywę przywracania pokoju w Wietnamie przejęli amerykańscy wojskowi. Rozpoczęli operację, jak zwykle poetycko nazwaną, Rolling Thunder. Czyli „Dudniący Grom".

Zaprojektował ją gen. Curtis Le May, zwany ojcem amerykańskiego lotnictwa strategicznego. Plan swoich lotników streścił w krótkich żołnierskich słowach: „Możemy zbombardować Wietnam do epoki kamienia łupanego".

I danego słowa zaczęli dotrzymywać. Od wiosny 1965 r. do jesieni 1968 r. tylko na Wietnam Północny zrzucono 864 tys. ton bomb. Więcej, niż Amerykanie zrzucili w czasie całej II wojny światowej.

Celem bombardowań było zniszczenie infrastruktury, zaplecza przemysłowego i obrony przeciwlotniczej Demokratycznej Republiki Wietnamu. Przerwanie szlaków zaopatrzenia północ–południe i zmuszenie w ten sposób DRW do wycofania się ze wsparcia partyzantów na południu. Równolegle prowadzono również masowe bombardowania na terenie Republiki Wietnamu, wymierzone w działające tam siły Wietkongu. Zrzucane bomby miały też podnieść morale wojska i polityków Wietnamu Południowego.

Po czterech latach bombardowania Wietnamu Północnego przez lotnictwo amerykańskie ataki wznowiono w 1972 r. w ramach operacji nazwanych Linebacker i Linebacker II. Linebacker to nie tajfun czy orkan – a jedynie ważny zawodnik w amerykańskim futbolu. Gość, który często ratuje wynik kiepsko grającej drużyny.

Dudniący bilans

Według ocen CIA w efekcie nalotów zginęło około 90 tys. Wietnamczyków, w tym 74 tys. cywilów. Bombardowania nie osiągnęły jednak przyjętych celów militarnych i politycznych.

Podstawową przeszkodą okazała się wietnamska rzeczywistość. Nie było tam skoncentrowanego zaplecza przemysłowego ani nowoczesnej infrastruktury komunikacyjnej, do jakich amerykańska armia przyzwyczaiła się w Niemczech i w Japonii.

Bombardowanie portu w Hajfongu groziło atakami na chińskie i radzieckie statki zaopatrujące DRW. Podobnym ryzykiem były ataki na chińskie linie kolejowe – też groziły wojną odwetową ze strony ChRL i ZSSR. A takiej USA nie chciały. Wojnę mieli toczyć Wietnamczycy przeciwko Wietnamczykom.

Amerykanie nie przewidywali, że pogardzani przez nich Wietnamczycy są w stanie stworzyć skuteczną ochronę przeciwlotniczą. Ku swemu zdumieniu stracili wtedy ponad 1200 samolotów, w tym 919 w wyniku operacji nad Wietnamem Północnym. Większość tych strat to efekt dobrej wietnamskiej artylerii przeciwlotniczej. Ale wiele zasług miały radzieckie myśliwce MiG-21, a nawet przestarzałe, lecz zwrotne MiG-17, których pilotowanie wietnamscy piloci opanowali po mistrzowsku.

„W przypadku wojny w Wietnamie jasno widać, że Amerykanie przecenili skuteczność własnej machiny wojennej i nie docenili odporności na »ból« swojego wroga. I jeszcze jedna sprawa odgrywała tu ważna rolę: przekonanie o tym, że Wietnamczycy z północy to trzecia kategoria komunistów – gorsza od Sowietów i Chińczyków. A przecież niedocenianie przeciwnika to proszenie się o kłopoty" – skomentował operację Dudniący Grom polski historyk z UJ dr Jarema Słowiak.

Grom a sprawa polska

„Uwielbiam zapach napalmu o poranku" – wyznaje filmowy podpułkownik William „Bill" Kilgore, jeden z bohaterów „Czasu Apokalipsy". Ten cytat przeszedł do historii kina.

Kim Phuc Phan Ti, prawdziwa Wietnamka, przeszła do historii świata jako „Napalm Girl". Jej zdjęcie zna cały świat. W czerwcu 1972 r. amerykańscy piloci zrzucili napalmowe bomby na południowowietnamskich sojuszników i cywili. Taka częsta w czasie masowych nalotów pomyłka. Mała Kim nalot przeżyła, mieszka w Kanadzie. Do dziś zachowała wojenne traumy i blizny na skórze.

Oprócz powszechnie stosowanego wtedy napalmu Amerykanie bombardowali Wietnam produktem o zręcznej nazwie Agent Orange. Silnym toksycznie defoliantem używanym do niszczenia lasów, dżungli i pól uprawnych. Bo tam mogli kryć się wietnamscy partyzanci. Skoro chcieli zbombardować infrastrukturę „do kamienia łupanego", to czemu nie wytruć wietnamskiej flory i fauny do stanu pustyni?

Wedle skromnych szacunków cywilizowana armia USA, broniąc Wietnamczyków przed „komunizmem", zrzuciła ok. 70 mln litrów trujących herbicydów. Powodujących u ludzi raka, uszkodzenia wątroby, wady rozwoju dzieci i choroby układu odpornościowego. Skutecznego aż do trzeciego pokolenia mieszkających na zatrutym kiedyś terenie.

W czasie amerykańskich bombardowań kilka bomb trafiło w budynek polskiej ambasady w Hanoi. Omyłkowo rzecz jasna. Bo im więcej bomb, zawsze tym więcej pomyłek. Więcej też pomyłkowych ofiar cywilnych. Taki to mamy wojenny klimat.

Amerykanie zbombardowali też – w grudniu 1972 r. – cumujący w porcie Hajfong polski statek handlowy „Józef Conrad". Nie dlatego, że na podstawie książki tego pisarza potem powstał film „Czas Apokalipsy". Oficjalnie to też kolejna pomyłka w ramach bombardowań – tym razem pod pogodną nazwą „The Christmas Bombings". Czyli bombki na bożonarodzeniowe choinki.

Ale ich efektem była tragedia. Śmierć czwórki polskich marynarzy i rany kilkunastu innych. Polegli zostali pośmiertnie odznaczeni Krzyżami Kawalerskimi Orderu Odrodzenia Polski.

Amerykanie odmówili wypłacenia rodzinom zabitych i rannych należnych im odszkodowań. Uznali, że wystarczą im rekompensaty od towarzystw ubezpieczeniowych. Nie byli sojusznikami.

Polskie władze na Amerykanów nie naciskały. Ekipie Gierka zależało wtedy na podpisaniu porozumienie o odroczeniu terminu spłaty części polskiego zadłużenia wobec USA.

Tak to nasz Gierek zmniejszył Amerykanom ujemny bilans kosztów wietnamskiej wojny.

PIOTR GADZINOWSKI

eprasa.pl 1638912431

Korespondencja z Ukrainy

Z dala od frontu

Prawosławna Wielka Sobota. Godzina trzecia w nocy. Na dworzec we Lwowie wtacza się wypełniony po brzegi pociąg relacji Przemyśl––Kijów. Miasto wita zbierającym się pod halą peronową gęstym smogiem z ogrzewanych węglem wagonów i rezonującym od tej hali rykiem silników starych radzieckich spalinowozów. Pomimo godziny policyjnej nie decydujemy się na skorzystanie z usług nalegających taksówkarzy – spacer nie powinien zająć więcej niż pół godziny.

Wizytę we Lwowie zaczynamy od widoku centrum pogrążonego w ciemnościach. Z wyjątkiem ulicy prowadzącej do dworca i bulwaru przed operą w mieście, z powodu oszczędności prądu, nie palą się latarnie. Po pustych, pokrytych kocimi łbami ulicach, oświetlonych jedynie sygnalizacją świetlną, pędzą pojedyncze samochody. Zza ciemnych witryn sklepowych widać nowoczesne kasy samoobsługowe, objaw modernizacji kraju; sklepy z kasjerami są raczej w drugiej linii zabudowań. Śpimy w wynajętym niezwykle tanio mieszkaniu – wojna nie sprzyja turystyce zagranicznej, co korzystnie odbija się na portfelach przyjezdnych.

Następnego dnia wybieramy się na Cmentarz Łyczakowski. Po drodze widzimy odbywający się na rynku pogrzeb żołnierza. Miejscowe władze codziennie organizują takie ceremonie. Przed przejeżdżającym karawanem klękają zabiegani przechodnie. Po przemowach wiozą poległego na nowo otwartą część cmentarza. Na miejscu jest on składany w jednym z setek identycznych tymczasowych drewnianych grobów. Przed wejściem na memoriał, nazwany Polem Marsowym, stoją tablice przedstawiające wizualizacje nekropolii po modernizacji, która ma się wydarzyć po wojnie – z wersjami nagrobków dla chrześcijan, żydów, muzułmanów i ateistów, z różnych rodzajów kamienia.

Przy grobach powiewają flagi mówiące o narodowości żołnierza. Głównie ukraińskie, choć są też polskie, ormeńskie, włoskie, jest nawet brazylijska. Wiele jest flag poszczególnych oddziałów, a także, nadzwyczaj często, te czerwono-czarne – flagi OUN i UPA.

Przy nagrobkach stawiane są, oprócz zniczy, prywatne rzeczy poległych, naszywki, cukierki, papierosy i puszki po napojach energetycznych; na ławeczkach obok widać opłakujące rodziny. Obok jednego ze świeżych grobów czuwa dziewczyna, zapadnięta w ławkę, z bladą twarzą. Nie łapie z nami kontaktu wzrokowego.

Udajemy się w stronę Cmentarza Orląt Lwowskich. Tam po niedługim czasie podchodzi do nas pan Lesław – miejscowy Polak, rocznik 1944. Oprowadza nas po kompleksie, opowiadając historie o utrudnianej przez władze renowacji nekropolii i o Polskim Towarzystwie Opieki nad Grobami Wojskowymi we Lwowie, którego jest członkiem. Wraz z trzema innymi osobami na zmianę dyżuruje on całodobowo w pobliskim budynku, dbając o spokój i chroniąc cmentarz przed wandalizmem. Słuchamy o słynnych lwach przed głównym pomnikiem, o wszystkich płaskorzeźbach na miejscu i o tym, jak łatwo zwaśnić dwa narody.

W drodze do centrum widzimy pomniki w klatkach chroniących przed atakami dronów. W bardziej wystawnych budynkach, np. kościołach, sutereny zabezpieczono workami z piaskiem, okna zaś blachą lub dyktą.

Po drodze zagaduje nas żołnierz – jeden z wielu, którzy są tu na urlopie z okazji świąt. Pyta o przystanek tramwajowy – nie używa jednak ukraińskiego słowa *zupynka* – a rosyjskiego *astanowka*. Zastanawiamy się, dlaczego nie podszedł do kogoś, kto by wyglądał na miejscowego. Później zapytamy się o to poznane dziewczyny. Odpowiedzą z nagłą irytacją, że nie chcą o tym rozmawiać. Ale – dodadzą – to Ukraina i żołnierze powinni mówić po ukraińsku.

Na starówce jest jeszcze handel turystyczny – kramy z magnesami z napisem „Lwów”, naszywkami dla żołnierzy, wycieraczkami do butów z wizerunkiem Putina czy szalikami z wizerunkiem Bandery lub Szuchewycza.

Obok nich ustawione są ekspozycje używanego sprzętu wojskowego. Prezentowane są niewypały pocisków moździerzowych, ręczne wyrzutnie rakietowe, szczątki zestrzelonych rakiet i dronów, roztrzaskane Kałasznikowy oraz kamizelki kuloodporne. Przyciągają ludzi do puszek, do której zbierane są datki na armię. W innym charakterze, już jako stały pomnik, na bulwarze przed operą stoi wrak łazika terenowego.

Cerkiewne obrzędy paschalne nie odbywają się w nocy z soboty na niedzielę. Przełożone są na rano – nie można organizować zgromadzeń, także mszy, w czasie godziny policyjnej. Tej nocy jest natomiast ciepła woda w kranie i prąd w gniazdku.

W niedzielę od trzynastej w Gaju Szewczenki – lwowskim skansenie architektury ludowej – ma miejsce wielki festiwal kultury folklorystycznej. Tysiące osób w tradycyjnych strojach, koncerty zespołów ludowych i wojskowych, zbiorowe zabawy i tańce. Są przejażdżki konne, można zrobić sobie zdjęcie z ozdobną kurą. Przychodzą wszyscy: młodzież, rodzice z dziećmi, starsi. Impreza trwa do wieczora, część obecnych przenosi się potem na mniejsze wydarzenia na ulicach miasta i do barów.

Wracamy w nocy. Na dworcu we Lwowie są trzy poczekalnie – ogólnodostępna, żołnierska i dziecięca, zorganizowana pod patronatem UNICEF. My korzystamy z tej pierwszej – wiele tam osób wyglądających, co tu dużo mówić, na margines. Niektóre nich zaś zaczepiają. Wsiadamy do pociągu około godziny drugiej. Po przedłużonym postoju na granicy wjeżdżamy z opóźnieniem do Przemyśla.

Peron odgrodzony jest płotem, do przejścia granicznego ustawiają się dwie kolejki: dla posiadaczy paszportów zwykłych i dla posiadaczy paszportów unijnych. Przed Ukrainą jest jeszcze długa droga do członkostwa w Unii Europejskiej i w strefie Schengen.

My po kilku minutach przechodzimy do Polski z myślą, że kto w naszym kraju nie jest zwolennikiem Unii, powinien odbyć podobną podróż, zobaczyć stan naszego wschodniego sąsiada, po czym przy powrocie ustawić się w tej pierwszej kolejce. Miałby tam bardzo dużo czasu na przemyślenie swoich poglądów.

MACIEJ MŚCISŁAW MAKAREWICZ

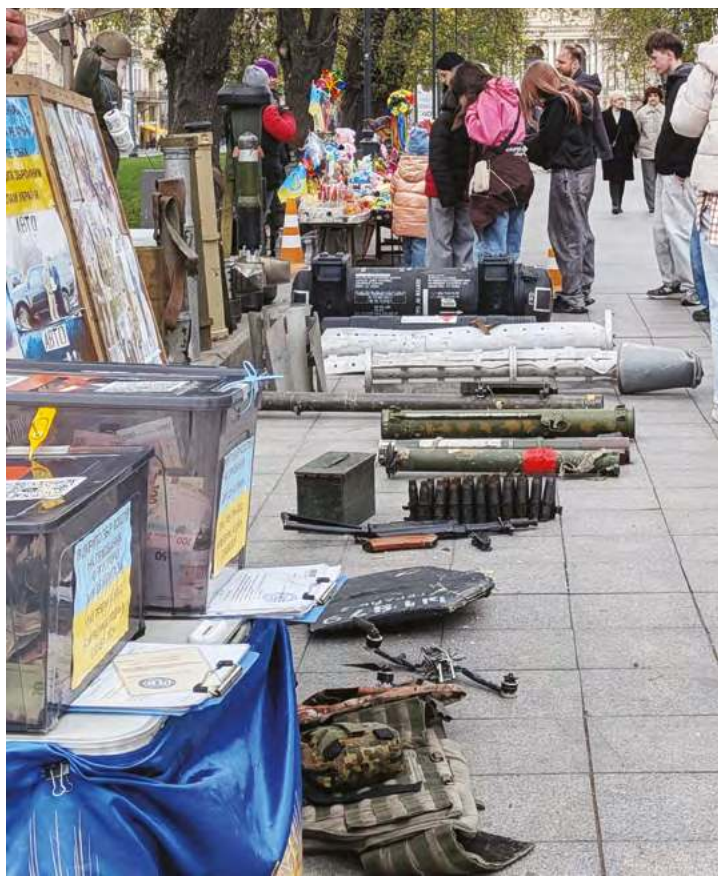

Zdjęcia MACIEJ MŚCISŁAW MAKAREWICZ

eprasa.pl 1638912431

Noblista odchodzi

Bangladesz na tle globalnego kapitalizmu

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W lutym w Bangladeszu odbyły się wybory parlamentarne, które zakończyły okres rządów przejściowych trwających od przewrotu w 2024 r. Doszło wówczas do obalenia rządu premier Szejch Hasiny uznanej za odpowiedzialną za krwawe stłumienie protestów.

Zanim jednak został powołany rząd tymczasowy, do przejęcia władzy szykowała się armia. Dowódca sił zbrojnych generał Waker-Uz-Zaman oświadczył, że prowadził już w jej sprawie rozmowy ze wszystkimi największymi partiami politycznymi – z wyjątkiem odsuniętej od władzy Ligi Awami. Jednak będący siłą napędową protestów studenci nie życzyli sobie wojskowej dyktatury.

Rewolucja pokolenia Z

Latem 2024 r. w stolicy kraju Dhace doszło do potężnych demonstracji studentów. Protestowali oni przeciwko przywróceniu kwotowego systemu rezerwującego połowę etatów w administracji publicznej m.in. dla – między innymi – dzieci weteranów wojny z 1971 r., która doprowadziła do powstania państwa Bangladesz (poza tym preferencje miały przysługiwać przedstawicielom najbiedniejszych regionów i mniejszości narodowych oraz niepełnosprawnym). Wprawdzie na mocy późniejszej decyzji sądu najwyższego kwota przysługująca rodzinom weteranów została zmniejszona z 30 do 5 proc., jednak nie wstrzymało to protestów. Krytycy uważali, że dzięki temu faworyzowane są rodziny zwolenników rządu. Postronnym obserwatorom powód tego typu może nie wydawać się wystarczający do obalenia rządu – jednak gdy trafia on w społeczne nastroje, może okazać się zaczynem rewolucji. Tak było w Tunezji, gdy samobójcza śmierć młodego bezrobotnego nie tylko doprowadziła do zmiany władzy i w następstwie całego systemu politycznego, lecz uruchomiła proces zmian również w innych krajach arabskich.

Motorem zmian w Bangladeszu było pokolenie Z – głównie studenci zorganizowani w ruchu Studenci Przeciw Dyskryminacji, który stał na czele masowych protestów. W ich wyniku premier Sheikh Hasina zmuszona była ustąpić i uciekła do Indii, a następnie została zaocznie skazana na karę śmierci za rozkaz stłumienia zamieszek, co doprowadziło do śmierci ponad 300 osób. Przed wykonaniem wyroku chronią ją indyjskie władze, odmawiające deportacji.

Wcześniej Hasina starała się porozumieć z protestującymi studentami, wysyłając na rozmowy ministra sprawiedliwości. Ci jednak odmówili negocjacji z jej gabinetem, konsekwentnie domagając się jego ustąpienia. Przywódca ruchu studenckiego Nahid Islam oświadczył też, że protestujący nie zaakceptują żadnego rządu, który nie uzyskałby ich rekomendacji.

W efekcie rozmów z premierem – a dokładnie głównym doradcą Ludowej Republiki Bangladeszu – został 84-letni profesor ekonomii Muhammad Yunus, który włączył do rządu studenckich liderów, powierzając im resorty telekomunikacji oraz młodzieży i sportu. Ponadto w składzie jego gabinetu znaleźli się przedstawiciele mniejszości narodowej hindu i rdzennych mieszkańców rejonu Czittagong. Yunus jednoznacznie poparł studenckie protesty, mówiąc, że ochroniły naród i dały mu nowe życie.

Nobel i mikrokredyty

Muhammad Yunus to postać ciesząca się powszechnym szacunkiem w Bangladeszu – i nie tylko.

Dwadzieścia lat temu otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla za stworzenie systemu mikrokredytów: pożyczek na drobne kwoty, udzielanych najuboższym obywatelom nieposiadającym zdolności kredytowej. Takie mikrokredyty pozwalają klientom – 96 proc. z nich stanową kobiety – na rozkręcenie drobnej przedsiębiorczości, zakup potrzebnych materiałów itp. bez zadłużania się u różnego rodzaju lichwiarzy. Wiele pożyczek ma charakter kolektywny, gdzie cała grupa solidarnie poręcza spłatę zobowiązań każdego ze swoich członków.

Mikrokredyty Yunus zaczął od pożyczenia 27 dol. z własnej kieszeni 42 mieszkankom jednej z wiosek. – Czułem się okropnie, wykładając eleganckie teorie ekonomiczne, które nic nie dają ludziom cierpiącym z głodu. Chciałem sprawdzić, czy ja, jako człowiek, mogę komuś pomóc – tłumaczył.

W 2007 r. założył nawet partię Siła Obywatelska – ale szybko zrezygnował z tego pomysłu i skoncentrował się na działalności pomocowej.

Junus był solą w oku obalonej premier. W opozycji Hasina była jego zwolenniczką, lecz po objęciu władzy w 2009 r. szybko zaczęła postrzegać go jako wroga i oskarżać o wykorzystywanie ludzi, którym pomagał; nazwała go nawet pijawką. Za rządów Hasiny przeciwko nobliście i jego bankowi od mikrokredytów – Gramin Bank – wszczęto szereg śledztw; zarzucano mu też przyjmowanie środków pieniężnych – w tym Nagrody Nobla i honorariów za opublikowane książki – bez zezwolenia ze strony rządu. W 2024 r., niedługo przed wybuchem protestów, Yunus i jego trzej współpracownicy zostali skazani na pół roku więzienia za łamanie praw pracowniczych w procesie tak dętym, że 160 światowych osobistości, w tym Barack Obama, były sekretarz generalny ONZ Ban Ki-moon, a także setka laureatów Nagrody Nobla opublikowała list otwarty protestujący przeciwko „nieustannym prześladowaniom sądowym", jakim poddaje go rząd Hasiny.

Student zrobił swoje

Początkowo Muhammad Yunus planował przeprowadzenie wyborów parlamentarnych pod koniec 2025 r.; ostatecznie odbyły się one 12 lutego 2026. Ich wynik był do przewidzenia: przygniatające zwycięstwo odniosło najsilniejsze ugrupowanie – Narodowa Partia Bangladeszu (BNP), zdobywając 209 spośród 297 miejsc. Razem z trzema mniejszymi koalicjantami będzie mieć 212 mandatów. Na drugim miejscu znalazła się islamska Dżamaat-e-Islami z 68 deputowanymi.

Trzecie miejsce – i zaledwie sześć mandatów – uzyskała założona przez studentów Narodowa Partia Obywatelska (NCP).

Można się dopatrywać co najmniej dwóch przyczyn tak niskiego wyniku środowiska, które dwa lata temu rozdawało karty. Po pierwsze, BNP wzięła te wybory szturmem, dzięki faktycznej delegalizacji jej głównego konkurenta – Ligi Awami. Po drugie, nie bez znaczenia były też problemy wewnątrz formacji studenckiej. NCP początkowo deklarowała samodzielny start w wyborach; w ostatniej chwili weszła jednak w sojusz z Jamaat-e-Islami. Lider studenckiej partii Nahid Islam twierdził, że partnerstwo z islamistami nie ma charakteru ideologicznego, a jedynie czysto wyborcze. Uzasadniał to tym, że islamiści są bardziej niż BNP skłonni do przeprowadzenia reform i zwalczania korupcji.

Jamaat-e-Islami nigdy jednak nie cieszyła się znaczącym poparciem społecznym z powodu jej sprzeciwu wobec wojny wyzwoleńczej w 1971 r. Z tego powodu wielu bangladeskich polityków nie uznaje islamistów za wiarygodnego partnera. Dała temu wyraz jedna z liderek ruchu studenckiego Samanta Szarmin, mówiąc, że wielu wyborców upatrywało w NCP alternatywę wobec dotychczasowego politycznego establishmentu, a teraz nie mają tej pewności i zastanawiają się, czy oddać na nią swój głos. W efekcie z powodu różnic ideologicznych z ugrupowaniem islamistów z partii wystąpiło wielu działaczy – zwłaszcza kobiet.

Do Jamaat-e-Islami dołączyło jeszcze 10 ugrupowań, tworząc islamski blok. W ostatniej chwili z sojuszu wycofał się najważniejszy wcześniej partner, Islami Andolan – poszło o spór co do podziału przyszłych mandatów.

Lider Jamaat-e-Islami Shafiqr Rahman początkowo oprotestował wynik wyborów, domagając się od komisji wyborczej wyjaśnienia „masowych nieprawidłowości przy liczeniu głosów"; ostatecznie jednak go uznał. Zadeklarował, że jego partia będzie prowadzić pozytywną politykę jako – jak się wyraził – czujna, pryncypialna i pokojowa opozycja.

Wybory bez opozycji

Zarzuty co do prawidłowości wyborów nie były tak do końca wymyślone – ich wynik został w pewnym stopniu wypaczony przez niedopuszczenie do startu rządzącej do 2024 r. Ligi Awami. Tymczasowy rząd wydał zakaz wszelkiej działalności tej partii ze względu na zbrodnie popełnione podczas brutalnej rozprawy z protestującymi. Obiektywnie rzecz biorąc, za zbrodnie odpowiedzialna była Sheikh Hasina i podległe jej struktury siłowe – a nie szeregowi członkowie Ligi, a tym bardziej jej zwolennicy i potencjalni wyborcy, których w ten sposób dotknęła odpowiedzialność zbiorowa. Nic dziwnego, że Awami uznała, że prawo wyborcze zostało całkowicie zlekceważone. Hasina ogłosiła, że decyzję o wykluczeniu jej partii z wyborów rządzący podjęli we własnym politycznym interesie, i przestrzegła, że może pogłębić podziały w społeczeństwie.

Krytycznie wypowiadali się też miejscowi analitycy. Profesor nauk politycznych i socjologii uniwersytetu w Dhace Navine Murshid podkreśla, że dopuszczenie Ligi Awami do wyborów pozwoliłoby wyborcy wyrazić swój stosunek do tej partii – a tak pozostają jedynie spekulacje co do jej rzeczywistego poparcia. Warto jednak zauważyć, że choć obalona premier nawoływała do masowego bojkotu wyborów, frekwencja była o ok. 20 proc. wyższa niż poprzednich, także bojkotowanych – choć wtedy z inicjatywy BNP.

Nowe reformy, stare problemy

Równocześnie z wyborami parlamentarnymi odbyło się także referendum w sprawie demokratycznych reform zapowiedzianych przez rząd tymczasowy. Premier Yunus był zwolennikiem przeprowadzenia wyborów dopiero po dokonaniu zmian w konstytucji i prawie wyborczym; ostatecznie przyjęto jednak wariant równoczesnych wyborów i referendum.

Przy frekwencji rzędu 60 proc. znacząca większość – 68,59 proc. – opowiedziała się za reformami. Najważniejsze z nich to: dwukadencyjność szefa rządu, umocnienie pozycji prezydenta, utworzenie izby wyższej parlamentu, zwiększenie liczby miejsc zarezerwowanych dla kobiet w izbie niższej, a także wprowadzenie parytetu dla partii opozycji w parlamencie (stanowisko wicemarszałka i niektórych szefów komisji) oraz większa niezależność sądownictwa.

Reformy te dotyczą funkcjonowania instytucji państwowych, lecz same w sobie nie rozwiązują najważniejszych problemów społecznych. Zadanie nowego rządu ułatwia fakt, że będzie miał do czynienia z dość umiarkowaną – jak wynika z zapowiedzi partii islamskiej – opozycją. Najprawdopodobniej będzie też mógł liczyć na poparcie ze strony partii studentów, którzy faktycznie utorowali mu drogę do władzy.

Historia niepodległego Bangladeszu to walka klanów dwóch Rahmanów, kontynuowana po ich śmierci przez dwie skoligacone z nimi kobiety. Z jednej strony była Sheikh Hasina potomikini Mujibura Rahmana – twórcy niepodległego państwa; z drugiej – Khaleda Zia, wdowa po zamordowanym podczas puczu wojskowego w 1981 r. prezydencie Ziaurze Rahmanie. Ta dynastyczna tradycja trwa. Po ostatnich wyborach premierem został syn Khaledy – Tarik Rahman, który po jej uwięzieniu w 2018 r. objął kierownictwo BNP. Ponad 17 lat przebywał na emigracji w Wielkiej Brytanii i powrócił do kraju po obaleniu poprzedniej władzy.

Nowy rząd stanął w obliczu poważnych problemów od lat trapiących kraj. Najważniejszy to bezrobocie – teoretycznie na niezbyt wygórowanym poziomie 4,70 proc., ale wśród najmłodszych sięgające 15 proc. 40 proc. ludności Bangladeszu jest przed trzydziestką – stąd dodatkowe utrudnienia w znalezieniu pracy, związane z przywróceniem przywilejów dla potomków weteranów stały się przyczyną protestu studentów. Problemem jest też inflacja zbliżająca się do 10 proc.

Skutki globalnego kapitalizmu

Na to wszystko nakłada się los przemysłu odzieżowego, który stanowi podstawę gospodarki kraju, jest głównym przedmiotem eksportu i odpowiada za 84 proc. dochodów budżetu. Wartość odzieżowego eksportu wzrosła z 1,8 mln dol. w 1980 r. do 47 mld dol. w roku 2023 – dzięki czemu Bangladesz wyrósł na drugiego po Chinach dostawcę odzieży na rynki światowe.

Nie jest to jednak powód do radości – Bangladesz jest klasyczną ofiarą globalnego kapitalizmu. Jego ekspansja eksportowa jest wynikiem niskich cen – a te osiąga się dzięki głodowym płacom. Cztery miliony pracowników – a w zasadzie pracownic – zatrudnionych w czterech tysiącach zakładów odzieżowych w Bangladeszu zarabiają równowartość 113 dol. miesięcznie. Jak wyliczyła badająca problemy pracy przymusowej organizacja GoodWeave, ponad 30 proc. pracowników pobiera płace niższe od minimalnej.

Co prawda w ciągu ostatnich 30 lat płace były podwyższane sześciokrotnie – jednak jedynie pod presją zapowiedzi masowych pracowniczych protestów. Te wymuszone podwyżki władze rekompensowały sobie represjami wobec związków zawodowych, wysuwając fałszywe oskarżenia wobec działaczy, tworząc czarne listy.

Nowa władza stoi zatem przed alternatywą: albo zachować tę humanitarną twarz, której uosobieniem jest pokojowy noblista Muhammad Yunus, i dążyć do poprawy bytu tych, na których opiera się gospodarka – albo kontynuować dotychczasowy kurs, może w nieco mniej represyjnej postaci. Takie są jednak dylematy peryferyjnego kapitalizmu opartego na gospodarce monokulturowej służącej interesom tej bogatszej części świata.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

eprasa.pl 1638912431

Oblicza demokracji

Wynik węgierskich wyborów jest powodem do radości. Ale...

Od tygodnia trwa wielki festiwal zwycięstwa opozycyjnej TiSzy nad populistyczno-autorytarnym Fideszem Viktora Orbána, który niepodzielnie rządził Węgrami od 16 lat i trzykrotnie wygrywał wybory – w tym dwukrotnie z konstytucyjną większością, którą wykorzystał do zbudowania mafijnego państwa. Jest z czego się cieszyć.

Węgry Pétera Magyara z całą pewnością będą proeuropejskie, a nie trumpowskie, więcej też będzie w nich wolności. Nie będą skłonne do współpracy z putinowską Rosją. Będzie to z pewnością państwo bardziej praworządne i uczciwsze. To dużo, nawet bardzo dużo. Przed nadmiernym entuzjazmem przestrzegałbym jednak.

Sam wynik wyborów – choć imponujący – nie rozstrzygnął wszystkich problemów. Przede wszystkim podstawowego: czy te nowe Węgry będą prawdziwie demokratyczne, czy też pozostaną w nurcie demokracji ograniczonych i okrojonych, w pewnym sensie kulawych? Takich, jakie dziś przeważają w dawnej radzieckiej sferze wpływów oraz na Bałkanach – gdzie demokracja oznacza wybory, ale niewiele więcej. Nie wolno zapominać, że 16 lat temu na Węgrzech podobnie fetowano również wielkie – bo konstytucyjne – zwycięstwo Fideszu Viktora Orbána nad „postkomunistycznymi" socjaldemokratami. A także o tym, że sam Péter Magyar i jego najbliższa współpracownica wywodzą się z ówczesnego aktywu tego orbánowskiego, nacjonalistyczno-populistycznego Fideszu i przez pewien czas tę formację wspierali. Na ile zmienili poglądy na demokrację, to się okaże po pewnym czasie.

Trzy z górą dziesięciolecia upłynęły od załamania się ładu pojałtańskiego, a w konsekwencji systemów autorytarnego państwowego socjalizmu w Europie Wschodniej, Środkowej i na Bałkanach. Państwa regionu odzyskały pełnię suwerenności oraz proklamowały demokrację, gremialnie przystępując do Unii Europejskiej i NATO. Ale te dziesięciolecia dowiodły też, że demokracja pojmowana i realizowana w tych krajach – z małymi wyjątkami – odbiega od zachodnioeuropejskiego wzorca. Te wyjątki to Czechy i wschodnie Niemcy.

Czechy miały w swym doświadczeniu dwa międzywojenne dziesięciolecia przynależności do klasycznej zachodniej demokracji i do niej wróciły, Niemcy wschodnie zaś swój odwrót od autorytaryzmu odbyły pod kontrolą RFN, skutecznie zdemokratyzowanej po wojnie pod nadzorem zachodnich mocarstw okupacyjnych.

Pozostałe państwa regionu w mniejszym lub większym stopniu poszły własną drogą. Żadne z nich nie miało liczących się tradycji nowoczesnej demokracji. Wszędzie też nastroje społeczne i trudne warunki życia tworzyły podatny grunt dla propozycji populistycznych i półautorytarnych. Z wzorców zachodnich przyjmowała się powszechnie jedynie koncepcja wyborów władz, utożsamiona z istotą demokracji.

Owszem: wybory to fundament demokracji, ale nie jedyny.

Innym niezmiernie ważnym – na pewno równie fundamentalnym – jest powstanie demokratycznej wspólnoty narodowej, w ramach której funkcjonują zarówno rządząca większość, jak też opozycyjna mniejszość. Każda ma swoje miejsce i rolę. Rywalizują o władzę, ale też współpracują w podtrzymywaniu i umacnianiu wspólnoty.

Respekt dla praw opozycji i szacunek dla niej wpisane są w istotę demokracji. Wspólnocie demokratycznej powinna towarzyszyć świadomość, że większość i opozycja zmieniają się miejscami, że tysiącletnie trwanie tego samego układu rządów to szkodliwy i na szczęście nierealny mit autorytarny.

W normalnej demokracji obie te strony procesu rządzenia nie tylko zmieniają się miejscami, lecz czasami nawet tworzą wspólne rządowe koalicje. Vide: konserwatyści i laburzyści w Wielkiej Brytanii w czasie II wojny światowej, niemieccy chadecy i socjaldemokraci – często. Dlatego rządzący i opozycjoniści traktują się wzajemnie jak rywale, a nie wrogowie. Tej zasady współżycia wspólnotowego Europa Wschodnia sobie jak dotąd nie przyswoiła. Niestety, nad Odrą i Dunajem rządzący często traktują opozycję jak podbite plemię i rządzą państwem jak okupant.

Na wschodzie Europy nie przyjęła się dotychczas również świadomość, że wolność dla oponentów – czyli dla myślących inaczej niż rządzący – to także kryterium demokracji. W kilku niemieckich miastach na postumentach pomników Róży Luksemburg wyryto jej wiekopomne przesłanie na ten temat: *Freiheit ist immer Freiheit der Andersdenkenden*.

Nasza wybitna rodaczka, najlepiej w świecie rozpoznawalna Polka po Marii Skłodowskiej-Curie, napisała te słowa w polemice z Leninem i Trockim, po wprowadzeniu w powstającym państwie radzieckim zakazu istnienia innych partii – poza bolszewicką. Trocki pouczał Różę, że władza radziecka ustanowiła wolność dla milionów, a pozbawiła jej jedynie tysiące. Ta pogardliwie odpowiedziała: „Wolność dla zwolenników rządu, choćby nawet najliczniejszych, to żadna wolność. Wolność istnieje tylko jako wolność dla myślących inaczej".

Wracając do Węgier: Péter Magyar dziedziczy po Orbánie państwo opresyjne, półautorytarne i eurosceptyczne, choć chętne na europejskie fundusze. Władzę Wiktor Orbán oddał jednak pokojowo, uznał wynik wyborów, pogratulował zwycięzcy. Czyli zachował się po europejsku, a nie rewolucyjnie.

Entuzjastycznie pobudzona część młodych zwolenników Magyara chciałaby rewolucji, domaga się kryminału dla Orbána itp. Sam Magyar się waha, na gratulacje Orbána zareagował po europejsku, powiedział, że obaj będą musieli odbudowywać wspólnotę. Inne jego wypowiedzi brzmiały mniej obiecująco. Kilkakrotnie zelżył pokonanych od „zdrajców", słupów bezmyślnych itp. Wezwał też mianowańców Fideszu na różnych stanowiskach – a więc prezydenta, prezesów trybunałów i sądów oraz tym podobnych – do gremialnej rezygnacji ze stanowisk. Zagroził, że w innym przypadku „my was zwolnimy i to szybko". Być może były to wiecowe powyborcze pogróżki. Ale gdyby miały się ziścić, byłaby to rewolucja w istocie bardzo wątpliwa pod względem demokracji.

Po takiej masowej rezygnacji mianowańców Fideszu musieliby ich natychmiast równie masowo zastąpić mianowańcy TiSzy. W ramach tych samych struktur, zdeformowanych populistycznie i autorytarnie. Pozbawionych godności i niezależności. Byłoby może piękniej, ale nie dużo lepiej. Demokratyczna droga, bardziej czaso- i pracochłonna wymagałaby tolerowania przez pewien czas większości tych orbánowskich mianowańców i wymieniania ich wraz z reformą merytoryczną instytucji – tak, aby było nie tylko piękniej, ale też mądrzej i z lepszymi rokowaniami na przyszłość. Nie ograniczać się do czystek personalnych, lecz likwidować równocześnie deficyty demokracji. Tego należałoby od Magyara oczekiwać.

Deficytów tych jest zresztą więcej. TiSza w wyniku wyborów cieszy się znaczną nadreprezentacją zdobytych mandatów (71 proc.) nad uzyskanymi głosami (53 proc.). Demokracja wymagałaby większej proporcjonalności.

Tak wysoką nadreprezentację mandatów TiSza zawdzięcza dwu okolicznościom. Przede wszystkim bardzo niedemokratycznej ordynacji oktrojowanej przez Orbána z nadzieją na maksymalizację własnego sukcesu. Wpadł jednak Viktor we własną pułapkę i dobrze mu tak. Ale ordynacja jest niewątpliwie do wymiany.

Konstytucyjną większość mandatów zapewniła TiSzy też inna okoliczność. Przedstawiciele tradycyjnych węgierskich partii politycznych, często lokalnie wciąż popularni – lewicowcy lub samorządowcy w Budapeszcie – świadomie powstrzymali się od startowania w tych wyborach, aby usunąć się z drogi TiSzy i maksymalizować jej przewagę nad Orbánem. To zwiększyło sukces Magyara, ale zredukowało scenę polityczną do duopolu antykomunistycznych opcji, lepszej i gorszej. Na dłuższą metę nie jest to redukcja korzystna i demokratyczna. Polska współczesna jest jaskrawym i przykrym tego świadectwem. Ten deficyt demokracji też zasługuje na uwagę i wyrównanie.

Osobnym – ale bardzo poważnym – problemem dla Magyara będzie uporanie się z oligarchiczną deformacją gospodarki i jej wpływem na politykę.

Jednym słowem: warto kibicować Péterowi Magyarowi nie tylko w wyborczym sukcesie, lecz w znacznie trudniejszej i wymagającej wielkiej wyobraźni i determinacji – oraz, niestety, cierpliwości – pracy nad zbudowaniem prawdziwie demokratycznych Węgier.

M.Z.

Gospodarze i przybysze

To nigdy nie była „ziemia bez ludu"

Izraelczycy – przynajmniej ci, którzy przybyli z diaspor – to koloniści. Nie w sensie moralnego osądu każdego z osobna, ale w sensie historycznego procesu: przybyli pod ochroną obcego mocarstwa – brytyjskiego mandatu, potem amerykańskiego wsparcia – i zajęli ziemię, na której żyli inni.

Zapytaj Palestyńczyka o jego korzenie. Odpowiedzią nie będzie opowieść o podróży, wizie ani statku. To będzie lista miast: Hebron, Nazaret, Jerozolima, Gaza, Jafa, Ramallah, Betlejem. Wymawia je jak członków rodziny. Bo nimi są.

Każda nazwa kryje w sobie pokolenia: dziadków, którzy sadzili drzewa oliwne, prababcie, które rodziły w tych samych kamiennych domach, klucze do drzwi, które pamiętają czasy osmańskie, brytyjskie, jordańskie – wszystko, z wyjątkiem spokoju.

A Izraelczyk? Zapytany o swoje korzenie, odpowie: Polska, Węgry, Ukraina, Rumunia, Argentyna, Maroko, Jemen. Czasem doda: „Przyjechali w latach 40., 50. lub później". To nie jest zarzut – imigracja nie jest grzechem. Ale nazywanie siebie „powracającym do ojczyzny", a tych, którzy nigdy nie wyjechali – „nielegalnymi obecnymi" – to już jest manipulacja.

Prosta prawda – niewygodna, ale prosta – brzmi następująco: Palestyńczycy są gospodarzami tej ziemi. Nie przybyli, nie wyparli, nie wygnali. To oni płacili podatki, uprawiali rolę, chowali zmarłych w tej samej glebie przez stulecia, zanim powstało państwo, które uznało ich za problem demograficzny.

Zmienili nazwy miast, wymazali krajobraz i zbudowali własne państwo na gruzach cudzego domu.

Nie ma tu symetrii. Nie ma „dwóch stron tej samej monety". Jest gospodarz i gość, który wyrzucił gospodarza, a potem przez dziesięciolecia nazywał go agresorem.

Palestyńczycy nie potrzebują legitymizacji ONZ, nie potrzebują zachodnich uniwersytetów, by potwierdzały ich istnienie. Oni po prostu są. Ich obecność poprzedza każdą Deklarację Balfoura, każdą rezolucję, każdą mapę z Zieloną Linią.

Palestyna była, jest i będzie palestyńska. Nie dlatego, że to ładne hasło, ale dlatego, że to fakt geograficzny i demograficzny. Można go zignorować bombami, murami, osadami. Nie można go wymazać.

Niech nikt nie opowiada już historii o „ziemi bez ludu dla ludu bez ziemi". Ziemia miała swoich ludzi. I ci ludzie wciąż tu są – w Hebronie, Nazarecie, Jerozolimie, Gazie, Jafie. Wystarczy ich zapytać.

OMAR FARIS

Trumpolandia

Po tym, jak prezydent USA wdał się w pyskówkę z papieżem, którego oskarżył, że jest miękki dla przestępców, nie zna się na polityce zagranicznej i wykazuje niewdzięczność, albowiem dostał tę robotę tylko dzięki Trumpowi – ruch MAGA, składający się w znacznej części z integrystów religijnych, musiał odpowiedzieć sobie na pytanie: kogo bardziej kochasz, mamusię czy tatusia. Wiceprezydent JD Vance – który, trzeba trafu, jest świeżej daty katolikiem i właśnie wydaje książkę, w której opisuje swoje nawrócenie na papizm – ogłosił, że Ojciec Święty powinien „być ostrożny, gdy wypowiada się na tematy teologiczne". Sean Hannity, gwiazda protrumpowej telewizji Fox News, zapytał: „Czy on w ogóle przeczytał Biblię?". Wątpliwość była adresowana do Leona XIV.

Za to nikt w ruchu MAGA nie ma wątpliwości co do znajomości Pisma Świętego wykazywanej przez tzw. sekretarza wojny Pete'a Hegsetha, który co prawda nie jest katolikiem – należy do ekstremistycznego odłamu protestantyzmu zwanego Wspólnota Kościołów Ewangelicko-Reformowanych – ale do katolskich tradycji nawiązuje w swoich tatuażach: „Deus Vult" na prawym bicepsie i krzyżu jerozolimskim na piersi. Podczas nabożeństwa w Pentagonie Hegseth zapowiedział, że odczyta „modlitwę" i wezwał: „Módlcie się ze mną, proszę". Po czym z zaangażowaniem wyrecytował fragment „Pulp fiction" Quentina Tarantino. Ten, w którym cyngiel mafii, grany przez Samuela L. Jacksona, terroryzuje studentów, którzy przekręcili walizkę prochów, zanim jednemu z nich rozwali łeb. W marcu na analogicznym nabożeństwie w intencji wojny z Iranem Hegseth modlił się o „druzgocącą przemoc wobec tych, którzy nie zasługują na litość".

Szef FBI Kash Patel, który zawsze wygląda, jakby przez pomyłkę połknął całą fiolkę amfetaminy, wytoczył proces magazynowi „The Atlantic", który opublikował tekst zatytułowany: „Dyrektor FBI jest MIA" – gdzie MIA oznacza *missing in action*, czyli „zaginiony w toku działań bojowych". Patel oskarżył „The Atlantic" o „opublikowanie artykułu pełnego fałszywych i ewidentnie sfabrykowanych zarzutów, mających na celu zniszczenie reputacji dyrektora Patela i zmuszenie go do odejścia ze stanowiska". Szczególne dotknął go zarzut, że „pije do stanu wyraźnego upojenia alkoholowego" w zamkniętych klubach takich jak Ned's w Waszyngtonie i Poodle Room w Las Vegas. „Dyrektor Patel nie pije nadmiernie w tych lokalach ani nigdzie indziej, a kwestia ta nie stanowiła i nigdy nie stanowiła powodu do niepokoju w całym rządzie" – napisali adwokaci szefa FBI. Patel domaga się od gazety ćwierć miliarda dolarów odszkodowania.

AWŁ

eprasa.pl 1638912431

Pierwsza komunia przerodziła się w ostatnie kuszenie

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Końcowy przystanek katolicyzmu

Kiedyś wydawało się, że pierwsza komunia sprowadza się do tego, że dziecko szło do kościoła, zakładało odświętne ubranie, dostawało medalik, zegarek albo rower i po sprawie. Dziś taki pogląd można sobie oprawić w ramkę i powiesić obok zdjęcia z czasów, gdy schabowy kosztował rozsądne pieniądze, a słowo talerzyk kojarzyło się z porcelaną, a nie rodzinnym haraczem. Bo współczesna komunia coraz bardziej przypomina małe wesele, tyle że bez pana młodego, bez panny młodej, i za to z dziewięciolatkiem, który bardzo często nie ma pojęcia, że właśnie stał się osią rodzinnego przepływu gotówki.

Same dane mówią zresztą wszystko. Według jednego z tegorocznych kosztorysów przyjęcie komunijne dla 20 osób zamyka się w wersji oszczędnej w okolicach 5 tys. zł, a w opcji wypasionej dobija do 12 tys. zł. I to bez żadnych ekstrawagancji w rodzaju pałacu, kwartetu smyczkowego i fontanny z czekolady.

Wydatki niepojęte

Oczywiście sakrament jest darmowy. Tak się oficjalnie mówi. Tyle że zaraz potem okazuje się, że rodzice „zazwyczaj dzielą między siebie koszty wspólne". A te mają bardzo indywidualny charakter. Składka na kwiaty, sprzątanie, dekoracje i parafialne sprawy poboczne wynosi najczęściej od 100 do 300 zł od dziecka. Do tego dochodzi zestaw dewocjonaliów, czyli różaniec, książeczka, świeca, medalik i inne przedmioty niezbędne, by duchowość dała się sfotografować. Taki komplet kosztuje przeważnie 150–400 zł. W sumie daje to od 250 do 700 zł, jeszcze zanim rodzice zaczną myśleć o torcie, zdjęciach i tym, czy ciocia z Puław obrazi się, jeśli przy stole nie dostanie personalizowanej winietki. Sakrament jest więc bezpłatny tak samo, jak bezpłatne bywają państwowe świadczenia, do których trzeba wcześniej donieść teczkę opłat, zaświadczeń i własnych pieniędzy.

Potem zaczyna się drugi etap sakramentu, czyli ubieranie dziecka w świętość. Jeśli parafia wymaga alby, to sam ten element stroju kosztuje ok. 250–450 zł. Jeśli zaś dopuszcza większą swobodę, dochodzi sukienka albo garnitur wyceniane na 400–1500 zł. Ale przecież dziecko nie pójdzie do kościoła boso, a dziewczynka nie wystąpi bez wianka, halki czy innych komunijnych rekwizytów. Dlatego dodatki potrafią pochłonąć kolejne 300–600 zł, a według innych wyliczeń sam wianek to około 150 zł, halka 100 zł, buty 200 zł; zaś nowy garnitur dla chłopca potrafi kosztować około 700 zł. Kto zatem sądzi, że strój komunijny to jedna pozycja, ten najwyraźniej od dawna nie robił zakupów w szczycie sezonu. Strój komunijny jest bowiem osobną kategorią wydatków.

Największym wydatkiem jest oczywiście pokomunijne przyjęcie. W 2026 r. cena za osobę dorosłą na komunijnym obiedzie ma się mieścić najczęściej między 180 a 350 zł. W praktyce oznacza to tyle, że rodzina zapraszająca 20 osób już na starcie ma do wyjęcia około 3,6 tys. zł w wariancie skromnym i około 7 tys. zł w wersji bardziej godnej. A przecież te widełki dotyczą przyjęcia podstawowego, bo napoje i tort bywają płatne oddzielnie, w większych miastach zaś bywa jeszcze drożej. Tort komunijny to najczęściej 300–700 zł, choć inne wyliczenia pokazują, że tort dla 12 osób kosztuje około 400–450 zł, a przy 30 gościach piętrowa konstrukcja potrafi dojść do 890 zł.

A potem nadchodzi etap dokumentowania wzruszenia, bo jak wiadomo uroczystość, której nie sfotografowano, nie wydarzyła się wcale. Fotograf i sesja plenerowa kosztują od 500 zł, gdy rodzice składają się grupowo, do 1500 zł za wersję bardziej indywidualną. Do tego dochodzi słodki stół, który w zestawieniach premium nie pojawia się przez przypadek, bo jeśli rodzina zacznie urządzać sakrament pod Instagram, to każde ciastko ma nagle aspiracje do dzieła sztuki cukierniczej. I tak człowiek dochodzi do momentu, w którym na stole stoi tort za kilkaset złotych, fotograf klika migawką, a dziecko nadal najbardziej marzy o tym, żeby w końcu dostać prezenty.

Ale nic z tych rzeczy. Wszak na liście wydatków komunijnych pojawia się drobnica, choć wcale nie taka drobna. Podziękowania dla gości przy talerzykach w postaci krówek, czekoladek czy minimiodów kosztują średnio 5–15 zł za osobę. Podziękowania dla chrzestnych i dziadków to już 80–200 zł za sztukę. Dodatkowe dekoracje lokalu i stołu pochłaniają 200–500 zł, a papeteria, czyli zaproszenia, winietki, menu i inne święte kartoniki kosztują kolejne 5–15 zł za sztukę. Gdyby komuś zamarzyła się jeszcze profesjonalna dekoratorka, to musi się liczyć z wydatkiem rzędu 1500–3000 zł, choć sprzedawcy komunijnego wystroju uspokajają, że gotowy zestaw da się zrobić za 300–500 zł. Innymi słowy, to co w rodzinnych rozmowach określa się lekceważącym „a tam jakieś dodatki", potrafi dobić budżet setkami, a nawet tysiącami złotych.

Ukarani zaproszeniem

I tu ktoś powie, że przecież rodzicom te koszty zwrócą goście. Nie bardzo. Co prawda z jednego z tegorocznych opracowań wynika, że goście na komunię dają zwykle 300–600 zł, a chrzestni i dziadkowie 500–1500 zł. Z kolei inne zestawienia podają bardziej przyziemne widełki: znajomi i dalsza rodzina 200–300 zł, ciocie i wujkowie 500–600 zł, dziadkowie 700–1000 zł. W raportach finansowych widać zaś, jak to wygląda od strony deklaracji budżetowych Polaków. Na kopertę lub prezent dla jednej osoby niewielka część badanych przeznacza do 100 zł, większe grupy mieszczą się w przedziałach 101–500 zł, a kwoty powyżej 1000 zł pozostają marginesem. Kto zatem planuje, że komunia sama się sfinansuje, ten najwyraźniej pomylił uroczystość rodzinną z programem dopłat.

Presja finansowa zaczyna być tak duża, że część rodziny najchętniej ucieka przed komunią w krzaki. W badaniach dotyczących wydatków sezonowych aż jedna trzecia respondentów przyznaje, że ze względu na rosnące koszty życia byłaby skłonna odmówić udziału w komunii. I trudno się temu dziwić. Bo jeśli ktoś idzie w parze, to już sama obecność przy stole oznacza nierzadko wydatek, który trzeba liczyć nie w setkach, ale w tysiącach, zwłaszcza gdy do koperty dochodzi jeszcze zakup stroju, dojazd i cała ta obowiązkowa otoczka. Komunia stała się więc nie tylko wydatkiem rodziców, ale także testem płynności finansowej dalszej rodziny. Sakrament jednoczy, owszem, ale głównie wokół wspólnego cierpienia przy bankowej aplikacji.

A gdy już gość uzna, że same pieniądze to za mało i wypadałoby dziecku podarować coś „porządnego", zaczyna się osobny rozdział komunijnego szaleństwa. Z badań rynku wynika, że niemal co drugi uczestnik komunii wybiera na prezent sprzęt elektroniczny. Gotówkę wybiera jakaś jedna trzecia, a reszta rozkłada się na biżuterię, rowery i inne takie.

Pożegnania kilka słów

I choć 62 proc. Polaków wciąż deklaruje, że pierwsza komunia to przede wszystkim wydarzenie duchowe, to gdy pytani nie są o siebie, lecz o innych, już tylko 34,1 proc. uważa, że inni widzą w komunii duchowość. Prawie tyle samo – 31,9 proc. – mówi wprost, że chodzi o spotkanie rodzinne. A 16,4 proc. nie owija w bawełnę i wskazuje na prezenty. Wśród tych, którzy bywają w kościele kilka razy w tygodniu, aż 96 proc. uważa komunię za ważną. Wśród niepraktykujących już tylko 50 proc. Okazuje się, że dla połowy z nas ten rytuał traci sens, choć wciąż bywa realizowany.

Bo komunia pozostała obowiązkiem. Najlepiej widać to w szkołach, gdzie do czasu pierwszej komunii dzieci chodzą na religię w miarę stadnie. Chodzą dlatego, że „tak się robi", że babcia czeka, że rodzina pyta. Efekt jest taki, że komunia staje się czymś w rodzaju ostatniego religijnego przystanku przed ucieczką. Dane ze szkół pokazują to bezlitośnie. To właśnie po komunii dzieci zaczynają znikać z lekcji religii. Najpierw pojedynczo, potem całymi grupami, aż w klasach VII–VIII zostaje mniej niż jedna trzecia. Kościół oczywiście to widzi i reaguje.

Przesunięcie komunii z drugiej do trzeciej klasy nie było przecież decyzją teologiczną. Skoro dzieci po komunii przestają chodzić na religię, to trzeba je przytrzymać jeszcze rok, dodając dwa semestry katechezy więcej.

Takie zabiegi przypominają raczej odsuwanie nieuniknionego niż realne rozwiązanie, bo równolegle dzieje się coś znacznie poważniejszego. Coraz mniej dzieci w ogóle trafia do tego systemu. Spada procent dzieci chrzczonych. Coraz więcej dzieci nie idzie też do komunii. Może właśnie to jest dziś najbardziej wymowny obraz polskiej religijności. Nie gwałtowne odejście, nie bunt, tylko zrozumienie, że jedynym sakramentem, jaki pozostał dla wiernych, jest sakrament płacenia.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Sąd Okręgowy w Warszawie uwzględnił odwołanie Telewizji Polskiej w sprawie kary w wysokości 145 tys. zł nałożonej na nadawcę przez przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Macieja Świrskiego po emisji reportażu „Arcydzieło Rydzyka" w programie „Raport Specjalny". Materiał przedstawiał kulisy finansowania Muzeum „Pamięć i Tożsamość" im. św. Jana Pawła II w Toruniu. W reportażu, który ukazał się w grudniu 2024 r., kilkakrotnie przewijała się informacja, jakoby w przypadku likwidacji placówki kultury cały jej majątek miał trafić do związanej z o. Tadeuszem Rydzykiem fundacji Lux Veritatis. Instytucja domagała się sprostowania. Według sądu materiał mieścił się w granicach debaty publicznej. KRRiT złoży wniosek o pisemne uzasadnienie wyroku i będzie składać apelację.

✚ Zespół Szkół Ekonomiczno-Gastronomicznych w Cieszynie domaga się od jednego z zatrudnionych tam w ostatnich latach księży zwrotu pobieranej przez 3,5 roku pensji. Klecha miał podjąć pracę we wrześniu 2021 r., przedłożywszy nieaktualne zaświadczenie z Krajowego Rejestru Karnego jeszcze z poprzedniej pracy. Duchowny, na co dzień wikariusz w parafii Narodzenia Świętego Jana Chrzciciela w Cieszynie, był prezesem spółki Wydawnictwo i Studio Filmowe Anima Media. Jako że nie odprowadzał do ZUS-u należnych za pracownika składek i nie wypłacał mu pensji, Sąd Okręgowy w Bielsku-Białej przyklepał księdzu miesiąc pierdla w zawieszeniu na rok. Zgodnie z prawem nauczyciel po wyroku skazującym traci prawo do wykonywania zawodu. Kurii i ówczesnej dyrekcji zarzuca się, że nie podjęły żadnych kroków wobec duchownego. Umowa z księdzem została rozwiązana w kwietniu 2025 r. Aktualna dyrekcja po zasięgnięciu opinii prawnej czeka na zwrot ponad 200 tys. zł. Sprawa jest w toku.

✚ Firma technologiczna Just Like Me uruchomiła aplikację o tej samej nazwie, która za opłatą umożliwia rozmowę z wygenerowaną przez sztuczną inteligencję wersją Jezusa Chrystusa. Usługa kosztuje 1,99 dol. za minutę. Funkcja została oparta na wizerunku Zbawiciela z serialu „The Chosen", granego przez Jonathana Roumie. Jak zapewniają twórcy, ma ona oferować wskazówki i współczucie, bazując na Biblii Króla Jakuba, czyli protestanckim tłumaczeniu Pisma Świętego. Co kto lubi, ale za cenę kilku minut rozmowy z algorytmem lepiej samemu zamienić wodę w wino.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

✚ „Tak to jest, jak zamiast katolickiej nauki społecznej słucha się protestanckich, amerykańskich herezji. Syjonizm w połączeniu z narcystycznym tłem charakteru daje quasimesjańską religię obłędu"– napisał ksiądz Daniel Wachowiak 13 kwietnia na X. Komentarz dotyczył umieszczonej przez Donalda Trumpa grafiki przedstawiającej go jako Jezusa. „Nie raz twierdziłem, że w Trumpie jest więcej katolickości niż w katoliku Bidenie. Nadal tak twierdzę. Ponadto mnóstwo katolików zajmuje od dziś ważne stanowiska w USA. Niech upada dyktatura relatywizmu. W Europie też…" – pisał księżulo rok temu w dniu zaprzysiężenia Trumpa na prezydenta. „Jeśli prorok mówi w imieniu Pana, a słowo się nie spełni – to nie pochodzi od Boga" czy jakoś tak.

✚ Doskonała wiadomość: ks. Jan Wodniak trafił do rejestru sprawców seksualnych. Wpisu dokonała 17 kwietnia Państwowa Komisja ds. Pedofilii. W publicznym spisie znajdują się imię, nazwisko, zawód, miejsce zamieszkania oraz uzasadnienie decyzji. Jak m.in. wskazała komisja, klecha „w krótkich odstępach czasu wielokrotnie doprowadził małoletniego poniżej lat 15 (…) do obcowania płciowego polegającego na odbywaniu z nim stosunków analnych i oralnych, a także poddania się i wykonywania innych czynności seksualnych". Niech dobra nowina się niesie.

KLECHA

eprasa.pl 1638912431

Ekran z prałatkiem

Telewizja Polska wykorzystuje dzieci

Ks. Henryk Jankowski zrobił w życiu wiele złych rzeczy. Oprócz tego, że kapelanował Solidarności, obłapiał też dziatwę. Choć jego życie było barwne, zapamiętany został głównie w kontekście pedofilii i tak też został przedstawiony w spektaklu „Prałat" Teatru Telewizji. „TVP w likwidacji" – jak lubią nazywać postkurską telewizję publiczną jej aktualni krytycy – bardzo przyłożyła się do promocji premiery „Prałata", uznając widocznie temat za ważki, a samo przedstawienie za atrakcyjne dla przeciętnego zjadacza telewizorni. Media społecznościowe zasypywały przedpremierowe klipy, Warszawę – banery reklamowe. Apetyt został umiejętnie pobudzony, oczekiwania były na miarę czegoś rzeczywiście przełomowego. Czy da się powiedzieć jeszcze coś odkrywczego o księżach pedofilach?

Chóry diabelskie

No, jest trudno. Ale to teatr, więc możliwości wyobraźni są większe niż w fabularnym „Klerze" Smarzowskiego, a tym bardziej w materiałach dziennikarskich (o ile autor nie zechce podkoloryzować). Twórcy „Prałata" z tej umowności sceny skorzystali, robiąc sztukę o sztuce, która miała nie powstać, bo diabeł się nie zgadza. Książę ciemności interweniuje oto u władz „TVP w likwidacji" – jak autoironicznie nazywają ją twórcy – by nie dopuścić do emisji spektaklu o Jankowskim. Szatan powołuje się na umowę, według której telewizja publiczna ma w ogóle nie tykać Kościoła. Bo tykanie go tylko przeszkadza mu w robocie. Piętnowanie zła odstręcza kolejnych kandydatów do piekła i cały szatański plan diabli biorą. Lepiej więc o grzeszkach księży nie mówić, aby mogli w spokoju pracować na emeryturę w kotle pełnym smoły.

Ale bohaterska telewizja chce mówić i krzyczy, żeby ocalić choć jedno niewinne istnienie. W tym celu zaprzęga do roboty stado małych istnień. Chór ministrantów pełni w „Prałacie" rolę antycznego chóru, falsecikami wyśpiewującego słowa komentarza i pouczenia. Dzieci w komżach są zarówno ofiarami prałata, jak i jego oskarżycielami. Sam Jankowski zaś próbuje w pewnym momencie brać na litość, zrzucając winę za swoje winy na własne trudne dzieciństwo. Ale to nie robi wrażenia na oskarżycielach i kapelan solidaruchów musi cierpieć wieczne męki, patrząc na obalanie swojego pomnika, wiecznie nie rozumiejąc, co tak naprawdę zrobił źle. Pomnik gdańskiego prałata rzeczywiście obalono w 2019 r., niedługo po publikacji reportażu Bożeny Aksamit „Sekret Świętej Brygidy. Dlaczego Kościół przez lata pozwalał księdzu Jankowskiemu wykorzystywać dzieci?". Wspomnieć należy, że on sam zmarł w 2010 r., więc upadek monumentu mógł rzeczywiście oglądać tylko z perspektywy piekła. Panowie zaś, którzy w czynie społecznym tego aktu bądź co bądź wandalizmu dokonali, zostali uniewinnieni.

Rys. WIDGET

Żydożerca w garniaku

Prałat Jankowski, zanim dopadły go zarzuty pedofilii, znany był przede wszystkim z antysemityzmu i wystawnego życia. Nie krył się ze swoją zamożnością, paradował w białych, szytych na miarę garniturach (tak też jest przedstawiony w spektaklu TVP), zaskakiwał pomysłami biznesowymi: produkcja wina Monsignore i wody mineralnej na kaca, w planach miał sieć telefonii Prałat Mobile. W wolnych chwilach szkalował Żydów, głosząc kazania czy przystrajając groby pańskie w odpowiednie hasła. O ten antysemityzm sądził się z równie nieżyjącym pisarzem Pawłem Huelle, który obsobaczył go w „Rzeczpospolitej". „Ten kapłan zupełnie nie rozumie Ewangelii i przeciwstawia się ostentacyjnie nauczaniu papieża. Jest po prostu mutacją polskiego endeka z moczarowską, komunistyczną fobią plucia na obcego: Żyda, pedała, euroentuzjastę.

To chory człowiek, nieszczęśliwy w gruncie rzeczy i potłuczony, który polskość wymieniłby w każdej chwili na dowolny paszport – volksdeutscha, Irakijczyka, Rosjanina – gdyby szły za tym piękne szaty, nowe limuzyny, tytuły i ordery

– przypinane do jego białego, przypominającego styl pułkownika Kadafiego munduru, w który ksiądz prałat tak lubi się przyodziewać" – pisał z właściwą artyście czułością. Jankowski chciał za to przeprosin, ale sąd uznał, że Huelle przepraszać nie musi. Fragment artykułu cytowany jest w „Prałacie", a w „Rzepie" pojawiła się entuzjastyczna recenzja spektaklu. Wspaniała synergia, namacalna siła sztuki.

Dopiski

Spektakl trwa niespełna godzinę (jest dostępny w serwisie TVP VOD), a niemalże drugie tyle postscriptum do niego, wypełnione rozmową z ekspertami, żeby widz nie miał wątpliwości, co przed chwilą zobaczył i aby mu się utrwaliło. Nie każdy jest koneserem sztuki, zatem by nie pozostawić wątpliwości, iż prałat był zły i jego firma też jest zła, pół godziny z okładem omawiano tę kwestię bez scenografii, charakteryzacji i językiem normalnego człowieka. Niemal dwie godziny antyklerykalizmu i antyprałatyzmu w publicznej telewizji to dla niektórych za wiele. Po emisji „Prałata" w obronie głównego bohatera apel wystosowali solidarnościowi kombatanci, którym się nudzi i na których nikt nie zwraca uwagi. Paszkwil na ich idola to doskonała okazja, żeby przypomnieć o sobie światu, i z tej okazji skwapliwie skorzystali. „O kompromitującej wartości artystycznej tego dzieła można powiedzieć tylko to, że dorównało ogólnemu poziomowi »TVP w likwidacji«, widocznemu po zamachu na tę instytucję 13 grudnia 2023 r." – rozpoczynają patetycznie, by na końcu grozić pozwem, bo prałat Jankowski wcale nie był takim potworem, jak go w „Prałacie" malują. Zezłościł się też sekretarz Stowarzyszenia Pamięć Jana Pawła II Konrad Wierzbicki, bowiem w spektaklu zbrukano także pamięć naszego wielkiego rodaka. Grany przez Rafała Dziwisza (sic!) Jankowski mówi w pewnym momencie: „Są księża w otoczeniu nawet samego papieża – tak, naszego papieża Jana Pawła – którzy są w tej kwestii nawet gorsi ode mnie". To natchnęło Wierzbickiego do konstatacji: „Widzimy »ciche« przyzwolenie »koalicji 13 grudnia« na uderzenie w te wartości, które dla nas są »święte«. Przykładem tego jest pseudospektakl, a raczej zgoda na jego wyemitowanie w Teatrze Telewizji TVP w likwidacji, siłowo przejętej przez ekipę Tuska".

Amatorzy. Przecież samo się prosi: Tusk spektaklem o pedofilii kleru chce przykryć skandale pedofilskie w KO. Pierwsza rada gratis, kolejne dostępne w abonamencie.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Episkopat w likwidacji

Biskupi potrafią zjednoczyć – przeciwko sobie

Ilustr. PAWEŁ FERENC

W Polsce rośnie bezrobocie, także dla antyklerykałów. O palmę pierwszeństwa w krytyce kleru biją się teraz katolicy wszelkiej maści i orientacji. Od kiedy papież Franciszek zaczął domagać się deklerykalizacji Kościoła, szeregowi wierni wzięli sobie mocno ten postulat do serca i walą w księży jak w bęben. Nie oszczędzają nawet biskupów i papieży, co do niedawna zarezerwowane było dla bezbożników rangi Urbana. Poprzedni szef Kościoła kat. tak rozsierdził prawicę, że ta w imię obrony świętej wiary nie wahała się ubliżać ojcu świętemu od najgorszych w ich mniemaniu, czyli np. od lewaków.

Polscy katolicy też się rozbestwili, ci z prawa i (umownego) lewa. Ponad podziałami domagają się… likwidacji episkopatu. Konkretnie to Konferencji Episkopatu Polski (KEP), czyli zbiorowego ciała biskupów, które jako takie wypuszcza listy, stanowiska i opinie.

Ponieważ zaś wbrew pozorom nie są monolitem, kompromisowo wypracowane dokumenty to zazwyczaj zlepek frazesów, który ma nikogo nie urazić i koniecznie musi zawierać cytat z JP2.

Impas przełamał dopiero kard. Ryś, który napisał pochlebny list o Żydach i zachęcił katolików do odwiedzenia synagogi, jako i Wojtyła czynił. To przelało czarę goryczy po prawej stronie polskiego papizmu i zwymyślano biskupów jako zbiorowość od rabinów i sanhedrynu.

Pojawiły się głosy, że to tylko fanaberia judeofila Rysia i porządni Polacy z episkopatu się buntowali, ale nie mieli siły przebicia przez kardynała. Toteż red. Paweł Chmielewski z portalu Polonia Christiana wykoncypował, że trzeba ukrócić ten lewacki kolektywizm i postawić na indywidualizm. „Konferencje episkopatu stały się tworem wyjątkowo szkodliwym. Ograniczają podmiotowość biskupów, prowadzą do niepotrzebnego ujednolicenia przekazu, co na ogół sprzyja narracji lewicowej. Dlatego trzeba je zlikwidować – albo chociaż poważnie okroić. Stawiam tezę, że najwłaściwsze byłoby podbudowanie roli metropolitów. Wzmocnienie roli metropolii kosztem konferencji episkopatów to ciekawy model, który z jednej strony ogranicza potencjalną kakofonię wielu nieskoordynowanych głosów, a z drugiej pozwala na znacząco większą podmiotowość metropolitów względem struktur episkopatu" – pisze reformator Chmielewski.

Niespodzianie wyciąga do niego rękę redaktor liberalnokatolickiej „Więzi". Też uważa KEP za zło wcielone, choć z zupełnie innych powodów. „Otwarci katolicy" ganią biskupów za wątłą walkę z pedofilią, niechęć do reform i inne bliskie naiwnym idealistom pierdoły. Red. Marcin Kędzierski koledze Chmielewskiemu przypomniał swój tekst z grudnia ubiegłego roku, w którym pisał z kolei: „Jeśli miałbym być precyzyjny, krytycznie musiałbym pisać raczej o Konferencji Episkopatu Polski. Wbrew pozorom mam bowiem dobre zdanie o wielu biskupach jako ludziach (choć już niekoniecznie jako liderach, a pełnienia tej funkcji powinniśmy od nich oczekiwać), ale fatalne o episkopacie jako ciele zbiorowym, które z wielu porządnych ludzi wyciąga to, co najgorsze. Obserwując działania KEP w ostatnich latach, stwierdziłem, że spełniają one kryteria definicji struktury zła i grzechu. Dlatego w zasadzie każdy tekst o Kościele powinienem za Katonem Starszym kończyć frazą »poza tym uważam, że polski episkopat powinien upaść«".

Słusznym inicjatywom należy przyklaskiwać. Zacznijmy po prostu od likwidacji episkopatu. Za co, ustali się potem.

MATT KOBOSKO

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***Co nam przynosi współczesność oderwana od chrześcijaństwa? Między innymi zoopersonalizm, czyli poniżanie godności człowieka, a przypisywanie tej godności zwierzętom.*** *(…)* ***Dziś przekonujemy się coraz bardziej, że to, co próbuje się nam dzisiaj stworzyć w zamian za dziedzictwo chrześcijańskie, jest zdecydowanie poniżej godności człowieka i poniżej godności bytu narodu.*** *Dlatego obyśmy byli wiernymi temu, co przyniósł chrzest Polski, i byli dumni z tego powodu.*

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Radio Maryja, 14 kwietnia

■ ***Edukacja zdrowotna ze względu na swoje treści mocno związane z przekonaniami religijnymi i światopoglądowymi powinna być przedmiotem szerokiego i merytorycznego dialogu pomiędzy podstawowymi podmiotami wychowania, czyli szkołą, rodziną, Kościołem katolickim oraz innymi Kościołami i związkami wyznaniowymi.*** *Dialog powinien doprowadzić do wzajemnego porozumienia i wypracowania wspólnych ustaleń i rozwiązań dla dobra ucznia.*

Komisja Wychowania Katolickiego KEP, oświadczenie ws. edukacji zdrowotnej, 14 kwietnia

■ ***Piszę to w 1060. rocznicę Chrztu Polski i ten fakt jest znaczący. Bo Polska będzie katolicka albo będzie demoniczna, nie ma drogi pośrodku.*** *Wyrzucenie z życia indywidualnego i społecznego wartości chrześcijańskich nie powoduje, że pojawia się bliżej nieokreślona „neutralność", ale czarna dziura, która zaczyna zasysać to, co jest wokół.* ***A co może być wokół, gdy nie ma Boga? Brak Boga to piekło.***

Kaja Godek, X, 14 kwietnia

■ *Kiedy ludzkie prawa, rezolucje, umowy, regulaminy, decyzje Trybunałów i Komisji są sprzeczne z prawami Bożymi, wierzący są wezwani do posłuszeństwa Bogu, nawet jeśli to nasze nieposłuszeństwo ludzkiej władzy będzie nas kosztować sukces, awans społeczny, jakiś stołek mniejszy czy większy, a może wyrzucenie z salonu; uderzenie w środki do życia, a może uderzenie w samo życie.* ***Nie możemy zapomnieć, że Bóg i Jego prawo są ważniejsze, są mocniejsze niż ludzkie układy i władza.***

ks. Marek Weresa, homilia, Bazylika św. Piotra, Watykan, 16 kwietnia

■ *Tak jak ciało bez duszy jest martwe, tak Europa bez chrześcijaństwa nie ma przyszłości.* ***Próby ograniczania aktywnej i twórczej obecności Kościoła i chrześcijan w sferze publicznej są działaniami antyeuropejskimi, niszczącymi jedność naszego kontynentu, pozbawiającymi go wymiaru duchowego i w konsekwencji prowadzącymi do przemocy i fanatyzmu, jakie rodzą współczesne ideologie.***

Prof. Zbigniew Krysiak, Naszdziennik.pl, 14 kwietnia

■ *W poniedziałek 13 kwietnia 2026 r. Telewizja Polska wyemitowała sztukę teatralną pt. „Prałat", będącą obrzydliwym atakiem na osobę ks. prał. Henryka Jankowskiego, z rozbudowanymi agresywnymi akcentami antykościelnymi. (…)* ***To był brutalny i dosłowny, po imieniu i nazwisku, atak na dobre imię ks. Henryka Jankowskiego, bez żadnego tuszowania, choćby względami artystycznymi. Prostacki, chamski antyklerykalizm, z wielokrotnym i przeprowadzanym z premedytacją naruszeniem czci księdza, a przy tym dóbr osobistych jego rodziny, oraz totalnym oskarżaniem Kościoła. (…) Ksiądz Jankowski nie był ideałem, miał swoje wady i popełniał błędy, ale bilans jego życia jest zdecydowanie pozytywny.*** *Mówiąc to, nie przekonamy oczywiście telewizyjnych pseudotwórców cierpiących na nienawiść do religii, upolitycznienie i zero obiektywizmu.*

Apel w obronie czci ks. Henryka Jankowskiego do wiadomości ks. abp Tadeusza Wojdy i ks. Ludwika Kowalskiego, „Nasz Dziennik", nr 87/2026, 16 kwietnia

KLECHA

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl 1638912431

Legia niezwykłego gentlemana

Długofalowa strategia lotu w dół

Legia Warszawa ma 110 lat. Przeżyła dwie światowe wojny, Polskę Ludową, koreański koncern Daewoo, polski koncern ITI, race, walkowery, puste trybuny, kompromitacje w Europie i – rzadziej – piękne chwile w Lidze Mistrzów. Jednej rzeczy nie przeżyła nigdy: spadku z Ekstraklasy.

Teraz kibic odpala tabelę i sprawdza, czy to jeszcze sezon ligowy, czy film katastroficzny. Legia była już na przedostatnim miejscu. Grozi jej spadek do drugiej ligi.

Ronaldo na pustym stadionie

W tle tej apokalipsy jest Dariusz Mioduski. Definicja elity biznesu z lat 90. Wykształcony w Stanach prawnik, biznesmen, filantrop, członek Polskiej Rady Biznesu. Były współpracownik Jana Kulczyka. Dziś właściciel i prezes Legii.

Mioduski miał wprowadzić do Legii korporacyjne standardy, odpowiedzialność, stabilny rozwój oparty na kilku filarach, w tym na akademii dla młodych piłkarzy.

Akademię rzeczywiście zbudował. Legia Training Center znajduje się pod Warszawą i jest to obiekt piękny, nowoczesny, jak z katalogu. Tylko że pierwsza drużyna wygląda jak projekt, w którym ktoś zgubił instrukcję.

Bo pan Darek to taki prezes z koszmarów pracownika. Zawsze pięknie opowie, czemu plan się nie udał. Zawsze wyjaśni, że to element większej, długofalowej strategii. Zawsze wyczaruje slajd, na którym chaos wygląda jak proces.

Zmiana trenera? Element stabilizacji. Wymiana połowy składu? Transformacja. Najgorsza runda od lat? Okres przejściowy. Strefa spadkowa? Korekta kursu.

W jednym z wywiadów Mioduski niechcący wyłożył swoją biznesową filozofię: „Uważam, że w pewnym sensie popełniłem błąd, ale jest bardzo małe zrozumienie, z czego ten błąd wynika. Błąd był popełniany zawsze w nadziei, że on nie będzie popełniony”.

W 2014 r. Mioduski przejął Legię razem z Bogusław Leśnodorski i Maciejem Wandzlem. Wcześniej klub był w rękach koncernu medialnego ITI. Kibice Legii nie przepadali za właścicielami TVN, ale trzeba oddać im jedno: razem z miastem wybudowali nowy stadion im. Józefa Piłsudskiego (na starcie nazwany Pepsi Areną). Stadion jest miejski, Legia dzierżawi na korzystnych warunkach. Warszawiacy się dokładają, choć na tle innych klubów w Polsce Legia i tak mało kosztuje podatnika.

Rządy triumwiratu Leśnodorkski–Wandze––Mioduski sportowo były mocne. Mistrzostwa i Puchary Polski wygrywała Legia seryjnie. W 2016 r. – po ponad 20 latach – osiągnęła fazę grupową Ligi Mistrzów.

Ale były też wizerunkowe wpadki: walkower z Celtikiem Glasgow, bo ktoś nie dopilnował przepisów i na boisko wyszedł zawieszony za kartki zawodnik. Oraz zadymy chuliganów na stadionie Legii z Jagiellonią Białystok i na meczu Ligi Mistrzów z Borussią Dortmund. Za drugą awanturę Legię spotkała dotkliwa kara: mecz z wielkim Realem Madryt z Christianem Ronaldo przy pustych trybunach.

Mioduskiego to uwierało. On chciał być europejskim, eleganckim działaczem. Tymczasem twarzą Legii był medialny i wygadany Leśnodorski. Konflikt narastał. W końcu Mioduski wykupił wspólników. Został sam. Zaczęła się era slajdów pod tytułem „długofalowa strategia”.

Stabilność w praktyce

Teraz usiądźmy wygodnie i prześledźmy spokojnie, jak wyglądała owa „długofalowa strategia rozwoju” Legii na boisku, a nie w prezentacji.

Najpierw poleciał trener Jacek Magiera – człowiek Legii, świeżo po meczach w Lidze Mistrzów. Ale jego zatrudniali jeszcze poprzedni prezesi. Prezes Darek chciał zrobić nowe otwarcie i pokazać nową wizję.

Przyszedł Chorwat Romeo Jozak. Specjalista od szkolenia młodych piłkarzy. Nigdy wcześniej nie był trenerem drużyny seniorów. Ale to nie problem. Dariusz Mioduski: „Romeo i jego współpracownicy mają wdrożyć projekt na kilka lat”. Oficjalnie: wdrażanie systemu, rozwój młodzieży, europejskie standardy. W praktyce: chaos, słabe wyniki, brak chemii. Projekt na lata nie wytrzymał nawet roku.

Nowym trenerem został Dean Klafurić, rekomendowany przez Romeo Jozaka. Dean dla odmiany ma doświadczenie trenerskie, choć wcześniej prowadził głównie kobiece zespoły. Efekty przychodzą dość szybko: blamaż ze Spartakiem Trnavą ze Słowacji. Legia odpada. Europa się śmieje. Klafurić żegna się z pracą. Długofalowość trwa w najlepsze.

Po kierunku chorwackim przyszedł czas na Portugalię. Posadę trenera objął Ricardo Sá Pinto. Były świetny piłkarz. Charyzmatyczny. Porywczy. Z reputacją furiata.

Na początku między trenerem Ricardem a prezesem Darkiem była przyjaźń i piękne plany. Zapowiedzi wspólnej jazdy konnej. Legia jednak jechała sportowo w dół, Pinto się wściekał. Przyjaźń z prezesem się skończyła, zaczęły się konflikty z pracownikami i piłkarzami. Pinto wyleciał po niecałym roku. Konno z Mioduskim nigdy nie pojeździł. Niewiele później w samolocie linii Ryanair stewardesa prosi Sa Pinto, by wyłączył telefon. Pinto odwala Rokitę, z samolotu wynosi go policja. W Legii poszukiwania trenera na lata trwają dalej.

Do Legii przyszedł Czesław Michniewicz. Trener z doświadczeniem i sukcesami, ale też z kontrowersjami wokół kontaktów z szefem grupy ustawiającej mecze, „Fryzjerem”. Michniewicz wygrywa mistrzostwo Polski, ale chwilę potem drużyna zalicza totalny zjazd. Konflikty w szatni. Seria porażek. Strefa spadkowa.

To wtedy padło legendarne hasło, że potrzebny jest „trener tymczasowy na cito”. Brzmi jak streszczenie całej długofalowej strategii pana Darka.

Gdy w Legii Dariusza Mioduskiego pali się najbardziej, trenerem zostaje Alexandar Vuković. Były piłkarz Legii, człowiek z charakterem. W 2021 r. przejął Legię po Michniewiczu i uratował klub przed spadkiem. A potem? Zgodnie z ideą stabilności – został zwolniony. Bo przecież długofalowo trzeba myśleć szerzej i się rozwijać.

Legia do końca

Po eksperymentach z Jozakiem, Klafuriciem i Pinto Mioduski wyciąga wnioski – chce trenera z doświadczeniem i sukcesami w polskiej lidze. Trenerem został Kosta Runjaić i robił przyzwoitą robotę. Legia kręciła serial dokumentalny dla Amazona. Tytuł serialu był niejasny „Legia. Do końca”. Do czyjego końca? Chyba trenera, bo po serii słabych wyników został zwolniony. Serial o Legii skończył się na jednym sezonie. Kosta Runjaić znalazł pracę we włoskiej Serie A i radzi sobie świetnie. A Dariusz Mioduski zwija Legię dalej.

Posadę trenera dostał Gonçalo Feio. Portugalczyk, ale zawodowo od dawna w Polsce. Temperament jak dynamit. W Motorze Lublin Feio pobił prezesa kuwetą na dokumenty, a w programach telewizyjnych ścigała go prawniczka kobiety, która twierdzi, że Feio jest ojcem jej dziecka i ukrywa się przed sądem rodzinnym.

W Legii Feio miał pewne sukcesy, zwłaszcza w Europie. Piłkarze go lubią. Ale w klubie zapanował kompletny bałagan organizacyjny. Podobno o tym, kto jest ważniejszy – trener czy szef akademii – decydowało, kto jest silniejszy i kto trenuje sporty walki. W końcu Feio też wyleciał.

Nieco wcześniej pan Darek zdecydował się na ciekawy eksperyment. Na początku 2025 r. klub zatrudnił dwóch dyrektorów sportowych. To niespotykane w innych klubach rozwiązanie. Były reprezentant Polski Michał Żewłakow miał budować drużynę na teraz. A były reprezentant Niemiec Fredi Bobić na przyszłość.

Latem zeszłego roku w Legii znowu miała miejsce rewolucja kadrowa. Dwaj dyrektorzy wymienili połowę składu. Jednych piłkarzy ściągał Żewłakow, innych Bobić. Oficjalnie wszyscy byli zgodni. Procesy działają. Prezentacja się zgadza. Efekt? Najgorsza runda od lat. Rekord meczów bez zwycięstwa. Strefa spadkowa.

Kibice w szoku. No kurwa – może to przypadek, że sportowy upadek przyszedł niedługo po organizacyjnym eksperymencie. A może jednak nie. Może jednak to inne kluby mają rację, gdy zatrudniają jednego dyrektora sportowego.

Od grudnia 2025 r. trenerem Legii jest Marek Papszun. Człowiek, którego Mioduski od lat wskazywał jako wymarzony element swojej wizji. Trenerzy się zmieniają. Piłkarze się zmieniają. Dyrektorzy się zmieniają. Nie zmienia się jedno – piękne korporacyjne tłumaczenia.

Prezes Dariusz wraz z kryzysem sportowym klubu coraz piękniej umiał mówić o sobie i swoich sukcesach. W Polsce dziennikarze sportowi już się na nim poznali, więc prezes Legii lansuje się w mediach zagranicznych. W wywiadzie dla BelN Sports Mioduski jak każdy polski prezes opowiadał o tym, że jako młody chłopak ciężko pracował fizycznie i w McDonaldzie. Mimochodem wspomniał też zagranicznemu reporterowi o studiach w USA, gdzie na Harvardzie grał w koszykówkę z Barackiem Obamą. O wynikach Legii rozmawiał mniej chętnie.

Historia z Obamą pana Darka to zdaje się odpowiedź na anegdotkę z życia poprzedniego prezesa Legii Leśnodorskiego, który także studiował w Stanach i tam ponoć na imprezie spotkał legendarnego Tupaca.

Zatem w wywiadach mecz prezesów trwa: Darek ma koszykówkę z prezydentem, Bogdan ma imprezę z raperem. Kibice Legii mają zgryz, gdy patrzą w tabelę.

Złoto myśli

Dariusz Mioduski przez lata prezesowania Legii powiedział wiele pięknych zdań, które nijak się mają do tego, jak naprawdę zarządza klubem.

„Drużyna jest budowana w odpowiedni sposób, procesy wewnętrzne działają”.

„Samą konsekwencją w niecierpliwej polskiej piłce można wiele osiągnąć”.

I to najpiękniejsze: „Błąd był popełniany zawsze w nadziei, że on nie będzie popełniony”…

To już nie jest zarządzanie. To stand-up, na którym śmieją się kibice, ale innych niż Legia drużyn.

Spadek byłby czymś, czego kibice Legii nie przeżyli nigdy. Nie w PRL-u. Nie w czasach starego stadionu. Nie w erze ITI.

Dziś Legia ma duży budżet, ładny stadion i akademię. Tylko drużyna wygląda jak projekt, w którym ktoś kliknął „cofnij” za dużo razy. I może największy dramat polega na tym, że kibice naprawdę kiedyś wierzyli, że Mioduski zrobi z Legii europejską firmę i klub ze stabilnym budżetem. Dziś wygląda to bardziej jak korpo case study pod tytułem: „Jak w dziesięć lat z mistrza zrobić przegrywa, nie tracąc dobrego humoru i pewności siebie”.

Ale spokojnie. Procesy działają. Slajdy są gotowe. Lepsze wyniki przyjdą. W ostatnich kolejkach Legia zremisowała z Górnikiem Zabrze i wygrała z Zagłębiem Lubin. W końcu wyszła poza strefę spadkową. A błędy były przecież popełniane zawsze w nadziei, że nie będą popełnione.

LEON ORŁOWSKI

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 1638912431

Wiadomości ze sportowych aren coraz trudniej przyjmować na spokojnie.

Furia

Nie chodzi o to, że piłkarze nie zakwalifikowali się na mistrzostwa świata, a ich koleżanki niestety – niestety, bo bardzo lubię tę drużynę – zdają się podążać w ich ślady. Furii nie wywołuje u mnie także fakt, że Robert Lewandowski raczej definitywnie stał się tylko rezerwowym zawodnikiem FC Barcelona.

Trochę trudniej pogodzić się z tym, że Iga Świątek już w ćwierćfinale turnieju w Stuttgarcie przegrała z „gówniarą z paletkom" (tak nazywano samą Igę, gdy w nastoletnim wieku zaczynała odnosić pierwsze sukcesy w dorosłym tenisie), czyli 18-letnią Rosjanką Mirrą Andriejewą. Iga Świątek po raz pierwszy zagrała po dłuższej przerwie, z nowym trenerem, nową rakietą i wreszcie na swojej ulubionej „mączce". Nic nie pomogło.

To wszystko nie cieszy, ale też nie powinno wywoływać u nas furii, bo na przykład z drugiej strony nastąpił nieoczekiwany wysyp młodziutkich polskich snookerzystów. 14-letni Michał Szubarczyk potrafi grać z czołowymi zawodnikami świata, 18-letni Sebastian Milewski został mistrzem świata w swojej kategorii wiekowej, a 22-letni Antoni Kowalski jako pierwszy Polak w historii awansował do turnieju głównego mistrzostw świata i znalazł się w gronie 32 najlepszych profesjonalistów globu, którzy rozgrywają turniej w legendarnym Crucible Theatre w Sheffield. Słowem, możemy nie mieć piłkarzy, narciarzy, koszykarzy, szermierzy, ale po co wpadać w gniew, skoro możemy mieć znakomitych snookerzystów!

Rozluźnianie sankcji

Nie o wyniki poszczególnych sportowców mi chodzi. One mogą martwić, ale nie wywołują furii. Tymczasem ostatnio tak wiele złego dzieje się wokół sportowych aren, że aż nie wiem, od czego zacząć.

Może niech na pierwszy ogień pójdzie sport, który nie bije u nas rekordów popularności. Międzynarodowa Federacja Pływacka podjęła decyzję, że w mistrzostwach świata w piłce wodnej reprezentacja Rosji nie tylko ma prawo startu, ale występuje pod własną flagą, a nie – jak wcześniej – w neutralnych barwach. Jakby tego było mało, decyzja ta zapadła w dniu, w którym rozegrany miał być mecz Ukraina–Rosja. Ukraińcy już wcześniej zapowiedzieli, że do takiego spotkania nie wyjdą. Pogodzili się z tym, że decyzja oznacza dla niech porażkę walkowerem (0:5), a być może dalsze konsekwencje, włącznie z wykluczeniem z międzynarodowych rozgrywek. Ale przecież nawet trudno wyobrazić sobie sportową rywalizację między Ukrainą a Rosją.

Na Ukrainę wciąż spadają rosyjskie drony i rakiety. Giną ludzie. Nic się nie zmienia od 24 lutego 2022 r. Lecz środowisko sportowe jak gdyby przyzwyczajało się do tej wojny. Obostrzenia, które spotkały rosyjskich i białoruskich sportowców po rozpętaniu pełnoskalowej inwazji na Ukrainę, są coraz bardziej rozluźniane. W tej chwili sankcje zdjęto w następujących dyscyplinach: judo, taekwondo, boks, kulturystyka, padel, a także igrzyska paralimpijskie. Lista ta ma tendencję do wydłużania się, a przecież – powtórzę – od dnia rozpoczęcia pełnoskalowej agresji na Ukrainę nic się nie zmieniło.

Skąd taka tendencja? Teraz wojna w Ukrainie nie jest już jedynym krwawym zbrojnym konfliktem. Dla krajów arabskich bliższe jest to, co dzieje się w ich regionie. Dla Afryki Ukraina w ogóle jest bardzo odległym krajem. Szefową Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego została urodzona w Harare, stolicy Zimbabwe, była znakomita pływaczka Kristy Leigh Coventry. Ile my wiemy o Zimbabwe i o skomplikowanej historii tego kraju? W szpitalu, w którym niedawno leżałem, praktyki odbywały studentki pielęgniarstwa z Zimbabwe. Bardzo ucieszyły się, gdy wspomniałem o Wodospadzie Wiktorii, bo mało który pacjent dysponował choćby tak szczątkową wiedzą o ich kraju. Trudno było wymagać od nich, aby znały historię stosunków rosyjsko-ukraińsko-polskich.

Pani prezydent MKOl Kristy Leigh Coventry od razu zapowiedziała, że będzie się starać o przywrócenie do sportu zawodniczek i zawodników z Rosji i Białorusi. Można się zatem spodziewać poluzowania, czy wręcz zdjęcia sankcji w innych dyscyplinach niż te, które wymieniłem wcześniej.

Gdy brak sponsora

Teraz zajmę się czymś innym, co w tej chwili bulwersuje naszą opinię, nie tylko sportową. O sprawie Zondacrypto słyszeli już chyba wszyscy, nawet ci, którzy nie mają pojęcia, czym są kryptowaluty i na pewno nie lokują w nich swoich oszczędności.

Historia powstania Zondacrypto godna jest pióra reportera kryminalnego, a może nawet autora scenariuszy filmów sensacyjnych, a nie dziennikarza sportowego.

Platforma do obrotu kryptowalutami powstała w Polsce, początkowo pod nazwą BitBay, a jej właścicielem był młody biznesmen Sylwester Suszek. Dalsze jej losy, włącznie z tajemniczym zniknięciem Suszka, pozostawiam wspomnianym autorom kryminałów. Dość powiedzieć, że obecnie być może właścicielem, a na pewno prezesem estońskiej spółki BB Trade Estonia OÜ zarządzającej Zondacrypto jest Przemysław Kral i on tłumaczy się w mediach z pojawiających się co i raz wątpliwości.

Czas wyjaśnić, dlaczego giełda kryptowalut jest tak istotna dla sportu, nie tylko polskiego. Bez sponsorów wyczyn nie mógłby istnieć, to chyba jasne. Utrzymywanie stajni gladiatorów wymaga wielkich nakładów. Dziś chyba tylko przedszkolaki trenują za darmo, ale i dla nich trzeba opłacać szkoleniowców.

Czym może się skończyć brak sponsora, widzieliśmy nie jeden raz i na najwyższym poziomie i na tych nieco niższych. Nie tak dawno gruchnęła wieść, że z siatkarskiej najwyższej ligi (Plus Liga) znika Jastrzębski Węgiel, czterokrotny mistrz kraju. Nie tak dawno siatkarze Jastrzębia awansowali do finałowego turnieju Ligi Mistrzów. Teraz ogłoszono, że główny sponsor Jastrzębska Spółka Węglowa ma tak poważne kłopoty finansowe, że nie jest już w stanie utrzymywać siatkówki na wysokim poziomie. Zawodnicy nie otrzymywali należnych im pieniędzy, a problemy tylko narastały.

Co się dzieje z dogorywającym klubem? Zawodnicy szukają innego pracodawcy. Ci najlepsi nie mają z tym żadnych kłopotów. Już w poprzednim sezonie z Jastrzębiem pożegnali się reprezentanci Polski: Tomasz Fornal, Norbert Huber i Jakub Popiwczak. Fantastyczny francuski rozgrywający Benjamin Toniutti przenosi się teraz do Turcji, a Łukasz Kaczmarek – do Rzeszowa.

Jastrzębie rozkochane jest w siatkówce. Ma fajną halę, wiernych kibiców. Czy to wszystko zostanie zaprzepaszczone? Sama spółka nie rozwiązuje się. Będzie spłacać długi klubu, zwłaszcza wobec zawodników. Być może utrzymywać będzie jakiś zespół z niższej ligi. Kibice chcą jednak wielkiej siatkówki, dlatego trwają rozmowy z ekstraklasowym zespołem ukraińskim Barkom-Każany Lwów, który ma prawo grać w naszym kraju, a teraz znalazłby stałą bazę w Jastrzębiu.

Bankruci

Wielkie upadki spowodowane kłopotami sponsora to nie jest polska specjalność. Pamiętam, co stało się z włoskim klubem piłkarskim z Serie A – Parma Calcio 1913. Gdy jego sponsorem została gigantyczna spółdzielnia spożywcza Parmalat, przyszłość rysowała się w różowych barwach, a klub zmienił nazwę właśnie na Parmalat. Do czasu. W 2003 r. wykryto gigantyczną aferę finansową w Parmalat, w grę wchodziło wyprowadzenie z kasy firmy 14 mld euro. Bez wsparcia potężnego sponsora klub chylił się ku upadkowi i wreszcie w 2015 r. kłopoty nawarstwiły się tak bardzo, że zbankrutował. Nie był w stanie nie tylko wypłacać pensji piłkarzom i pracownikom, ale nawet regulować rachunków za elektryczność, a prezydent klubu został aresztowany pod zarzutem prania brudnych pieniędzy. Zespół zdegradowano do Serie D.

Od tego czasu rozpoczął się ponowny marsz w górę wspierany przez nowego sponsora. Dziś Parma znowu jest w Serie A.

Siatkarki Chemika Police nie znalazły się za burtą po tym, jak Grupa Azoty ogłosiła, że wycofuje się ze sponsorowania sportu. Klub uratowała inna spółka skarbu państwa – Totalizator Sportowy – wspierana przez mniejszych darczyńców, także prywatnych. Siatkarki Chemika grają nadal, lepiej – jak twierdzą fachowcy – niż pozwalałyby na to finansowe możliwości, nie wszystkie czołowe zawodniczki opuściły drużynę mimo znacznej obniżki pensji, ale o mistrzostwie Polski na razie muszą zapomnieć.

Grupa Azoty, jeden z potężnych sponsorów polskiego sportu, nie tylko siatkarek z Polic, popadła w duże kłopoty za sprawą nietrafionej inwestycji w Polimery Police. Do tej pory sztandarowa inwestycja PiS pochłonęła grubo ponad 7 mld zł, ale nie wyprodukowała niczego. Obecnie Orlen odkupił fabrykę polimerów i będzie się starał coś z tym robić dalej, co oczywiście wymagać będzie kolejnych inwestycji.

Orlen jest obecnie największym sponsorem polskiego sportu, począwszy od piłkarskiej reprezentacji, a skończywszy na zawodach dla dzieci i młodzieży. Gdyby Orlen przestał łożyć na sport – polski sport chyba by zniknął.

Nagrody w kryptowalutach

Wracamy do Zondacrypto. Gigant na rynku obrotu kryptowalutami firma Crypto.com sponsoruje sport na najwyższym poziomie, skupiając się oczywiście na dyscyplinach najchętniej oglądanych: piłkarska Liga Mistrzów, samochodowa Formuła 1, bójki MMA pod szyldem największej federacji UFC.

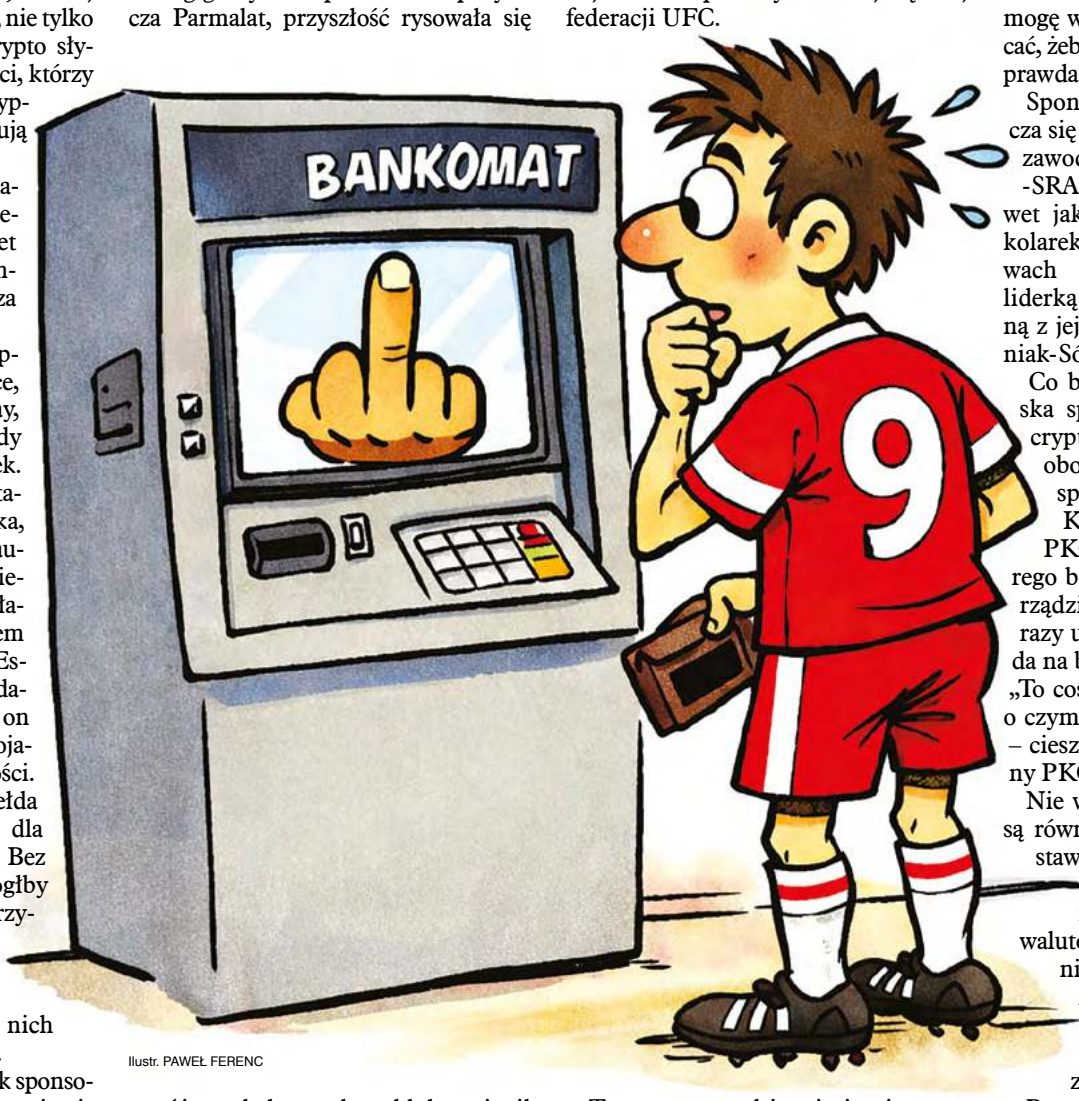

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Tego typu przedsięwzięcia nie mogą się obyć bez wsparcia polityków, i to tych z wysokich stołków. Crypto.com wpłaca pieniądze na potrzeby prezydenta Donalda Trumpa, a w ubiegłym roku podpisano strategiczne partnerstwo z Trump Media & Technology Group.

Prezes Kral, który ma ambicję stać się europejskim odpowiednikiem giganta Crypto.com, stara się – oczywiście na swoją skalę – powielać ruchy giganta. O kontaktach z politykami polskiej prawicy można przeczytać w prasie wiele. Prezydent Karol Nawrocki, któremu marzy się władza, jaką ma Donald Trump, dwukrotnie wetował sejmową ustawę, która miała u nas uregulować rynek kryptowalut.

Na tej stronie gazety polityka interesuje nas mniej. Sport – jak najbardziej. Zndacrypto mocno weszła w sportowy sponsoring. Oczywiście najbardziej łasym kąskiem zawsze jest piłka nożna. Dlatego firma Krala nawiązała kontakty z Juventusem i Atalantą Bergamo z Serie A. W Polsce najbliżej jej do Rakowa Częstochowa. To już nie tylko reklamowe napisy, ale także wciąganie do kryptowalutowego biznesu kibiców, którzy na klubowej stronie dostają wszystkie internetowe narzędzia niezbędne do dotarcia do Zondacrypto. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale ponoć sami zawodnicy część wypłat dostają w kryptowalutach. Jeśli tak – nie wiem czy im zazdrościć, czy współczuć. Z kilku źródeł

dochodzą głosy, że ludzie, także sportowcy, mają kłopoty z wypłatami z konta Zondacrypto. Prezes Kral – czemu trudno się dziwić – energicznie tym wiadomościom zaprzecza.

Jak jest w rzeczywistości, nie wiem, nie mam konta w Zondacrypto, nie mogę więc niczego wpłacać ani wypłacać, żeby samemu sprawdzić, gdzie leży prawda.

Sponsoring Zondacrypto nie ogranicza się do piłki nożnej. Firma wspiera zawodową grupę kolarską Canyon-SRAM i jej nazwa pojawiła się nawet jako trzeci człon na koszulkach kolarek. Dla nas to istotne, bo w barwach Canyon-SRAM Zondacrypto liderką jest Kasia Niewiadoma, a jedną z jej pomocniczek Agnieszka Skalniak-Sójka.

Co bulwersuje dużą część środowiska sportowego, to fakt, iż Zondacrypto na mocy umowy, która ma obowiązywać do 2028 r., staje się sponsorem generalnym Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Prezes PKOl Radosław Piesiewicz – którego bardzo nie lubię od czasów, gdy rządził polską koszykówką, i wiele razy uzasadniałem dlaczego – wygląda na bardzo zadowolonego z umowy. „To coś nowego, innowacyjnego. Coś, o czym marzyliśmy i rozmawialiśmy" – cieszy się na łamach oficjalnej strony PKOl.

Nie wiem, czy wszyscy olimpijczycy są równie entuzjastycznie do tego nastawieni. Ci, którzy nie są finansowo zainteresowani, zwracają uwagę na podejrzaną historię kryptowalutowej giełdy. Medaliści i zawodnicy z czołowych miejsc igrzysk Mediolan-Cortina część obiecanych premii dostali w kryptowalutach. Czy bez problemów zamienią je na złotówki?

Panczenista Damian Żurek publicznie podzielił się swoimi wątpliwościami, a jego wypowiedź cytowały niemal wszystkie gazety (oprócz może tych najbardziej prawicowych) oraz liczne kanały telewizyjne.

Łyżwiarz nerwowo czeka, czy dostanie obiecane przez PKOl 100 tys. zł. Miała to być nagroda od firmy Zondacrypto, ale gdzieś utknęła w systemie. Damian Żurek już zaplanował, na co wyda pieniądze. Dokonał wpłat na mieszkanie i brakuje mu jeszcze tylko wspomnianych 100 tys. zł. „To byłaby tragedia" – żali się panczenista i dodaje, że ostatnio miał wystarczająco dużo stresów, żeby narażać się na kolejne.

Jeśli chodzi o mnie, to dopóki redakcja „NIE" wypłaca honoraria w złotówkach, a nie w kryptowalutach, dopóty śpię spokojnie.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–32 – 21.04.2026 r.

eprasa.pl 1638912431

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Poseł Mateusz Morawiecki pochylił się nad stołem, gdzie współpracownicy pieczołowicie odtworzyli sytuację w Prawie i Sprawiedliwości. Czarnka wyobrażała plastikowa figurka wściekłego psa ukrytego za wzgórzem, a Kaczyńskiego panda z urwaną lewą łapką.

– Ja mu tak, on mi tak, a ja mu tak – głośno planował taktykę Morawiecki. – A jeśli on mi tak, to ja mu tak i tak, i tak. I leży.

Leży albo i nie leży – podpowiedziała mu trzeźwa strona osobowości. A może leżysz ty?

Jeżeli stojąca na linii rzeki panda w otoczeniu Gomeza Addamsa (Błaszczak), kota Jinksa (Jaki) i Miss Piggy (posłanka Bartuś) zaatakuje Morawieckiego, którego wyobrażał Ken, za to, że założył stowarzyszenie Rozwój Plus, to Ken nie będzie miał innego wyjścia jak tylko nie ruszać się z miejsca. Po pierwszym ataku nastąpi kolejny, tym razem z udziałem lordów Vadera (Bocheński) i Voldemorta (Michał Wójcik) oraz szczura Remy'ego (Suski), do obrony przystąpią wówczas Pat i Mat z „Sąsiadów" (Horała i Dworczyk) oraz ołowiany kirasjer z ułamaną szablą (Cieszyński), wspomagani przez Pana Bulwę (Jabłoński). Jeżeli oni nie dadzą rady, z odsieczą przybędzie ukryty dotychczas w zagajniku Skunks Pepé Le Swąd (Terlecki). I wóz albo przewóz. Zwycięży tępa siła lub finezja, elastyczność i skłonność do kompromisu.

Morawiecki pokiwał głową, co oznaczało, że pochwalił sam siebie za obraną strategię: ani kroku w tył. Niech panda z urwaną łapką wychodzi z siebie, rzucając do walki wszystkie oddziały, a Ken nie ruszy się z miejsca. Nie odda ani piędzi ziemi. Choćby plastikowy wściekły pies ujadał do utraty tchu, to drużyna Kena pozostanie na swoich stanowiskach: niezłomna i nieugięta.

– A co, jeśli jednak zepchną nas na bagna? – zapytał poseł Michał Dworczyk, który nagle pojawił się przy stole.

Morawiecki spojrzał na Dworczyka, trochę zdziwiony, że nie jest on Matem, ale otrząsnął się i odparł: – Mam w zanadrzu tajną broń.

Dworczyk nie dał po sobie poznać, że zżera go ciekawość.

Morawiecki podszedł do regału, gdzie na półce leżała stara włochata przytulanka.

– Łoś Supertkoś! – ucieszył się Dworczyk. – Jesteś pewien, że stanie po naszej stronie?

Były premier nie potwierdził ani nie zaprzeczył, tylko postawił Superktosia w jednym szeregu z Kenem, Patem, Matem, kirasjerem, Panem Bulwą i Skunksem Pepé Le Swądem.

– Mam nadzieję – szepnął.

I może im się wydawało, może była to magia, ale obaj nie mogli oprzeć się wrażeniu, iż słyszą niewyraźny głos Łosia, tak podobny do tenoru wicepremiera Kosiniaka-Kamysza: – Wiecie, czym jest nadzieja, chłopcy?

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN znowu nie dotarła na urodziny **AGNIESZKI WOŁK-ŁANIEWSKIEJ**. Ale w tym roku nie miała debaty w Końskich na swoje usprawiedliwienie.

Senyszyn: – Nie fochaj się proszę, naprawdę byłam chora, w dodatku w Gdyni.

Wołk-Łaniewska: – No niech ci będzie. Ale żeby mi to było ostatni raz!

– Obiecuję, że już nie będę chorować i na następne przyjadę.

– No myślę, bo to będą 55. Może być weselna feta na wielką skalę.

– Planujesz zamążpójście?

– Nie, to Wyspiański, tak mi się skojarzyło. Wiele rzeczy mi się kojarzy z Wyspiańskim… Generalnie chodzi o to, że za rok będzie balanga fest. Teraz w zasadzie w ogóle nie robiłam urodzin, kilka osób pamiętało i wpadło…

– Też pamiętałam i dzwoniłam z życzeniami, ale ci nie przypadły do gustu.

– Oj tam, oj tam. Bardzo mi przypadły. Nawet się nauczyłam na pamięć: „W późne lata niechaj ci się wszystko splata"… Zapamiętam, poczekam do lutego, będą jak znalazł…

– Strasznie się zrobiłaś delikatna, a do tego mściwa. Mów, co dostałaś?

– Plakat z Fidelem Castro i biografię Krystyny Wolińskiej.

– Interesujące… Też mam dla Ciebie prezent. Przywiozłam ze strefy wolnocłowej, jak w lutym wracałam z Kanarów. Staram się kupować nie na ostatnią chwilę, tylko jak zobaczę coś odpowiedniego.

– Gejostwo!

– Słucham?

– Oj, bo ja oglądam namiętnie influenserów z manosfery.

– Czyli – wyjaśnijmy – tego mrocznego zakątka internetu, gdzie mizoginia jest cnotą. Na Netflixie jest o tym dokument Louisa Theroux, polecamy.

– W każdym razie: jeden z tych manoinfluenserów w okolicach 14 lutego wygłosił monolog o tym, że „w historii kupowania prezentów na walentynki nie było takiego przypadku, żeby mężczyzna kupił prezent dla swojej żony 3 stycznia". I że „kupowanie prezentów miesiąc wcześniej to jest najbardziej gejowska rzecz na świecie"…

– Ja kupiłam dwa miesiące wcześniej i póki co jeszcze nie mamy ślubu, więc tobie mogę. Dostaniesz, jak zaprosisz na poprawiny.

– Już zapraszam! Tylko jeszcze nie wiem na kiedy, bo lecę do Brukseli na Globalny Kongres Parlamentarny Sumud – co oznacza po arabsku „wytrwałość" i jest palestyńską wartością, a także strategią w walce o przetrwanie. Jestem nieprawdopodobnie przejęta, bo nie dość, że będzie tam Francesca Albanese, która jest specjalną sprawozdawczynią ONZ ds. Palestyny i którą podziwiam z pensjonarskim nieomalże zachwytem – to jeszcze Jeremy Corbyn, który jest wierny walce o prawa Palestyńczyków od lat i za to, a jakże, przyprawili mu gębę antysemity…

– Jako wiceprzewodnicząca podkomisji praw człowieka w Parlamencie Europejskim zajmowałam się sytuacją w tym regionie. Było ciężko, bo bardzo wielu europosłów należało do Grupy Europejskich Przyjaciół Izraela. Przewodniczył jej Marek Siwiec, obecny szef Kancelarii Sejmu. Grupa była dużo liczniejsza od intergrupy Przyjaciół Palestyny. Zgadnij dlaczego.

– Bo się bali gęby antysemity.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Zapewne. Bo przecież nie dlatego, że biednych europarlamentarzystów przyciągała perspektywa darmowej wycieczki do Izraela…

– Zmieniając temat. Nieczęsto wypowiadam takie zdanie, ale: Jarosław Kaczyński ma rację.

– To rzeczywiście rzadka deklaracja w twoich ustach. A w jakiej sprawie?

– Kryptowalut. Prezes wstrzymał się w głosowaniu nad wetem prezydenta w sprawie ustawy o regulacji rynku kryptowalut i wyjaśnił, że jest za zakazem kryptowalut w ogóle, bo „to jest jeden wielki przekręt". I ja się z nim zgadzam.

– Przyznam ci się, że nie do końca rozumiem, o co w ogóle z tymi kryptowalutami chodzi. Poza tym, że wszystko zależy od siły komputera: jak masz potężną moc obliczeniową, to ci wykopie, co chcesz, oczywiście wykorzystując potężne ilości energii.

– Przeczytałam gdzieś, że na świecie wysyłanych jest 10 miliardów maili na godzinę. Ich dostarczenie wymaga 50 gigawatów energii, czyli tyle, ile produkuje 15 elektrowni jądrowych.

– Mnie bardziej martwi, że wysyłając maila, uśmierca się małpę. Na szczęście tylko w Polsce, bo poza nami nikt nie mówi małpa na @… Tak czy inaczej, w zasadzie zgadzam się z tobą, jak ty z prezesem, że moglibyśmy się obejść bez kryptowalut.

– Tak zupełnie szczerze, to ja też nie do końca chwytam, o co chodzi z tym krypto, ale jestem dziwnie pewna, że cały ten koncept nie ma żadnych zalet społecznych. I zakazanie ich pewnie nie okaże się skuteczne – w sensie, że ludzie nadal będą usiłowali na nich zarobić – ale oficjalny zakaz ze strony państwa powie tym frajerom: robicie to na własną odpowiedzialność. I nie liczcie, że państwo będzie was bronić, jak ktoś was wydyma. Inaczej mówiąc: nie bądź chamie chytry. A jak już jesteś – licz na siebie. A propos chytrości: mój prezydent mojego miasta…

– Słucham?!

– Nie opowiadałam ci jeszcze?

– Nie wiem, może zapomniałam?

– To skorzystam i opowiem. Bo kocham to opowiadać. Kiedy rząd rozesłał ludowi bezcenny „Poradnik bezpieczeństwa", poseł Szczerba został zapytany przez red. Lubecką w Radiu Zet, jakie alternatywne źródła ogrzewania, niedziałające na prąd, zamierza zamontować u siebie w domu – bo to zalecał „Poradnik". „Mój prezydent mojego miasta Rafał Trzaskowski wdraża najnowsze systemy ochrony infrastruktury krytycznej" – odpowiedział poseł Szczerba. Na co Lubecka bezczelnie: „Odstawiając na bok Rafała Trzaskowskiego: nie ma prądu i co pan robi?". A Szczerba niewzruszony: „Mój prezydent mojego miasta Rafał Trzaskowski planuje trzecią linię metra"…

– Błyskotliwa odpowiedź jako żywo. Ale z czym ci się to skojarzyło?

– Otóż będę uprawiać prywatę. Bo mnie szlag trafił. Mój prezydent mojego miasta jest wyłudzaczem. Albo mój wicepremier mojego rządu z mojej lewicy…

– Zaraz, zaraz, to jest jakaś twoja lewica?

– Oczywiście, że nie, tak popłynęłam na fali szczerbizmu. Otóż mój prezydent mojego miasta zamiast wysyłać do swoich mieszkańców zawiadomienia, że czegoś tam nie zapłacili, wysyła komornika, więc zamiast 50 zł płacisz 500. Świadoma tej technologii pilnie wpatrywałam się w mObywatela, bo tam jest taka zakładka z podatkami. I w tym tygodniu wyświetlił mi się podatek od nieruchomości 94 zł – i od razu jako „po terminie". A chwilę później wyświetliły mi się „koszty upomnienia" – 16 zł – także „po terminie". Pomijając fakt, że żadnego upomnienia nie dostałam: czy ktoś może mi wytłumaczyć, dlaczego w tym znakomitym systemie – w który rząd chce wsadzić dodatkowe 200 mln zł, bo tak świetnie hula – podatek nie wyświetla się na czas?

– Podatek od nieruchomości płaci się rokrocznie do 15 marca, więc teraz jest przeterminowany. Ciesz się, że jeśli nie prowadzisz działalności gospodarczej, urząd skarbowy wypełnia Twój roczny PIT i nie musisz się martwić o nic poza kasą na ewentualną dopłatę.

– No coś ty, ja jestem twórcą, mam 50 proc. kosztów uzysku, państwo mi oddaje.

– Ile?

– W tym roku całą złotówkę!

– To już wiem, za co zrobiłaś tę imprezę, co jej nie było.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

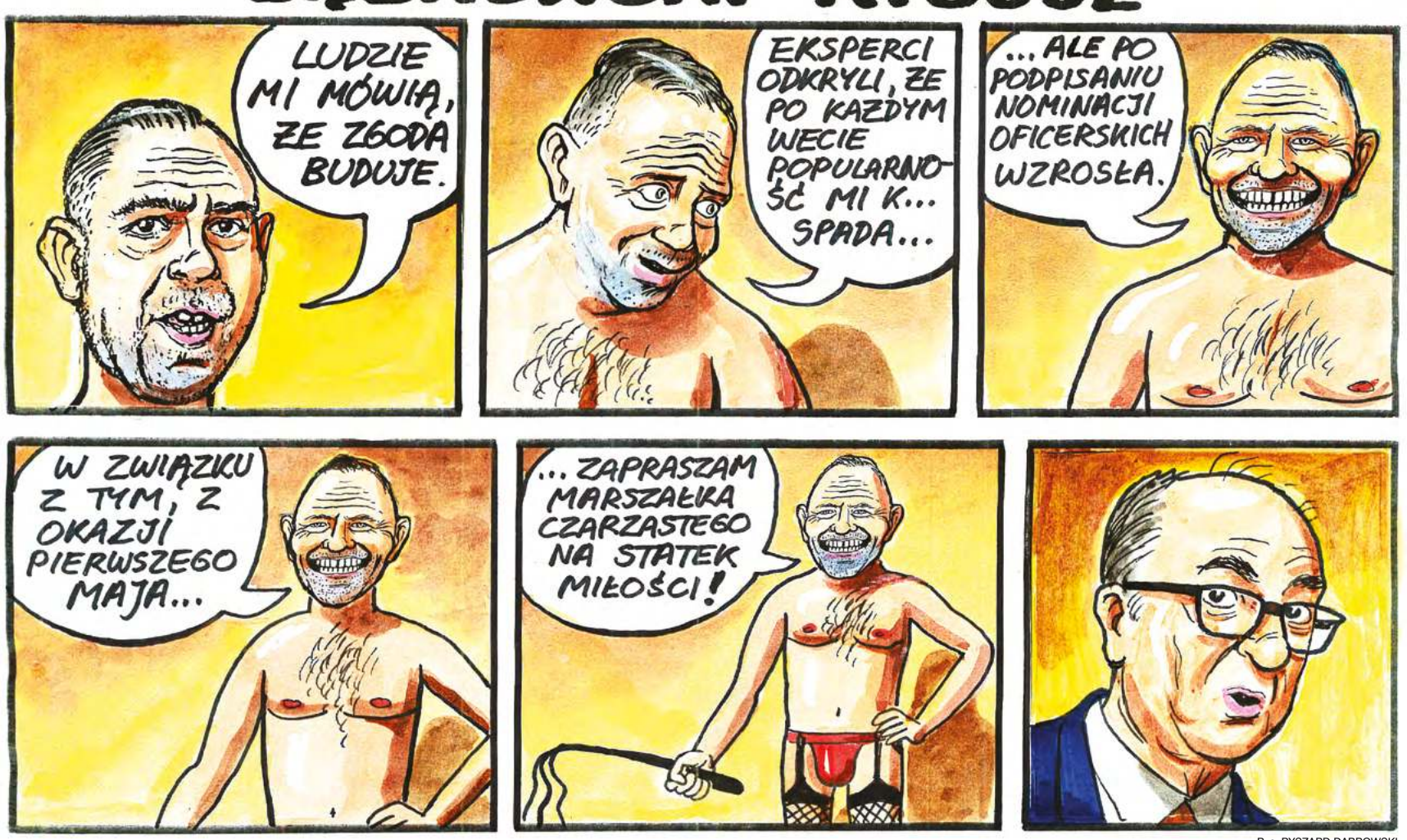

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 1638912431